

8-3
Gurar
Kobiat

MIECZYŚŁAW
GURANOWSKI

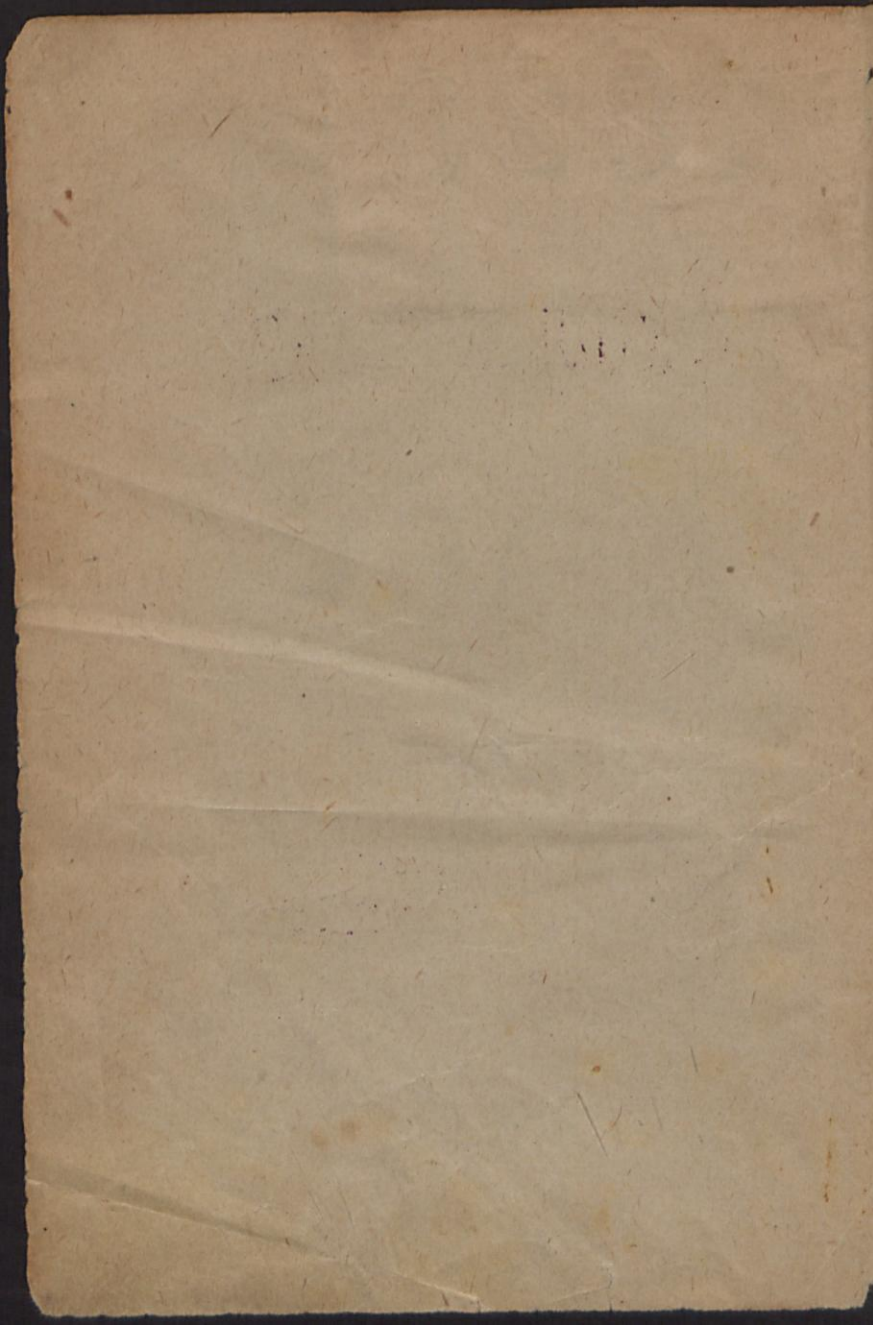
KOBIETY BIBLIJNE



820

106

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
IM. JANA ZAMOYSKIEGO
w Zamościu.



MIECZYŚŁAW GURANOWSKI

KOBIETY BIBLIJNE



BIBLIOTEKA PUBLICZNA
IM. JANA ZAMOJSKIEGO
w Zamościu.

1931
NAKŁAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

Księgozbiór BP



10084425

Zamosc ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

1065

Prawo przedruku zastrzeżone

Copyright by M. Guranowski nineteen hundred twenty seven.

8-3

884-3

94r

106

20/p

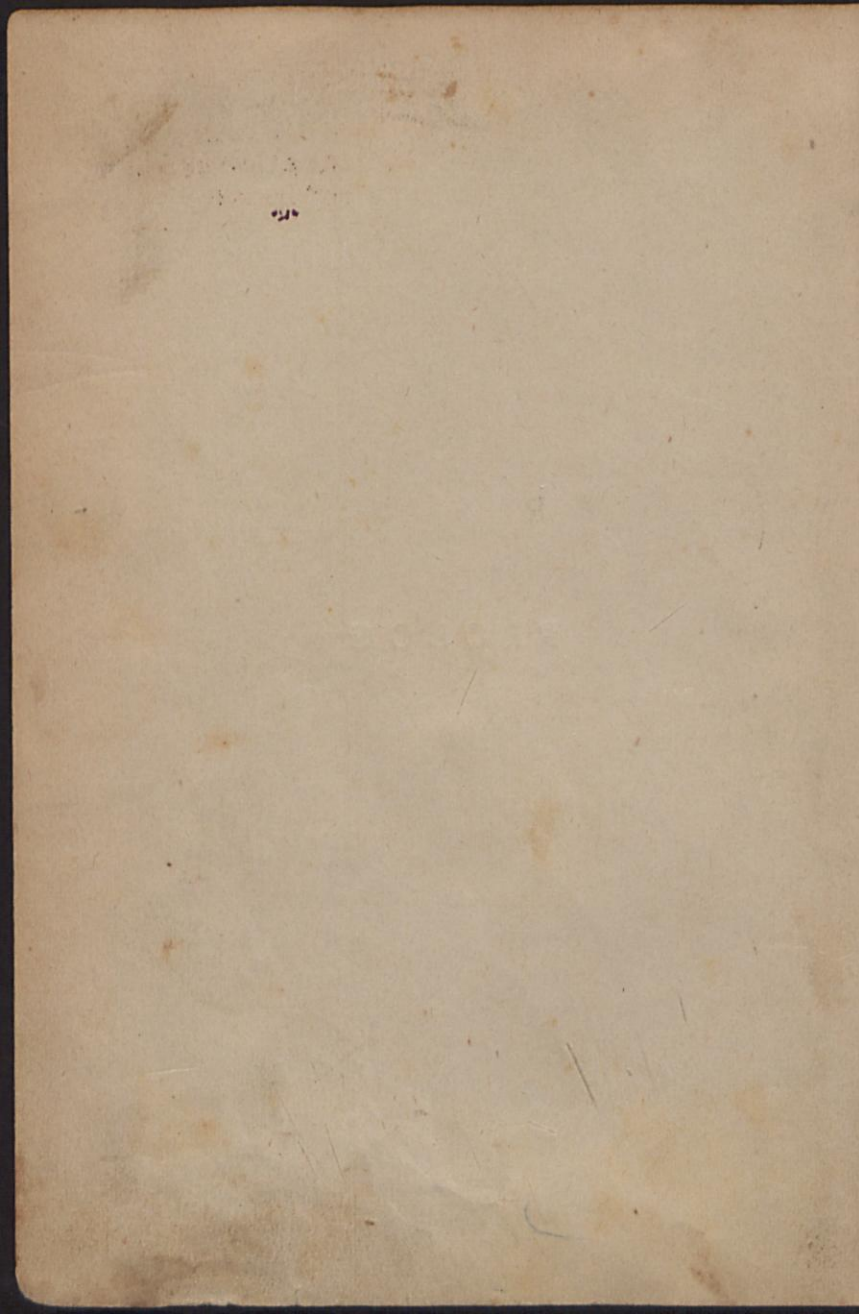
8.16

Zakłady Graficzne Straszewiczów, Warszawa, Leszno 112.
1931

14569 / p

PROLOG

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
IM. JANA ZAMOYSKIEGO
w Zamościu



E W A

...Nieprzyjaźń położę między tobą
i między niewiastą...

Genesis III. 15.

Był królem ziemi i stworzeń wszelakich. Do stóp jego pełzały stwory olbrzymie i pokorne. Nad głową szumiały drzewa, potoki Fysonu przynosiły z ziemi Hewila złoto. Bawił się niem, dosiadał lwy i hasał po ogrodach Edenu, jak wicher. Dla niego wstawało słońce, niedawno poczęte. Dla niego każdego wieczora zapalały się nowe gwiazdy.

Hej, jak szczęśliwie płyną dnie nad brzegami Eufratu między bestje i płazy, w przezrystej ambrze szmaragdowych łąk, przy słodkim świergocie ptasząt, w otoce wielu tysięcy słońc.

Jak wierni poddani, lwy liżą mu stopy, tygrysy brzęczą wesołym śmiechem, szakale bawią się z jagnięty.

Wszystkie potoki płyną do morza, nie napotykając przeszkód. Wiatry nie łamią drzew, istnieją poto, ażeby chłodziły czoło Człowieka i uczyły go śpiewać. Nawet zmijom wysechł jad — w słońcu.

Nazwano go Adamem i nie kazano mu myśleć. Nie zaznał tedy cierpienia, a praca jego była lekka i żywot wieczysty.

O tem mówiły mu codzienne wschody i zachody słońca i rodzące się gwiazdy: Człowiek jest nieśmiertelny.

A wszelako — otoczony nieprzebranym morzem tworów, roziskrzonymi potokami wód, tęczową runią drzew — pierwszy Człowiek nie był szczęśliwy.

Czego to brak Adamowi w tym raju wszelakiej obfitości, pod sklepieniem tysiąca rodzących się słońc, w szumie wód, huku piorunów, uczących go mowy ludzkiej?

Czego to brak Człowiekowi, którego Jahwe obdarzył siłą poskramiania lwów i podarował mu oceany? Oto nawiedziła go Tęsknota.

Nad potokiem Fysonu, który przynosi z ziemi Hewil złoto, pierwszy Człowiek — zapłakał.

A wraz z pierwszą łzą Jego nabrzmiały morza, i uczynił się wielki przypływ.

Tedy dobry Jahwe, obawiając się, że morza zaleją z trudem stworzone lądy, zapytał Człowieka, czego pragnie? Azali nie wystarczają mu już słońca, gwiazdy, żywe twory i złoty piasek?

I ucieszył się dobry Jahwe, że snąć Człowiek posiadał duszę, bowiem zaczął cierpieć.

I w pewną noc, kiedy niedawno poczęty księżyc rozpałił się do białości, usłyszał Jahwe tęskny zew Człowieka:

— Sam jestem...

Rozsierdził się Jahwe i postanowił ukarać Człowieka.

.

A był wtedy dzień bardzo upalny, a po nim noc jeszcze upalniejsza, że wszystkie zwierzęta wybiegły nad brzegi Eufratu i nie mogły zasnąć. Człowiek nie spał również i biegał po zielonych łąkach Edenu, jak oszalały. Nie spały również ptaki i motyle, a Człowiek uganiał się za nimi, chcąc je schwycić. Gdzieś nad mokradłami wypalały się błędne ognie i gasły. Samce zwierząt podkładały się cicho do samic i brały je.

I tylko Człowiek, rozszalały i samotny, biegał po sadzie, gryząc palce z wściekłości.

— Czego chcesz? — zapytał głos z pośród obłoków.

— Sam jestem, więc chcę samki — krzyczał Człowiek — sam jestem, podczas gdy u stóp moich rui się cały świat — zwierzęta, gady, gwiazdy.

— Dałem ci duszę, wystarcz sobie.

— Przecz mi ją dałeś, Panie, skoro teraz pragnę?

— Ukoję twoje cierpienia. Dam ci sen.

I Człowiek zasnął.

Był to jego pierwszy sen. Azali znów jest szczęśliwy, więc odebrano mu pamięć? Oto roztopił się we wszechświecie, zawisnął między gwiazdami, jak ongiś — przestał istnieć. Jak długo trwał ten stan — nie wiedział. Obudził go ból przeraźliwy. W liljowej

otęczy poranku zobaczył ranę krwawiącą: wycięto zeń zebro. Ale pierwszy Człowiek uradował się, albowiem ból ten stłumił w nim tęsknotę.

Nagle usłyszał śmiech. Śmiech podobny do własnego. Obejrzał się: z gąszczy wyłoniła się postać dziwaczna, biało-różowa jak jutrzienka, cała okryta płaszczem włosów, złotych jak słońce. Wstał i, przytrzymując dłonią krwawiącą ranę, zapytał:

— Ktoś jest?

— Kobieta — odpowiedziała.

Człowiek zaczął uciekać. Biegł, jak szalony, przez łąki w szmaragdach, przez gąszcze w mrokach, jak noc. Za nim biegł ów twór nieznany, a śmiech drgał w powietrzu, jak promień. Wreszcie zatrzymał się, albowiem krew uchodziła zeń i słabł.

— Nie ujdiesz przede mną — śmiała się Kobieta.

— Skąd? poco? — pytał, oparłszy się o drzewo mangowe.

— Z ciebiem jest i dla ciebie.

Wówczas, oszalały ze szczęścia, rzucił się na nią, ale Kobieta zaczęła uciekać.

— Schwytaj mnie — wołała.

I rozpoczęła się gonitwa. Lwy, tygrysy i płazy otoczyły tych dwoje, dziwiąc się dzikiej zabawie. Toć oni nie musieli tak długo zdobywać swoje samki, jak on, ich król, a w gruncie słaby, jak małż. O, hej, Człowieku, nie goń jej, sama wróci do ciebie, i posiądziesz ją cichą, jak łanię!

Ale Człowiek, rozsierdzony śmiechem zwierząt, biegł za Złotowłosą, padał, znów powstawał, biegł

dalej. Już słońce gasło, gwiazdy wypłynęły na obłoki. Wreszcie tuż nad krawędzią przepaści schwytał Kobiętę i rzucił się na nią z krzykiem zwycięzcy.

Jedna piorunna chwila i oto, uderzony między oczy falą jej włosów, omal nie stoczył się do przepaści. Więc z ust, spalonych słońcem i żądzą, wyszeptał:

— Czego chcesz?

— Widzisz te błyszczące kamyczki na niebie? Daj mi dwa z nich najpiękniejsze.

I Człowiek, pozostawiwszy nad brzegiem przepaści śmiejącą się Nieznajomą, poszedł w biel księżycy zrywać dla niej gwiazdy...

.

Kiedy szedł, niebo oddalało się przed nim. Czy Jahwe odmówił mu pomocy? Więc poco stworzył Ją, krwawiąc ciało Człowieka? Z bólu jego powstała nowa męka. Jeżeli nie zerwie dla Niej gwiazd, nie będzie mógł jej zdobyć. Cóż to się stało z odwagą Człowieka? Stawał przeciwko stadu lwów, zaś jedna Białoróżana oślepiła go splotem złotych włosów? Adam uczuł w sobie gniew, on, który dotychczas napelniał sady Edenu gruchaniem gołębia. A tymczasem niebo oddalało się od niego coraz bardziej. A może ono nie istnieje? Dlaczego opuścił go Jahwe?

I człowiek zaczął złorzeczyć.

Wtem pod stopami usłyszał syczenie. Biegnąc, nadeptał węża i omal go nie strącił.

— Stój — zasyczał płaz — zali dałeś mi życie?

— Przeklinasz mnie — rzucił Człowiek — pojmuję znaczenie tego syku.

— A czy ty nie złorzeczysz niebu? Jesteśmy braćmi. Daruj mi życie, a udzielę ci rady.

— Mów.

— Znam źródło twojego cierpienia. Cofnij się. Nie zdobędziesz gwiazd. My, pełzający po ziemi, wiemy coś o tem... Ale Bóg odmówił i tobie skrzydeł.

— Co czynić?

— Pełzaj, jak ja, czaruj oczyma, jak ja. Powiedz Jej, że znalazłeś w Edenie inną kobietę.

— Okłamać Złotowłosą, przenigdy!

— Wolisz więc, żeby ciebie okłamała?

— Niechaj się tak stanie.

— Dobry Bóg cię wysłucha, ale tymczasem uczyni, jak radzę...

— Wolę biec na gwiazdy.

— Szczęśliwej drogi, królu stworzenia — zasyzczał ze śmiechem wąż — ale pamiętaj, gdybyś potrzebował mojej rady, znajdziesz mnie zawsze przy tej skale... ukrytego w darni...

A tymczasem Kobieta, pozostawiona własnej przemyślności, zbliżała się zwolna do rzeki. Tam przystanąwszy, jęła się po raz pierwszy przeglądać w głębinie wód. Więc, przeciągnąwszy się leniwie, zaczęła dotykać się ciała i dziwiła się jego prężności. Uczyniwszy z twardego sitowia grzebień, rozczesywała swoje włosy, które obejmowały całą jej postać, gubiąc się w splocie smukłych nóg. W blaskach księżyca uśmiechały się do niej ryby, zapraszając do wne-

trza. Uczyniła śmiały krok i znalazła się w wodzie. Wnet otoczył ją srebrny obłok fali i rozigrał się jej śmiechem. Ryby mówiły do niej swoistym głosem, kraby i ośmiornice ustawiły się służalczym rzędem. Kobieta śmiała się, pluszcząc w wodzie, obmywała krople krwi poczęcia, brała do ręki grona swoich piersi, dziwiąc się ich krągłości. Bawiło ją wszystko: własne ciało, bieliste jak rosnące w Edenie magnolie, włosy złote jak nici pajaków w słońcu, stopy małe, a głęboko zapadające w muł rzeczny. Jedna z ryb o czerwonych skrzelach nasunęła jej myśl, że można przystroić swoje ciało. Więc, sięgnawszy do pobok rosnących orchidei, zerwała jedną z nich i wpięła we włosy. Zaśmiała się ryba, zaśmiała się ośmiornica, rozstawiwszy pieśczołtliwie swoje macki.

Ale Kobietę nie zadowalał już podziw ryb i innych żyjątek morskich. Pamiętała wzrok Człowieka. Czuła go na swoich piersiach, które rodziły paki płonących róż.

I nagle Kobieta — naga i ukwiecona orchideą — z sopłami wody srebrzącemi się w księżycu jak opale — zapagnęła widoku Człowieka. Niechby ją ujrzał teraz obmytą w potokach Fysonu, prężącą się w piaskach, żądną ciepła jego ramion!

— O hej, Człowieku! przyjdź!

Ale on biegł po zielonych murawach Edenu i szukał dla niej gwiazd.

.....

Tymczasem wąż, zohydziwszy sobie martwe szczeliny skał, począł więc się doliną cyprysów, wma-

wiając w siebie, że księżyc ogrzeje go swoim ciepłem. Jakoż nie mylił się, gdyż w on czas księżyc nie był wystygłem morzem łez. Tedy wąż pełzał w świetle księżycowem i syczał pieśń, zwabiającą małże i jaszczurki. Tuż nad brzegiem rzeki oczy jego dojrzały cud. Kobieta spoczywała w polu hiacyntów, a na niej księżyc igrał wraz z oświetlą gwiazd.

Zasyczał gad tuż obok jej stóp, które we śnie szukały tęsknie stóp Człowieka, ażeby się z niemi spleść w węzeł podobny haszczom nadbrzeżnym. Piersi jej dyszały jak fale rzeczne, kiedy słońce wyparza z nich wilgoć, a na wzgórzach płonęły coraz goręcej róże. Pod wpływem syku węża otwarły się oczy Kobiety i wpatrzyły w złociste źrenice gada.

A on syczał mową ludzką.

— O, Hawwe, pozdrawiam cię imieniem tworów pełzających, którym odebrano skrzydła za karę, iż poznały rozkosz zła. O Hawwe, pozdrawiam cię oczarowany tobą i oddaję ci się w służbę.

Kobieta zwróciła na niego oczy, ale zaraz opuściła je, rażona błyskiem zielonych źrenic.

— Nie mogę patrzeć w twoje oczy.

— Nie patrz, jeno słuchaj mnie, mowa jest ciekawsza od widoku białych gołębi. Chcę ci być rabem.

— Kim ja jestem, ażeby ci mogła rozkazywać? — spytała.

— Nie wiesz? Więc posłuchaj: złoto, płynące z ziemi Hewila, jest dla ciebie, ażebyś zdołała niemi ramiona, bursztyny z rzeki Gihon twoje są, ażebyś nizała z nich naszyjniki, kamień Onyhyn twoim jest, ażebyś polerowała nim paznokcie.

— Kłamiesz — zawołała ze śmiechem, oczarowana jego mową.

— Nie wierzysz, więc słuchaj. Bóg stworzył dla ciebie ten cały raj, zwany Edenem, i ten cały świat z mnogością łądów, oceanów, słońc i gwiazd.

— A Człowieka także? — spytała z chytrością.

— On też jest dla ciebie, ażebyś nim igrała, jak pianą morską. Boś ty jest naczynie rozkoszy.

— Nie rozumiem twoich słów — odpowiedziała w niepokoju. — Rozkosz — to radość, a mnie dławią łyzy.

— Kto poznaje rozkosz, musi poznać łyzy.

— Więc nie chcę jej poznać nigdy.

— Od ciebie to zależy — odpowiedział gad, zwinawszy się tuż u jej stóp — ale pamiętaj, gdybyś nie poznała twojej mocy — ujarzmi cię on, Człowiek.

— A więc...

Jednym susem znalazł się tuż i opasał ją smagłem cielskiem.

— Co to było? — spytała po chwili, wpatrując się w niebo, a wokoło była cisza tysięcy miliardów gwiazd — jest mi tak błogo, że aż cierpię.

— To była rozkosz — odpowiedział gad i z sykiem uciekł w gąszcz.

.

Już ranek srebrzył zieleni Edenu, i wszystkie zwierzęta zbudziły się. Ozwały się ryki lwów, szalki, beczenie kóz. Wszelaki stwór witał Jahwe. Aż On sam ukazał się w oświetli słońca.

— Gdzie jest Człowiek?

Nie umiały na te pytania odpowiedzieć zwierzęta.

— Szuka gwiazd — zasyczał gad.

— Gdzie jest Człowiek?

— Szuka gwiazd dla Hawwe — syczał ze śmiechem gad — zażądała gwiazd na naszyjniki.

Przez kobierce traw i grzbiety gór biegł właśnie Adam. Oczy jego pałały dzikim ogniem.

— Gwiazdy, gwiazdy — wołał.

Wówczas odezwał się głos Przedwiecznego:

— Szalony, w dzień szukasz gwiazd?

Skinieniem boskiej dłoni oddalił zwierzęta.

— To dla Niej — krzyczał człowiek — dlaczegoś pogasił gwiazdy?

— Zapaliłem ci słońce. Wróć do niej i daruj jej promień słoneczny.

— Nie zechce — odpowiedział z rozpaczą w głosie.

Wówczas Wiekuisty uśmiechnął się dobrotliwie:

— Tyś wszak królem wszelkiego stworzenia, musi ci być i ona powolną. Aza chcesz chwycić dla niej we dnie gwiazdy? Zawiesiłem je rozmyślnie tak wysoko nad stworami, bowiem zerwałyby je rychło.

— Jakże więc ją zdobyć, o Adonai?

— Daj jej swoją duszę, daj jej myśl, a z onego nasienia poczną się rodzić anioły.

To rzekłszy, Jahwe cisnął w stronę Adama promień słońca i zniknął za lazurami.

Człowiek chwycił w garść promień i pobiegł dalej, uradowany dobrą nowiną. A widząc go roześmianym, podskoczył doń lew i poprosił, ażeby go do-

siadł. A za chwilę uczyniła to samo żyrafa, a później jeszcze struś — i Człowiek wielce chyżo dotarł do brzegów Fysonu. Tam na liljach wodnych spoczywała Kobieta. Jeszcze spała, jeszcze pierś jej kłóciła się z jutrznią szkarłatem. Jeszcze ramiona były wilgotne od rosy, a usta szeptały słowa miłosne. Jednakże obecność Człowieka obudziła ją. Otworzyła oczy, przetarła je włosami i spoglądała nań uparcie.

— Przyniosłeś gwiazdy? — spytała wstając, a lilje wodne usunęły się i jakoby zawisła w powietrzu.

— Nie mam gwiazd, ale oto promień słońca.

Otworzył zaciśniętą pięść, a światło rozplynęło się. Kobieta roześmiała się.

— Oto twój dar — rzekła.

— Mam ci piękniejszy i trwalszy — rzekł z dumą Człowiek.

— Pokaż — świeci jak gwiazda?

— To moja dusza — szepnął, wpatrzony w jej oczy.

— Czem jest dusza?

— Moje dobro, moja tęsknota wieczysta, moja nieśmiertelność.

— Niewiele mi dajesz, skoro Bóg stworzył dla mnie raj i świat cały.

— Wszystko to jest mojem — wykrzyknął — i ty także.

— Spróbuj — roześmiała się Kobieta.

Rzucił się na nią, ale ona zaciśnęła usta, zawarła się w sobie i trwała jak góra kamienna, pyszna a niezdołyta.

Zdyszany, oszalały zerwał się i spoglądał na nią nienawistnie.

— Czem więc jesteś? — szepnął zdumiony — im dalsza tem bliższa, im bardziej niedosiężna tem więcej pożądana.

— Jam jest Kobieta i wszystko jest moje...
I ty mój...

Rozwarła ramiona i przytuliła go do siebie.

Zapadli w otchłań ciemną, jak noc.

W przyległych haszczach syczał gad.

Pierwsza zbudziła się Kobieta.

— Dość — rzekła, odsuwając Człowieka — skoro nie potrafiłeś zerwać gwiazdy, skoro uroniłeś promień słońca, zdobądź dla mnie ogień...

— Ogień? jak, poco?

— Ja — nie wiem, wyrwij go bodaj błyskawicy. Poco? ażeby ugotować strawę, bowiem jabłka rajske już mi się sprzykrzyły.

Człowiek, z opuszczoną głową, pełną jeszcze radosnego szumu, zbierał się leniwie do odejścia.

— A kiedy przyniosę ogień — zaczął nieśmiało — zezwolisz mi legnąć przy sobie?

— Wówczas przyniesiesz sitowia na odzienie.

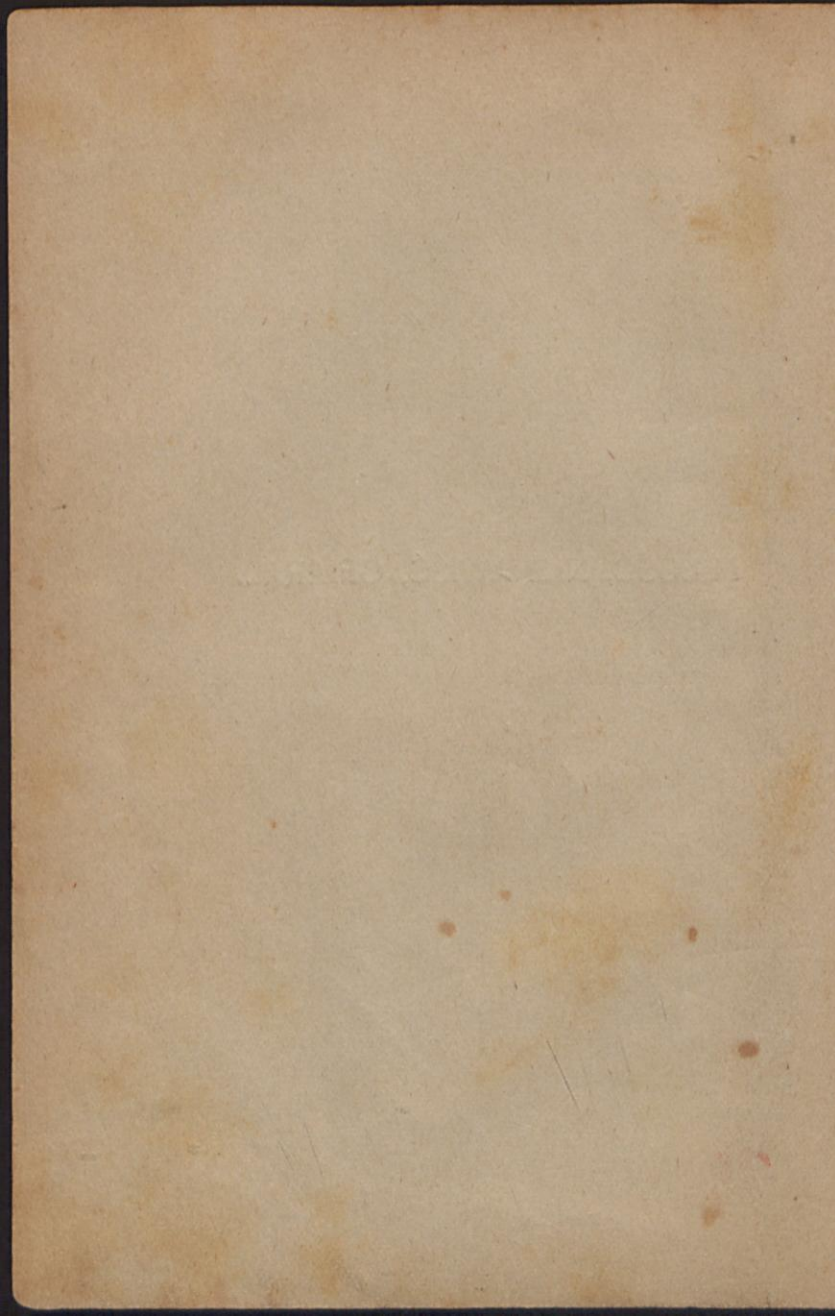
— A kiedy przyniosę sitowie, zlegnę przy tobie?

— Przedtem dobędziesz bursztynu na manele...

I odszedł wielce zamyślony.

A wówczas Hawwe przywołała węża, i oboje śmieli się z głupoty pierwszego Człowieka...

MIŁOŚĆ, NIENAWIŚĆ, OFIARA...



A G A R

...Wyrzuc tę służebnicę i syna jej...

Genesis. XXI. 10.

Nad studnią to było, w on czas, kiedy zachodzi słońce, i wszystkie kobiety z Betel czerpią wodę dla bydła. Pośród nich szła także Agar, służebna Sarowa. W upalny dzień przyciężko było dziewczynie, więc odrzuciwszy czarne kosy, ugiwała się pod brzemieniem. Do namiotów było daleko. Szły wszystkie pochylone, a wśród nich Agar, służebna Sarowa, smukła jak drzewo cyprysowe. Do namiotów było daleko.

Jakoż nie wszystkie niewiasty wracały do zagrody. Poniektóre, mające kochanków, korzystały z czasu przedwieczera i wymykały się na pustynię: Leia miała Harama, Rutah — Solema, Ketura — Meryka. Ale Agar nie miała żadnego. Czy nie wstyd ci, Agar?

Ach, ciężko jej dźwigać dzban, pochyła się cała postać i pot spływa kroplami. Nie ma Agar kochanka, bo nie mogła go sobie upodobać w ciżbie sług Abrahowych — choć krew w niej płonie jak lawa, a dojrzale piersi dopominają się łoża z ziół pachnących.

I pragną ramion krzepkich, opasujących ciało ognistym pierścieniem. Czemu więc nie uległa dotąd pożądliwym oczom pasterzy z równin Moreh i kupcom z Betel i Haj? Ponoć spojrzenie ma dumne, obawiają się jej pasterze i kupcy, a pani jej, Saraj, nazywa Agar ze śmiechem księżniczką. Dokuczy czasami nietylko dzban wody, ale spojrzenie księżniczki. Agar smutnie wodzi oczyma po oazie. Już Leia drży w ramionach Harama, Rutah — pieści tors Solema. Daleko jeszcze do namiotów.

Agar czuje się bardzo znużoną. Pracowała dziś długo w polu i w winnicach, i przy krośnię. Zła jest pani jej, Saraj, obarczając ją najcięższą pracą, podczas gdy inne dziewczęta przeciągają się leniwie i śpiewają pieśni. Saraj nie lubi Agar i bezustannie karmi ją piołunem. Za co?

Czy nie pracuje, czy szczędzi sił dla dobra Abramowego? A przytem skromna jest i trwożliwa jak łania, gdy tymczasem inne dziewczęta szukają igraszek i swawoli. Zła jest Saraj.

I nagle w sercu Agar powstał bunt przeciw niesprawiedliwości. Nie wróci do namiotów. Przed nią złoci się pustynia, bezkresna, olbrzymia, jak słońce rzucone na ziemię. Agar czuła, że za tą pustynią jest świat. Mówili jej o tem kupcy z Ur, przywożący myrrę i hiacynt. Pójdzie daleko z tym dzbanem wody, przekroczy pas nieba, dzielący pustynię od ziemi. Tam jest świat.

Skierowała szybko kroki do pustyni. Już zmierzchnął otoczył ziemię czarnym pierścieniem. Gwiazdy ocią-

gały się jeszcze, chociaż księżyc blady, wąski jak bielmo, zapraszał je na gościniec. Nagle z za wału kamieni, które rzuciła kiedyś ręka Pana na pustynię, wypadła postać ludzka. Agar z trwogą poczęła uciekać. Ale człowiek biegł za nią.

— To ja, Hasal, syn Achaba.

Agar zdawało się, że majaczy. Syn ksiązęcy tu, na drodze do pustyni? Co on tu robił i czego chce od niej?

— Agar, zatrzymaj się — wołał — dokąd idziesz? Nie było rady. Przystanęła. On był tuż.

— Dokąd idziesz w godzinie pierwszych gwiazd?

Agar milczała. Opuściła oczy, a na policzkach zakwitł rumieniec. Wolałaby raczej zobaczyć węża, niżeli tego, przed którym drżało jej serce. Był synem księcia z dalekich stron i gościem bawił w domu Abrama.

A on mówił:

— Nareszcie, Agar, nareszcie wyrzały gwiazdy i jest noc. I mogę do ciebie przemawiać w samotności.

Stała wciąż pochylona pod brzemieniem dzbana i ogromnego smutku, który nią zawładnął. Zdjął z jej ramion dzban, smutku nie zdołał, bowiem z serca nie mogą go zdjąć nawet ręce ksiązęce.

— Spocznij — rzekł cicho.

Ale ona zaczęła biec, zdjęta nagłym strachem.

— Agar, stój — wołał za nią — nie uczynię ci zła. Błogosławię Przedwiecznego, że pozwolił mi zobaczyć cię samą.

Przystanęła, niepewna, jak dzika sarna, spoglądała na młodziana. Czego chce od niej, niewolnicy, ten syn książęcy? A on przybliżył się do Agar i ujął ją za rękę.

— Pójdź, gołębico — rzekł — siądziemy na tych kamieniach. Jest cisza w świecie, i będziesz mogła mnie wysłuchać.

A kiedy spoczęła, zaczął mówić:

— Błogosławione imię Pana, który stworzył ziemię, gwiazdy i morza. Błogosławione imię Pana, który stworzył dla człowieka kobietę. Agar, azali chcesz pójść ze mną i zostać moją małżonką?

Ona zaczęła nagle płakać.

— Cóżem uczyniła ci, synu Achaba, że mowa twoja cudna, jak zapach lilji, brzmi w moich uszach jak śmiech szakala? Jam jest Agar, niewolnica i służebna Abramowa, a tyś jest Hasal, syn książęcy. Czy może noc porać się z porankiem?

— O tak, Agar, albowiem między nocą a dniem stoi świt, a jam jest jak ów świt przed słońcem, który przyszedł ci zwiastować poranek. Nie od dziś, nie od wczora oczy moje zachwyciły się tobą, Agar. Jak za gwiazdami ciągnie miesiąc, jak za karawaną płynie złoty obłok piasku, tak moje oczy za tobą szły od dnia, kiedy cię zobaczył.

— Jakże się to stało, że upodobałeś mnie sobie, panie? — spytała cicho.

— Był zachód słońca, kiedy niewiasty podążają po wodę do oazy Nizan. Szłaś i ty, ale nie jak inne niewiasty. Zdawało się, że płyniesz jak obłok po niebie, a cała twoja postać, smukła jak cyprysy, kłaniała

się zachodzącemu słońcu. I pomyślałem, że tyś, Agar, najpiękniejsza z pięknych i dziękowałem Panu zastępów, że rzucił cię na drogę mojego żywota. Czy pamiętasz, kiedy nazajutrz znalazłem się podłe źródła i pomogłem ci czerpać wodę?...

— Pamiętam — odpowiedziała cicho — spoglądałam na ciebie, panie, i oczy moje piły wszystek raj ziemi. Lecz usłyszały o tem uszy pani mojej, Saraj, i krwią spłynęły moje plecy od chłosty.

— Błogosławione ciało twoje, które spłynęło krwią dla mnie, Agar... Czym ci więc miły, liljo, rosnąca w dolinie?

Milczała chwilę, jakby szukając słów, a może wstydzając się ich.

A potem zaczęła mówić, jakby do siebie.

— Miły mój, który pasie owieczki wśród lilij mojego ogrodu. Miły mój, który obudził śpiącą w ogrodach ciemnych po zachodzie słońca i który skropił ciało srebrnymi kroplami gwiazd. Niechaj się pasie młody jelonek pośród winnic, w których poczęły się zieleń i aloesy.

— O, Agar, jako ruczaj płynie twoja mowa, i oto zapłonęły róże na twoich piersiach.

— Zmierzch jest, luby, o wschodzie słońca płoną dopiero wzgórze, a pan mój, daleki wędrowiec, niebawem wyruszy w drogę.

— Pójdziemy razem, Agar, zbudzę cię jeszcze przed świtem, ażebyś nie zdążyła zapomnieć.

— Azali mogłabym zapomnieć o wszystkim słodczy miodu, czując jego zapachy, albo o bieli kości słoniowej, widząc lica umiłowanego?

Przestali mówić, wsłuchując się w swoje oddechy. Dziewczyna liczyła gwiazdy, Hasal myślał o oddalonej ojczyźnie. Noc niosła zapachy nardu i krwi. Z oazy Nizan słyszać było nawoływania pasterzy. Gdzieś poszczekiwał szakal, wzywając samkę.

Hasal, syn Achaba, w ciemności nocy szukał dłoni Agar, myśląc o jej ciele pachnącem i prężnem, a ona omdlewała od oczekiwania. Naraz błyskawica rozświetliła niebo. Otworzyły się obłoki, gwiazdy zapadły w otchłań. Rozległ się grom, straszliwy jak głos Boga.

Agar, zrazu oszołomiona hukiem, upadła na ziemię, poczem zaczęła szukać Hasala. Znalazła go leżącego nawznak, przy blasku błyskawicy dojrzała bladeść na jego twarzy. Nie poruszał się.

— Luby mój — wołała wśród ciszy pustynnej — wstań, czekam na cię cała twoja. Czas wstać przed godziną ostatnich gwiazd... droga nasza daleka.

Była cisza, i żaden głos nie mącił spokoju. Agar poruszyła zwisającą dłoń Hasala i wołała coraz głośniejszej, coraz niespokojniej:

— Czemu nie wstajesz, kochanku mój, skoroś miły jest i wszystkim pożądanym? O, bierz mnie, jako jelonek łanię — i owionęły mnie strumienie wody gorącej, która bije ze wzgórza. Czy nie chcesz niewolnicy swojej, małej Agar? Wstąp w zagonki ziół wonnych, abyś pał w ogrodach i abyś zbierał lilje...

Ale Hasal nie odpowiadał. Rażony gromem, spoczywał u stóp dziewczyny, a oczy jego, otwarte i spokojne, spoglądały w niebo z niemem pytaniem.

— Obudź się, obudź — wołała Agar, okrywając całunkami martwe ciało młodzieńca — bo oto gasną już gwiazdy, i mamy iść w pustynię. Także to, o Adonaj, zaszydził z Agar, żem licha jest, niewolna i słaba?

Opanowana dziką rozpaczą, biegła wokoło, złorzecząc:

— Czemuś mi go zabrał, o Przedwieczny, skoro nawet czerw ma czas kochania, choć żyje od gwiazd do gwiazd. Wróć mi go, wróć mi Hasala.

Jakoż uczyniła się cisza wielka, i jasność wstąpiła na niebo.

— Agar — zawołał głos jakiś silny jak grom, a słodki jak dźwięk arfy — Agar, jam jest Ten, który stworzył świat i pogrążył go w potopie za nieprawości jego.

— Adonaj — zadrżała Agar i upadła na ziemię przerażona.

— Jam jest Ten, który w miłosierdziu swoim łuk rozpiął na niebiosach, jako wieczne przymierze moje z człowiekiem.

Zalękniona i starta w proch leżała Agar, nie mogąc przemówić słowa od wielkiego wzruszenia i radości.

— Adonaj — wyszeptała — błogosławione imię Twoje od wschodu do zachodu. Azali to pewne, ażebym ja, służebna Abramowa, mogła słyszeć swojego Boga?

— Agar — grzmiał dalej głos wśród obłoków — Agar wstań i idź w spokoju, za twój ból i poniżenie rozmnożę nasienie twoje, iż nie będzie zliczone. Oto syna porodzisz, a nazwiesz imię jego Ismael. A będzie on wielki i drzeć będą przed nim ludy.

— Syna porodzę — powtórzyła z przerażeniem kobieta — ale z kim go pocznę, o Przedwieczny, skoro odebrałeś żywot Hasalowi?

— Miłość złoż na całopalenie, niewiasto, a będzie ci to policzone w nasieniu twojem.

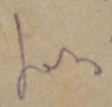
Rozległ się grom, i świat zatrzęsł się w posadach.

Agar padła na ziemię i zalała się łzami...

.

Wracła do namiotów wielce smutna i zalekniona. Oto zważyło się brzemię na jej młode barki. Naznaczona jest w miłości, naznaczona śmiercią ukochanego i począć ma syna. Jakże się to stanie, jakże to może być wbrew jej woli i chęci? „Wielki jesteś, o Przedwieczny, lecz mierzysz stworzenie człowiecze miarą Twoją, a kruche ono, jak naczynie gliniane“.

Był ranek i przed namioty wyległo wielu służby Abramowej, jako że włości miał mnogie i dużo srebra i złota. On sam stał na wzgórku obok drzew manguowych i patrzył na swoją chudobę, wsparty na długiej lasce. Oto wszystko jest jego, i pola i trzody, i zakopane w górach złoto — chwała niech będzie Przedwiecznemu — aliści trapi go myśl smutna, że oto brak mu dziedzica.



— O, Adonaj — modlił się — Ty, któryś mi się ukazał w ziemi Chanaan, Ty, któryś powiedział: „Wzniesь oczy swe, a spojrzysz z miejsca, na którymś teraz na północ i na południe, i na wschód i na zachód słońca — wszystką bowiem ziemię, którą ty widzisz, dam tobie i nasieniu twemu na wieki“.

Tak się też stało, ale w dobroćliwości przepomniał snać Bóg o obietnicy.

— „A rozmnożę nasienie twoje jako proch ziemi; bo jeśli kto będzie mógł zliczyć proch ziemi, tedy i nasienie twoje zliczone będzie“.

A przecież Saraj była w wieku i on był stary, coraz starszy, więc oto niepokój targał sercem Abrahama, że zginie, co zasiał, i rozproszy się, co zebrał.

I stojąc tak na wzgórzu podług drzew mangowych i błogosławiąc swojemu dobytkowi, zoczył idącą w pośpiechu niewiastkę. A była to Agar, idąca od pustyni. Więc zdziwił się starzec, skąd wraca o tak rannej porze i w sukniach poszarpanych. Ale oczy jego zdumiały się bardziej jeszcze, widząc złocistą otokę nad jej głową. I stary mędrzec, który był rozmawiał z Bogiem i znał wszystkie tajnie, zrozumiał, że oto zmierzają do jego namiotów Panowa niewiasta...

A Saraj, która wyszła do rannego obrządku, zoczywszy służebną, zapalała słusznym gniewem. I dopadłszy do niej, chwyciła za kędzierze i poczęła wykrzykiwać.

— Skąd wracasz, wszeteczna!

Tedy zeszedł Abram ze wzgórza, obok którego rosły drzewa mangowe, i zbliżył się do niewiast, za-

czem położywszy pomarszczoną dłoń na głowie dziewczki, rzekł:

— Idź w spokoju, Agar.

— Jakże to — wołała Saraj — nie widzisz, panie mój i mężu, że powraca w szatach poszarpanych z nocną rosą we włosach?

— Zostaw ją, Saraj, to niewiasta znaczone przez Boga.

Saraj wybuchnęła złym śmiechem.

— Od kiedy to pan mój w nieczystem stworzeniu widzi gołębicę? Dziewka jest i trza ją wychłostać.

— Saraj, oczy twoje niewidzące, a język plugawy. A poczem, zwróciwszy się do milczącej Agar, rzekł:

— Pozdrawiam cię imieniem Przedwiecznego.

I ku zdumieniu Saraj i mnogiej ciżby, która zwabiona głosami nadbiegła z pasiek — ujął ją za rękę i prowadził do namiotów.

Saraj, upokorzona i gniewna, podążyła za nimi z pochyloną głową.

.
.

Od onego dnia Agar żyła dziwnem życiem. To, co ją spotkało w pustyni i u namiotów Abramowych, wstrząsnęło jej duszą. Sprawdziły się oto jej modlitwy: posiadała umiłowanego, nie równego sobie, nie z pośród sług i niewolników, ale — syna książęcego. Nic to, że zginął na pustyni od gromu Boga, niech będzie pochwalone imię Jęgo — on pozostanie żyw na zawsze

w jej sercu, jako oblubieniec wstępujący do świątnicy. Czyż bowiem nie jest oblubienicą Hasała, który padł na pustyni, skoro nazwał ją żoną i tulił w ramionach? Wieczystem jest nie ciało, lecz słowo. A ono było między nimi, jak kamień na pustyni, i nie rozłamia je lata, a spoją piaski, gnane wichrem set.

I oto Agar żyła w cudownym śnie niebytu. Wstawała o świcie, chodziła do żaren, podbierała ule, siadywała wieczorami do krosen — a dusza w niej drzemała. Czasem tylko, kiedy skazana przez mściwą Saraj na ciemnię, nie mogła zasnąć — ciało jej wygrzane słońcem pustyni, wysuszone długim postem — domagało się pieśszoty. Wówczas naga, ciskając kolana, gniotąc w palcach nabrzmiałe piersi, tak oto wzywała Hasała:

„Zwlekłam suknie moje, jakoż je oblec mam, umyłam nogi moje, jakoż je zmazać mam — a mój miły odbieżał ode mnie.

„Jać śpię, ale serce moje czuje i słyszy głos miłego mego, kroczącego do mnie.

„Miły mój jest przy mnie, a ja go nie widzę, kolana moje rozstały się, a głowa moja pełna jest rosy, a kędzierze pełne kropli nocnych.

„Jać śpię, ale usta moje gorzeją i czekają owocu, którego miąższ słodki jest i nabrzmiał.

„Omdlewam na głos mojego miłego, gdzież on jest, o siostry moje, gdzie on jest najmilszy, a wargi jego jako lilje, sączące myrrę“.

Była noc i głos jej zamierał w ciszy. Wówczas do ciemnicy zaglądał Anioł Pański i kładł ręce na

skronie Agar. I spływał na nią sen, a rano budziła się we łzach, a nad jej głową czyniła się jasność.

Wówczas ludzie niewolni stronili od niej, i nawet Saraj spoglądała na służebną okiem nienawistnem, okiem pełnem zdumienia i trwogi...

.
.

Po złożeniu Przedwiecznemu ofiar z owiec i kozłat, wracał do namiotów Abram. Był dzisiaj zasmucony, sam ze stadami bydła i mnogą ilością srebra i złota. Życie jego, znojne i mozolne, pozostawało za nim, łaska Boga, której doznał w Chanaan, nie powtórzyła się. Odstąpił Jahwe sługę swojego. Nadomiar tych udręk Abram czuł, że grzeszy myślą nieprzystojną — on, starzec na schyłku dni.

Od lat dziesiątków nie dzielił łoża z Saraj, starą i swarliwą.

I zdawać się mogło, że myśl o niewieście uleciała z niego, jak swąd smrodliwy. Aż oto odniedawna, od ranka owego, kiedy stał na wzgórzu podle drzew mangowych i obaczył Agar, idącą w słońcu, usłyszał głos kuszący, poczuł w sobie siłę młodzieńca.

I oto przechyliła się czara jego cierpień. Zdałóż się, Panie, u kresu żywota zaznać żądz cielesnych? o, przecz doświadczasz sługę twojego, Adonaj!

Aza w onej chwili, kiedy był przywarł żrenicą do szpar w namiocie, gdzie spała Agar — byłeś przy nim, Wiekuisty?

Aza w onej chwili, kiedy kąpała się, a on stał ukryty za drzewem figowem, byłś przy nim, Wiekuisty?

Srom i hańba idą za starcem wślad i pozbawion będzie chwały, którą przyrzekł jego nasieniu Adonaj. Mszczą się na nim grzechy Adamowe, a drzewo zła zapłonęło przed jego namiotem.

Tego dnia nie widział Agar, i ogarnął go niepokój, co się stało z dziewczyną.

— Gdzie Agar? — zapytał Saraj — wchodząc do namiotu.

— Co ci do niej — roześmiała się — аза może zaginać „naznaczona przez Boga“?

Abram zmarszczył brwi.

— Pytam o Agar — powtórzył.

— Agar, bezustannie Agar, wszyscy jeno o nią pytają, przecz o mnie nie pytają?

— Bowiem wszyscy cię słyszają — odpowiedział.

Usiadł milczący, nie śmiąc pytać, a smutek legł na sercu i przytłoczył kamieniem.

A tymczasem Saraj mówiła:

— Leniwa-ć ta Egipcjanka, jeno o igraszkach myśli i swywoli. Przepędź ją.

Starzec wstał, z oczu jego sypały się skry.

— Kłamiesz — rzekł — dziewczka jest czysta, jak lilija. A to powiadam ci: ukarana będziesz i nawrócisz się do niej.

— To wždy ci ją do łóżnicy przywiodę? — zapytała ze śmiechem.

— I tak się stanie — rzekł Abram, wstał i wyszedł przed namiot.

Saraj została sama. Dość już miała tego starca, który od wielu lat chodził niby w otokach słońca, prawiąc o widzeniach z Bogiem. Miałby się komu okazać Pan zastępów! Temu, który się jej, żony, wyrzekł ze strachu w ziemi Faraonów, podając za siostrę. To też, porwana przez księżęta egipskie, dobrze im świadczyła. To chyba nią, Saraj, opiekował się Bóg, zesławszy plagi na Faraonów. Czy mogła miłować takiego męża?

Było późno. Saraj, zmęczona całodzienną pracą, legła na posłaniu.

Nie mogła zasnąć. Trapiły ją myśli koszmarnie. A kiedy wreszcie przymknęła oczy, zaczęły się dziwne czynić w namiocie. Oto rozwarły się ściany, i stanął w nich mąż nieznany.

— Bywaj, Saraj — rzekł dźwięcznym głosem.

— Owom ja — odpowiedziała w półśnie, drżąc cała.

— Niechaj będzie błogosławione imię Wiekui-stego — rzekł nieznajomy — przynoszę ci dar Pana.

— Och, grzeszna jestem — zapłakała stara.

— Bóg wybacza nasieniu ludzkiemu od chwili, kiedy zbłądzili wygnańcy Edenu. Przynoszę ci dar droższy od złota: radę mądrą.

I pochyliwszy się nad łóżem Saraj, dodał szeptem:

— Ażeby zatrzymać przy sobie Abrama, daj mu dziecko.

Saraj wstała oblana zimnym potem.

— Co rzeczesz... w leciech osiemdziesiątych mam-że porodzić dziecko...?

— A skoro nie możesz sama, oddaj mu za żonę niewolnicę Agar.

— Jakże to — wybuchnęła Saraj, mamże mu sprowadzać dziewczkę służebną. On mi jest mężem, a ja mu żoną. Nie ścierpię tego.

— Miłość złóż na całopalenie, niewiasto, a będzie ci to policzone w nasieniu twojem.

I nieznajomy zniknął, a ściany namiotu zeszyły się jak kielichy lilji po zachodzie słońca.

.

Od onego snu, czy objawienia, Saraj zmieniła się wielce. Już nie krzyczy całymi dniami na niewolników, już nie dogaduje Abramowi — cicha jest i pokorna. A na Agar spogląda życzliwem okiem. Wczoraj o zachodzie słońca przywołała ją do siebie i kazała drzeć wełnę. Przypatrywała się dziewczynie i pomyślała: „Przecież nie posiadam takiej córy“. A Agar siedziała przy niej trwożliwa jak sarna. Tej nocy był u niej Hasal i pieścił ją, że czuła na piersiach jego dłoń gorącą. I zdawało się jej, że wszyscy o tem wiedzą. I zapłoniła się jak róża pod badawczem okiem Saraj.

— Posłuchaj — rzekła nagle stara kobieta — byłam ci gniewna i źle życząca. A teraz zmieniła się moja dusza. Pójdź ze mną.

— Jako że pójdę z tobą, pani, skorom uboga i niewolna — odpowiedziała smutnie Agar.

— Bądź drugą żoną mojego pana — wyrzuciła jednym tchem, spuszczaając oczy.

A kiedy dziewczyna zerwała się, dotknęła sromotą usłyszanej mowy, podeszła do niej Saraj i zaczęła prosić ze łzami w głosie:

— Na Boga! bądź mi dobrą Agar. Wiedz, że jeśli nie będzie pan mój miał syna, porzuci mnie i pójdzie — słysz, Agar, pójdzie!

I ulitowawszy się nad starą i jej boleścią, odezwała się Agar:

— Cóż mam więc uczynić?

— Ulegnij Abramowi i niech z tobą płodzi.

— Przenigdy — zawołała Agar — to być nie może. Jam zaślubiona innemu.

Na chwilę Saraj wpadła w dawny gniew:

— Jakże to? zaślubiona? Komu, kiedy? Śledziłam twoje kroki!

— Mój luby oczy ma sokoła, a piersi lwa. Dwa rzędy pereł to zęby jego, a język płomień. I rozkwitły przed nim doliny róż i siał on lilje wodne. Czym winna, że obłapił moje piersi, gdym sama mu je dała, albowiem był spragniony. I sama piłam latorośl winną, bo chciałam pić!

— Wszeteczna, kto on! — krzyczała Saraj. — Także to cenisz chwałę, którą ci dawam. Powiedz jego imię.

— Ach, imię jego dzwoni jak skowronek, a wonieje jak zioła leśne. On ci jest syn książęcy. Wszelako nie masz go tu. Na pustyni został, tam śpi mój kochanek, Hasal syn Achaba.

Roześmiała się szerokim śmiechem Saraj.

— Pomieszało ci myśli. Wstań. Zaprowadzę cię do niego.

Ale Agar płakała.

— Słysz, pójdz do Abrama. On cię ukoi. Choć stary, silny jest. Ach, bardzo silny. I da ci manele złote...

— Jam żoną księcia — jęczała cicho Agar.

— Głupiaś, Hasel zginął na pustyni. Abram bogatszy, da ci złote manele.

I ujęła dziewczynę mocno za rękę.

.

Noc. Wszystko śpi. Ludzie, bydło, gwiazdy. Jenó stary prorok czuwa. Spogląda tęsknie w przymknięte zasłony namiotu. Upalna noc. Gore, wszystko płonie. Nagle rozsunęły się podwoje. Stanęła w nich Saraj.

— Mężu mój, oto niewiasta twoja.

Czy gwiazdy spadły na ziemię, czy zaśpiewała wszystka ziemia hymn Panu? Zamknęły się podwoje. Uczuł zapach młodego ciała.

— Agar — wyszeptał — gore mi.

A ona szła z zamkniętymi oczyma.

I padła na łożę.

Ogarnął ją sobą.

— Gołębico moja!

— Kochanku mój, gdzieżeś bywał tak długo? Jam spragniona cię jak dżdzu. Spalone ciało moje. Niech luby mój odwilży je. Moje ramiona jak konary wonnego drzewa, żywot mój jak łożę z tamaryseki

— Agar, młodość twoja czyni mnie lwem.

— Haselu, miłość twoja czyni mnie sarną.
Spełniło się...

.

Jak tygrysica, której zabrano małe, biegła pod namiotem Saraj. Tam więc, za ścianami z płótna mąż jej prawy hołubi dziewczkę służebną. O, czemu zgodziła się! Kim był ten nieznajomy! Dlaczego usłuchała jego rady?

Lecz — nic to! Pomści się po stokroć. Wypędzi wszeteczną. Wypędzi z pomiotem, który poczyną się w tę noc przekłątą.

Na pustynię!...

.

Był ranek, kiedy nasycony Agarą wstał Abram z łoża i pozostawił ją śpiącą z uśmiechem na licach.

Wyszedł przed namiot. Był świt. Obóz spał.

Stary prorok spoglądał z trwogą na niebiosa. Co uczynił? Zhańbił śluby, zbeszcześcił niewolnicę. Jaką karę zada mu Wiekuisty?

Ujął laskę i poszedł daleko za namioty. Szedł długo. Minął zagrodę, przed nim była pustynia. Padł na piaski i począł wzywać Wiekuistego:

— Panie mój, Ty, któryś ukazał mi się w ziemi Chaanan i obiecał wieczne przymierze, Ty, któryś przyrzekł mi włości niezliczone i potomstwo mnogie, przebacz!...

Bił czołem w piaski — daremnie! Żaden głos nie odpowiadał w ciszy pustynnej.

— Ukarz mnie, Panie, ukarz mnie, Paniel

— Abramie, przez pamięć twojego czynu oto daję ci imię Abraham — odezwał się nagle głos w przestworzach. — A żonie twojej — Sara.

— Przedwieczny — zawołał, drżąc ze strachu, prorok — błogosławione niech będzie imię Pana mojego po tysiąc tysięcy lat...

A poczem, bijąc się w piersi, wołał:

— Zgrzeszyłem, zgrzeszyłem, posiadm niewolnicę, zabrałem jej dziewictwo! Ukarz mnie, Panie.

— Wróć do swojej żony, Sary — odpowiedział głos z za obłoków — i spłodź z nią syna. A nazwiesz go Izaakiem.

— Panie, toć ona ma bezmała sto lat, jakże z nią będę płodził syna?

— Żądałeś kary — odpowiedział Przedwieczny — i niech się stanie.

Zgarbiony, postarzały, wracał do namiotu prorok Abraham. Życie ciążyło mu jak mieszek z kamieni.

A na niebie słońce stało w pośrodku. I pomyślał włodarz, że czas już minął, kiedy wypuszczono bydło na pastwisko.

.

Saraj, chcąc dokuczyć Agarze, zwołała parobki i dójki. Wszyscy stanęli rzędem, a ona szła z zawiąnięciem, tuląc dziecko przy piersi. Za nią szedł śmiech i drwinki.

Saraj wołała:

— Precz, nieczysta!

I do młódek:

— Obmyjcie po niej ławy.

A Salem, którego nie chciała, krzychał:

— Hej, księżniczko, za płótem znajdziesz kochanka.

A Natan, którym wzgardziła, wołał:

— Nie zgub wianuszków!

Na wzgórzu, podle drzew mangowych stał Abraham, podpierając się na długiej łasce. Stał i patrzył...

Był podwieczerek. Na niebie gromadziły się chmury. Różowe, czasami szkarłatne, jak krew. Jedna jedyna gwiazda świeciła na niebie. Do oazy Nazan płynęły stada gołębi. W tym kierunku szła kobieta z dzieckiem. Z jego dzieckiem. Czemuż nie szedł za nią? Czemu nie rzucił laski i nie biegł za nią? Kto to uchodzi na pustynię? Jego kobieta? Nie. Więc sen? Nie. Odchodzi jego młodość.

„Nie goni się młodości — myślał mędrzec — bo ona mści się i odbiera rozum. Nie goni się własnego cienia, bo on prowadzi do topieli. Stój, starcze, spoglądaj na własny pogrzeb. Umarły nie porusza się. Umarły należy do ziemi!“

Tak myślał Abraham, sługa Pana, i płakał oczyma bez łez, a tymczasem Agar szła prędko, tuląc dziecko.

Szła na pustynię, do tego miejsca, gdzie spotkała Hasela.

Czy cierpiała?

Niel Dobry Jahwé, kiedy zadaje cios ciału, odbiera zmysły. Agara nie czuła krzywdy, Agara nie

słyszała przekleństw Sary i śmiechu niewolników. Tu-
liła však do serca dziecię poczęte z Haselem i nio-
sła je do ich wspólnego domu — na pustynię.

I, idąc, mówiła:

„Luby mój — otom jest dotknięta palma, która
rodzi owoce. Złocisty jest owoc mój i niosę ci go
w darze.

„Niechaj pan mój nie rozgniewa się, że lilja
zamknęła kielich, i rozplakały się sarny, zabłąkane
w górach.

„Niechaj nie płacze luby mój, że uszkodził wieżę
z kości słoniowej, bo wystrzeli z niej chorągiew,
przed którą klękną wojska.

„Luby mój, łza rodzi rozkosz, podobnie jak roz-
kosz rodzi łzę, — więc płacz i miłuj mnie, więc miłuj
mnie i płacz!”

.

A tymczasem noc nadchodziła, noc nad pustynią.
Agar szła coraz wolniej, a pragnienie piekło jej usta.
Czasami siadała na piaskach, ale żar pobudzał ją do
ucieczki. Czy niema kresu puszczy Beerzeba? Gdzie
jest dom Hasela, syna Achaba?

Miał królestwo i miał mnogie zamki. Miał cizbę
ludzi i żołnierzy. Gdzie jest kraj Hasela?

I to dziecko cięży, jak kamień.

Dziecko Hasela.

— Wody, wody!

A pobok było źródło, którego nie widziała.

Umierała z pragnienia, kwiliło dziecko.

— Agar, Agar — usłyszała głos zwysoka.

— Owom ja; któskolwiek jest, błagam cię o kroplę wody... dla dziecka!!

— Pozdrawiam cię, niewiasto Panowa.

— Wody, wody!

— Pozdrawiam dziecię, spłodzone z Agar i Abrama. A imię jego Ismael.

— To dziecię Hasela.

— Odwróć się, Agar, oto z tej skały wytryska woda.

Agar rzuciła się do źródła i napiła się wody. I nagle wróciła jej pamięć. Zrozumiała wszystko. Biegając wokół źródła, jak szalona, wołała:

— Panie, coś uczynił ze mnie? Gdzie jest moja miłość?

I usłyszała głos z wysokości:

— Wstań, weźmij dziecię, a ujmij je ręką swoją; bo w naród wielki rozmnożę je.

R E B E K A

... Oto Rebeka przed tobą,
weźmij ją, a idź...

Genesis. XXIV. 51.

— Batuelu, Batuelu — wołał stary Nahar — szukając od dłuższego czasu syna. Nie było go w obejściu, nie było poza namiotami. Zapewne znowu śpi — myślał — bezustannie śpi. A cały dobytek korzysta ze snu pana. Niewolnicy i słudzy rozproszyli się po dolinie i leniwie prażą się w słońcu. Batuelu, Batuelu!

Batuel istotnie spał. W kryjówce, poza polami kukurydzy, w umyślnie wykopanym dołku. Czy koniecznie musi uganiać się po obejściu? Czy nie jest najpiękniejszą chwilą sen? Ubogi człowiek we śnie staje się bogaczem, bogacz — księciem. Bóg, dając człowiekowi sen, wynagrodził go za chwile bóleści. Spać — to nie tylko odpoczywać, to skrócić życie i błędzić jedną nogą w krainie wieczności.

Batuel słyszał głos ojca, lecz — zaprawdę! nie warto się odzywać. Wiekuisty i tak obsiał pola i porzawieszał owoce na drzewach! Trzeba umieć korzystać z płodów, nie pracując. Inaczej można ściągnąć na

siebie karę, za zbytnią chytrą i chęć gromadzenia bogactwa.

A tymczasem sędziwy Nahar, postukując laską, kuśtykał po obejściu, rzucając gromy na służbę z powodu jej lenistwa. Jego bystre acz stare oko widziało rozprężenie w gospodarstwie syna i rychły upadek z takim mazołem zebranego dobytku.

W pewnej chwili Nahar rzucił laskę i począł biegać po majdanie, spostrzegłszy owce, gromadzące się obok studni, bez najmniejszego dozoru.

— Gdzie jest Laban, niegodziwy Laban, który przecież powinien wyręczyć ojca! Czy znów siedzi w namiocie nad złotymi blaszkami?

Jakoż dojrzał go poprzez płótna namiotu, które rozchylił wiatr.

— Labanie, Labaniel!

— Owom ja — odezwał się młodzieniec — wyszedł przed namiot i z szacunkiem pochylił głowę przed dziadem.

— Bywaj sam — krzyczał starzec — czy tu wszyscy pomarli? W całym obejściu nie zliczysz pięciu niewolnika. A oto owce beczą o kroplę wody... Podaj im wody...

Laban niechętnie ruszył się z miejsca. Nic go nie obchodził ten cały kram ze stadami owiec, bobkującymi po brudnych ścieżkach. Ale nie śmiał odmówić dziadowi. Jakoż zbliżył się do studni, lecz niezgrabnie szła mu robota, a owce jakgdyby naigrawały się z niego, prąc go małemi pyszczkami.

A tymczasem Nahar krzyczał:

— Niech się zapadnie ten dobytek, który nie posiada dwóch mężów sprawiedliwych, mogących uznać go potem. Gdzie twój ojciec, gdzie ty jesteś? Azali lenistwo pozbawiło was rozumu?

Laban nareszcie uporał się z owcami. Teraz gotów był do sprzeczki ze starym.

— Co tu ma do rzeczy rozum — zaczął zuchwale, oparłszy się o studnię — byle niewolnik, byle komornik potrafią zaorać pole i karmić bydło. Mnie nic do tego, to za drobna rzecz dla mojego myślenia.

— A jakież to królestwo powierzył ci pan? — śmiał się gniewnie Nahar.

— Och, dziadu, co ty wiesz o tem! Człowiek nie jest mrówką, ani pszczołą. Człowiek to głęboki parów, do którego Adonaj składa srebro, złoto i lśniące kamienie. Ja nie chcę siał, ani orać, jak prosty niewolnik, ja zbierać będę złote blaszki i za nie kupować grody i mnogie wojska.

— Plugawe twoje słowa — wybuchnął Nahar — i zaprawdę, powiadam, że ty i twoje nasienie całe wieki zbierać będą złoto, a ziemia nie da wam nigdy swojego oddechu, a drzewa nie użyczą zapachu. Idź, Labanie, liczyć twoje złote blaszki.

Laban stropił się, bojąc wieszczby starca, więc przymiliwszy się, rzekł:

— A teraz wygnam owce na łąki.

— Nie trza mi twojej pomocy, bo oto idzie pomoc moja, podpora moich nóg i radość moich oczu.

To rzekłszy, z uśmiechem patrzył w złotą dal, przez którą, jak promień słońca, przebijała postać wnuczki.

I Laban, machnąwszy ręką, poszedł do swojego namiotu. Za chwilę wydobył z ukrycia monety, które otrzymał był od Asyryjczyka Suhema i począł je przeliczać po raz tysięczny.

A tymczasem Nahar wołał:

— Rebeko, Rebeko!

Przybiegła do niego chyżo, jak sarenka, i patrzyła mu w oczy.

— Rebeko — żalił się — jakże to może być, iż sam krążę po obejściu, i wszystko dobro bez pana i sługi?

— Ojciec śpi za polem, a macierz liczy płótno. Samam tu, i nie chcą mnie słuchać.

Stary uśmiechnął się dobrotliwie.

— Przywoływać winnaś chłazaszce i żuki do pomocy. Nie odmówi mojej wnusi żaden stwór Boży.

Przytulił ją do siebie. Opadł zeń gniew, jak obłok kurzu.

— Cóżes to, Rebeko, płakała? — spytał niespokojnie.

— To rosy nie obmyłam z oczu.

— A na licach cień?

— To słońce go rzuciło, wszedłszy w cyprysowy gaj.

Nahar nie wierzył.

— Pognaj owce i pójdziem.

— Z owcami, dziadu?

— Z owcami. Dawno nie pasalem — roześmiał się młodzieńczo.

Przywołała je srebrnym głosem, i poszły wszystkie na jej zew. Były to młode jagniątko, białe jak mleko, bardzo posłuszne. Rebeka знаła je z maści i nazwy. Otoczyła ją chmura — przytulnie, i tak szła wśród nich, mając przy boku starca.

— Dawno nie pasalem — mówił do swoich myśli Nahar. I widział się chłopcem, wśród nizin za miastem ojców. Biegającym po złotych polach. I siedzącym nad strugą z fletnią. A wszystek świat uśmiechał się w błękanie.

— Czemuś płakała, Rebeko? — zapytał.

— Patrzaj, dziadu, tej białej w ciemne łatki ciernie weszło w nóżkę!

— Czemuś płakała, pytam?

— Pobiegnę za czarnulką, oddaliła się od stada.

— Nie zagaduj, Rebeko. Oczy moje, choć stare, widzą w twoich, jak w wodzie.

Przestraszyła się. A skorzystawszy, że stado zgodnie poszło przed nimi, ukryła głowę na piersiach starca i milczała.

Nahar próbował dopomóc.

— Aza macierz gniewała się za zgubione krosna? aza mój syn cię złał? A może niedobry Laban ukrył złote manele?

Główka Rebeki coraz głębiej kryła się na piersiach starego człowieka.

— To może serce w tobie płacze?

— Tak, dziadu — szepnęła cichutko.

— To może serce tęskni?

— Tak, dziadu.

Nie mogła wstrzymać łez. Trysnęły z oczu. Stado rozproszyło się na łąkach. Usiedli na wzgórku, mając je przed sobą.

— Jakże to? — spytał.

Obejmowała go ramieniem. Słyszał jej oddech i każdą łzę.

— Ujrzałam go na drodze karawan w czasie południowego słońca. Na wielbłądzie siedział, okrytym kapą ze złota i hiacyntu. A ja czerpałam wodę. Upadł mi dzban i stłukł się. Spotkały się nasze oczy. On uniósł swoje i zabrał moje, dziadu.

— Kiedy to było? — spytał niespokojnie.

— Szósty nów księżyca minął, ojciec mojego ojca. Zabrał mi oczy — żaliła się — już nie mam oczu!

Wówczas Nahar zamyślił się i począł za chwilę mówić:

— Błogosławiony Pan, bez którego woli lichy czerw nie śmie rodzić się i umierać. On wszystko widzi i kieruje wszystką mnogością gwiazd. Za jego dłonią idą słońca i zapalają się księżyce. Czy myślisz, Rebeko, że Wiekuisty nie posłał na drogę twoją owego młodzieńca, siedzącego na wielbłądzie, okrytym złotem i hiacyntem?

Nie odpowiadała, zasluchana w jego prorocze słowa.

— Więc nie płacz, Rebeko, bo tak się stanie.

Dziewczyna uśmiechała się błogo.

— Jakże się to stanie, skoro nie znam imienia tego, który zabrał mi oczy?

— Będzie miał twoje i swoje, to łąčno trafi, Rebeko.

Pomilczeli chwilę, dziewczyna z wdzięcznością spoglądała na starca.

— Dobry jesteś, ojciec mojego ojca, nie gniewasz się na Rebekę. Laban, brat mój, śmiałyby się ze mnie.

— Bo on myśli tylko o złocie.

— A ty, dziadu?

— Ja myślę, że złoto roztopi się kiedyś jak morze, ale przedtem pochłonie wiele ludu. A kochanie silniejsze od złota, bo ono takie duże, jak świat. Więc raduje się serce starca, że mała jego gołąbka poznała, czem jest kochanie. I że teraz żadna zła myśl nie dotknie jej czoła, podobnego liljom wodnym.

— Więc mogę myśleć o tym Nieznanym, dziadu?

— Myśl tylko o nim — odpowiedział — i pozostań mu wierną do końca twoich dni.

Rebeka zamyśliła się.

— A może to był sen tylko, dziadu — przemówiła z niepokojem w głosie.

— To bądź wierna snu.

Zapłakała cichutko. Ach, staruszek tego nie rozumiał. Być wierną tylko snu, kiedy urzekły ją oczy jego, jak słońce paki leśne. O, luby mój, nieznany a tak piękny, przecz zabrałeś mi oczy, że nie widzę nikogo, okrom ciebie? I czekają lilje na powiew wiatru, ażeby je zamknął.

— O czem myślisz, Rebeko? — spytał Nahar.

— Myślę, dziadu, że pokochałam sen, który nigdy nie spełni się.

— Spełnia się, Rebeko, zawsze to, czego pragniemy gorąco. A jeżeli... jeżeli się nawet nie ziści, to czy nie będzie miłe sercu twojemu, iż sen piękniejszy będzie od żywego kształtu? Kochajmy swoje sny, Rebeko, a będziemy szczęśliwi...

Zmęczył się sędziwy Nahar tą mową długą. Przerwał w półślowie i opuścił siwą brodę na piersi. Za chwilę uśmiechał się też do swoich snów, choć nie były już one ze świata.

A Rebeka, pokrzepiona wielce, siedziała na wzgórzu, spoglądając ze spokojem na pasące się w dole owieczki. Były tak zgodne, jak jej myśli. I przywołała je do swoich stóp i bawiła się z niemi.

.

Batuel, syn Nahara, wreszcie obudził się. Przeciągnął członki, wytarł brodę, na której spoczęła ślina, i poszedł do zagrody. Ale szedł chyłkiem, bo obawiał się ojca i gadania żony. Chwilami uśmiechał się zwycięsko. Nikt na pewno nie zauważył jego braku. Jakże to miło oszukać czujność bliskich.

Nagle uczuł głód. Zerwał jagody i nasycił się. Dobrze, że go nikt nie widzi. Nazwanoby go „obżartym“. Jakże to miło jeść pokryjomu!

W namiocie oczekiwał go Laban.

— Gdzieś tak długo bywał, ojczy? — spytał go.

— Znośnie spędziłem czas, mój synu.

— Dużo pracujesz, ojczy — przytakiwał Laban, a stary pomyślał, że syn chce go zjednać. — Dużo

pracujesz, a zaprawdę nie warta ta chudoba potu twojego.

— Azali chcesz, synu, ażeby bez potu były plony?

— Owo myślę, że mając w garści złote blaszki, nie potrzeba pracować.

— I można spać? — pytał niepewnie Batuel.

— Ile tylko chcesz, ojcze.

— I nie trzeba się kryć ze snem?

— Zaprawdę, powiadam ci, ojcze, że mógłbyś spać na oczach wszystkiego ludu od wschodu do zachodu słońca.

— Skądże dostać tych blaszek? — westchnął ojciec.

— Posłuchaj — zaczął Laban, siadając. — Dwie są drogi do tego: jedna wymienić na złoto nasze stada kupcom z Sur, a druga — dać Rebekę mężowi.

— Owiec nie lża — rzekł Batuel — jako że ojciec mój, Nahar, nie zezwoli, a Rebeka niewiele więcej warta od pęczka konopi.

— Urodziwa jest — zaprzeczył Laban — niejeden kupiec mógłby za nią dać kopę syklów.

Batuel zamyślił się. Cała ta rozmowa nudziła go. Był głodny i chciał jak najprędzej lec.

— Idź precz — rzekł do syna — kości moje znużone.

— Jakże będzie z Rebeką? — nalegał Laban.

— Zaś upatrzyłeś kupca?

— Upatrzę, ojcze.

Wyszedł z namiotu zadowolony. „Sprzedać owce, wydać siostrę i będzie złoto“ — myślał.

A tymczasem Rebeka, przyprowadziwszy stado do zagrody, poszła w stronę pustyni. Chciała być sama z swojemi myślami. I, leżąc na gorącym piasku, przywoływała w pamięci on widok przy studni. Czy ujrzy kiedy Nieznajomego, czy jego wielbłąd pochyli przed nią kolana? Dziad mówił, żeby mu była wierna do śmierci. Więc ofiaruje mu wszystką swoją biel.

„Droższy mój kochanek od całego chramu złota i hebanów, bo jego wejrzenie podobne do słońca, które nie ginie i nie roztapia się.

„Nie pragnęć ja macicy perłowej i hiacyntów, skoro mój ukochany cały w jasności i złocie.

„Przysięgam mojemu panu wierność psa i czujność gazeli, lecz niechaj ujrzą go moje oczy.“

— Rebekol — usłyszała głos od namiotów.

To wołał Laban, a ujrawszy ją na piasku, rzekł:

— Powstań, siostro, i pójdz ze mną.

Zrazu nie chciała go słuchać, ale jął się przy-
milać swoim sposobem.

— Na drodze karawan dzisiaj ruch znaczny, chodź, Rebeko, obaczysz wielkie rzeczy. Czemu to siostra moja chowa się na pustyni, kiedy jej rówieśnice szukają zabawy? A przywdziej się w nausznice i manele i chodź ze mną, Rebeko, a ujrzą twoje oczy nieznane książęta!

Zapłonęła żywym rumieńcem, a Laban kuśił dalej:

— Nie raz i nie dwa pytali mnie różni o moją siostrę. Azali nie czas ci, Rebeko, pojąć męża?

Zasłoniła twarz rękami.

— Nie chcę, nie chcę. Wstydno mi...

Jednakże wstała i leniwie szła do zagrody. Za nią podążał Laban. Idąc, Rebeka rozmawiała z Bogiem:

— O, Wiekuisty, spraw, ażeby „go“ ujrzała. A będę mu żoną i rodzić mu będę syny. Bom jest jak koncha, w której niema perły, otwarta i głęboka.

A Laban mówił:

— Seera pojęła Elisama i dał jej z hebanu łożę, a złote w nim gwoździe. Toż moja siostra, Rebeka, warta stokroć piękniejszego!

— Nie kuś, Labanie — odezwała się gniewnie — com ja warta, żem uboga i wiano moje żadne?

— Powiadam ci, Rebeko — zaśmiał się — że wiano twoje-duże, a ja ci dam zacnego męża. Zaufaj mi.

— Daleko jest ten, którego widziały oczy moje — rzekła smutnie — i nie w twojej mocy go dostać. Włosy jego podobne kruczym piórom, a oczy ciskają ogień. Lecz zwidział mi się on chyba we śnie, bo takiego nie masz wśród żywych.

— Przeklnij sen, co ci zasłonił prawdę, Rebeko.

— Dziaduś kazał kochać sny, które zsyłają szczęśliwość.

Tak to gwarząc, doszli do zagrody Batuela, skąd widać było ledwo o pół staja Wielką drogę karawan i studnię, skąd czerpano wodę dla wielbłądów. Laban chytrze stanął pobok, a siostrę przepuścił, i jakby we śnie szła przed siebie. I biło jej serce jak w sarnie, kiedy obaczy śpiącego lwa. A na Wielkiej drodze karawan ścisk był znaczny od wielbłądów, wozów i stad.

A pośród nich uwijali się niewolnicy i poganiacze, czyniąc wrzawę wielką. Rebeka stanęła opodal i patrzyła w on rój ludzi i bydła. I przymknąwszy powieki, myślała o swym zwidzie tak cudnym jak sen, a tak dzikim, jak napój z szaleju. Wszak zdarza się, że powtarza się głos trąby, wieszczącej radość, wszak Jahwe dobrotliwy zsyła co dnia różaną jutrznię! Więc może i ona zobaczy po raz wtóry nieznanego młodzieńca...

A gdy tak stała, omal nie rozdeptał jej stóp wielbłąd, niosący na grzbiecie sędziwego męża. A za wielbłądem szli słudzy, a za nimi znów wielbłądy juczne. Ów mąż sędziwy zatrzymał znakiem idącą służbę i zmierzał sam do studni. A kiedy zostali za nim, uderzył wielbłąda, a on przyklęknął, i zeszedł na ziemię nieznajomy mąż. A w onej chwili nie było nikogo przy studni, bowiem poganiacze odeszli i zabawiali się pobok. Nieznajomy spoglądał wokoło, jakby czekając pomocy, gdyż sam był spragniony, a także jego wielbłąd.

Aż kiedy chciał już odejść i przywołać sługi, stanęła przed nim dziewczyna i rzekła:

— Oto wiadro, pij, mój panie.

A kiedy zatopił w wodzie spalone wargi, usłyszał:

— I wielbłądom twoim naczepię, aż się napiją.

Wówczas mąż nieznany spojrzał na oną dziewczkę i rozradowan zapytał:

— Ktoś jest, tak urodna, że aż oczy ślepną od światłości, a serce roztopia się w tobie?

— Zważ mnie Rebeką — odpowiedziała, spuszcza-
jąc oczy — córam Batuela, syna Nahara.

A kiedy nieznajomy wpatrywał się w nią bez
słowa, dodała pokornym głosem:

— W domu naszym dosyć plew i pastwy i miej-
sca do noclegu.

— Prowadź mnie — rzekł nieznajomy — zacny
dom, skoro ma taką córę!

A kiedy szli razem, a za nimi słudzy z wielbłą-
dami, rzekł ów mąż:

— Przyjmij te nausznice i te manele na pamiątkę
czasu pojenia.

Zawstydzona, pobiegła naprzód oznajmić w domu
o niezwykłym gościu.

A tymczasem Laban, który przez cały czas z ukry-
cia widział wszystko, podbiegł do nieznajomego i wi-
tał go oblesnie.

— Ktoś jest i czego żadasz? — spytał nieznajomy.

— Panie mój — mówił Laban, schylając się do
ziemi — cześć tobie i twojemu bogactwu, jam jest
Laban, syn Batuela, syna Nahara, a brat Rebeki.

— Onej dziewczki, co napoiła mnie wodą i moje
wielbłądy? Niepodobnys do twojej siostry.

— Panie mój — dreptał przy nieznajomym, pu-
szczając mimo uszu obelgę — chcę być sługą twoim.
Ojciec mój ciągiem śpi, dziad po setnym roku — nie-
dojda, ze mną gadajcie o wszystkim...

— Cóż ci rzekę — przerwał nieznajomy — Bóg
zsyła na drogę wędrowców białe gołębie, a także
tchórze o smrodliwym oddechu. Daj mi drogę!

I usunawszy go lekko, szedł dalej. A Laban pobiegnął do domu i wpadł do namiotu ojca.

— Ojcie mój, prowadzę męża dla Rebeki; darowałem jej złote naszyjniki i manekle!

— Daj mi spać — odburknął Batuel i odwrócił się na drugi bok.

— Jehowo, z kim ja gadałem będę?! — wołał rozgorączkowany — wzdry może się cofnąć ten stary bogacz, i ja stracę złoto. — Pomyślał o dziadzie: „Ten może być sposobniejszy“.

A tymczasem nieznajomy wkraczał do obejścia. A pobok szła Rebeka, oznajmując poprzednio o odwiedzinach niespodziewanego gościa. Nie byłaby kobietą, gdyby nie spoglądała z radosną dumą na złote manekle, brzęczące na rękach, i agile, zwisające z uszu. A nieznajomy, patrząc na nią, szeptał:

— Błogosławiony Bóg pana mojego Abrahama, że mnie tu skierował. Oto dam mu radość, a Izakowi — szczęście.

Na majdanie stał Laban i prowadził za uździejnice wielbłądy.

— Azali on tu jeden — spytał, marszcząc brwi — gdzie twój ojciec, gdzie dziad?...

— Czekają na cię, panie, i proszą, ażebyś pozwolił obmyć twoje stopy.

Jakoż Laban z trudem zebrał rodzinę i długo musiał ich przekonywać o niespodziewanym szczęściu.

A kiedy wreszcie nieznajomy znalazł się w namiocie mężów, oni powstali i przyłożyli palce do skroni na znak czci wielkiej.

Wówczas pokłonił się nieznajomy i rzekł:

— Jam jest sługa Abrahama, a Pan ubłogosławił pana mego bardzo, i stał się możnym, nadał mu owiec i wołów, i srebra, i złota, i sług, i służebnic, i wielbłądów, i osłów. A urodziła Sara, żona pana mego, syna panu memu w starości jego. I pan mój rzecze do mnie: idź i szukaj żony dla mego Izaaka. A ja pomyślałem: szukać będę. I przeszedłem dużo świata. Aż oto dotarłem do miasta Aram Naharaim. Byłem spragniony ja i moje wielbłądy. Stałem pobok studni i modliłem się Bogu Abrahamów. A umyśliłem, że ta niewiasta, która napoi mnie i moje wielbłądy, będzie żoną Izaaka syna Abrahama. I spełniło się.

Wszyscy milczeli. Pierwszy ocknął się Laban.

— Jakże to — zawołał — toś nie księżę, jeno sługa?

— Zamilcz — przerwał Nahar — czy pan, czy sługa, niechaj błogosławiona będzie mowa sprawiedliwego. Co myślisz o tem synu mój, Batuelu?

Nie rozbudził się spać Batuel, bo ręką machnął i mruknął:

— Będzie deszcz, bo muchy kłują.

Zasmucił się stary Nahar i pomyślał: nie mam syna, a wnuk widzi złoto. Co czynić? I począł rozmawiać z Bogiem, a Pan mu rzekł: „Naharze, zdaj się na przypadek, a bacz, żebyś nie zatracił znaku mego“.

Tedy wystąpił starzec na środek namiotu i rzekł:

— Błogosławione niech będzie imię Pana, który kieruje drogami wędrowców. Pokłon Abrahamowi, panu

twojemu, jako że z jednej krwi pochodzimy. Oddajemy tobie dla syna jego Rebekę!

Rzucił się Laban do dziada i coś mu szeptać zaczął, ale ów go odtrącił.

A przyparta od wewnątrz do namiotu Rebeka nadstawiała ucha, bowiem, jako niewiasta, nie mogła być w radzie.

I naraz zamarło w niej serce, gdy usłyszała słowa Nahara:

— Oddajemy tobie Rebekę.

I oto skończyło się wszystko.

Oddawano ją temu słudze, który ją powiezie daleko od zagrody ojców do nieznanych ludzi. I oddadzą mężowi niewiastę, jako jest pisano.

Tymczasem rozwarły się drzwi namiotu i ukazała się w nich kędzierzawa głowa Labana.

— Rebekol! Rebekol! — wołał — pójdź, znaleźliśmy tobie męża!

Więc szła na jego zew wszystka smutna. A kiedy stanęła na środku namiotu, ojciec jej, Batuel, rzekł:

— Stało się słowo w Panie. Niewiasta pójdzie za mężem, który jej jest.

Co miała mówić?

Rozkaz ojca, to głos Boga. Wszelako uczuła całą swoją krzywdę i wielką nicość, jaką była. Więc cała we łzach, zwróciła oczy swoje na Nahara i zapytała:

— Jakże to, dziadu?

A kiedy nie odpowiadał, rzekła:

— Ty wiesz.

Spuścił oczy stary Nahar, bowiem znał tajemię dziewczeczki, ale co miał czynić? (Ona nie wiedziała, że z nim rozmawiał wprzódzi Wiekuisty.)

— Módl się, Rebeko — rzekł — będziesz szczęśliwa...

Z płaczem usunęła się do nóg starca.

— A co stanie się z tamtym? — szepnęła tak cicho, że on ją tylko słyszał.

— To był tylko sen — odpowiedział równie cicho — zachowaj go w sercu, Rebeko.

A tymczasem Batuel, zły, że oderwano go od snu i widząc w tem opór córki, zawołał:

— Od kiedy to córzy Naharowe nie zgadzają się na wolę ojców?

— Zostaw ją, Batuelu — przerwał starzec — ona jest w łzach, a łzy to gołębicę, zwiastując pokorę.

Jakoż za chwilę nie zwracano na nią uwagi, siadła na ziemi w rogu namiotu, a mężę rozmawiali, a Laban krzyczał najgłośniejszą o jej wianie, zaś sługa Abramowy, Nochim, opowiadał o bogactwie swojego władcy.

— Pan mój ma tysiąc owiec, wołów pięćset i osłów trzysta. A zbudował dom nakryty cedrem „na balkach na dwudziestu słupach“, a we wnętrzu są ławy z kamienia. I przywoławszy Izaaka, mówił: to dla ciebie i mojej synowej. A w nowych skrzyżniach leżą manele złote, także dla niej...

Nie słuchała tego Rebeka, myśląc o onym śnie, o zwidzie młodziana przy studni, którego nie miała nigdy zobaczyć.

I, korzystając z mowy i targów, wymknęła się cichutko z namiotu.

Spojrzała wokół. Była noc. Gwiazdy biegły po niebie i zwoływały się na łzawe narady. Gwiazdy — wdowy, bez księżyca.

Smutkiem wezbrało serce dziewczeczki.

Poszła za sad i tam płakała. Aż nagle usłyszała głos wnikliwy, a cichy:

— Rebeko, córo Batuela, syna Nahara i Melhy... nie smuć się...

Spojrzała wokół. Nikogo nie było. Tylko już wyjrzał księżyc, uspokoił gwiazdy, i wszystek świat był w srebrze.

— Rebeko, otrzyj łzy i spojrzuj w niebo.

Spojrzała. Na pewno odnalazł się księżyc, i posiadły go gwiazdy, bo oto jedna z nich błyszczała radośnie. A poza nią Rebeka zobaczyła wielkie i nieznanne światło.

— Czyj to głos? Nie widzę nikogo — szepnęła.

— To ja — twój Bóg — usłyszała z oddalenia.

Wówczas upadła z krzykiem na darń.

— Trwożysz się mnie, Rebeko?

— O tak, Wiekuisty. Tyś bowiem wygnał pierwszych ludzi z Raju, tyś zamienił żonę Lota w słup solny...

— Dla grzesznych jam karzący, Rebeko, a dla miłujących — jam Bóg miłości.

— Skoroś więc Bogiem miłości — płakała, porzeczona tym głosem, dźwięcznym jak harfa — nie opuszczaj mnie, Paniel

— Jestem z tobą, Rebeko.

Więcej nie słyszała, bo spłynęła na nią fala błogości i nakryła mgłą błękitną.

.

Karawana podążała na wschód.

Na przodzie jechał niewolnik, czyniąc wolną drogę. Za nim szli słudzy. W pośrodku kroczył wielbłąd, a na nim niewiasta pod opieką starego człowieka. Niewiasta była Rebeką, podążającą do nieznanego męża, w krainę obcą, z sercem drżącym i łzą zastygłą w oku.

Bowiem nie płakała. Od chwili objawienia się jej Boga w sadzie za namiotami — uspokoiła się. Tak musiało być. Kobieta potrafi zamknąć serce i otworzyć łono.

A tymczasem stary Nochim pragnął wydobyć uśmiech z jej ust zamkniętych. Tedy powiadał o włościach Abrahama, o jego stadach, o skrzyniach złota i srebra. Wreszcie rozpoczął o Izaaku:

— Jak młody jelonek żwawy jest, a silny jak młody lew. Kiedy biega po dolinach, rzekłbyś: wiatr hasa, kiedy dosiędzie wielbłąda, pędzi na nim jak burza. Pan mój, Abraham, wysłał go na wędrowniki, ażeby poznał różne kraje... On to, jak struś, przebył pustynię, a nawet dotarł kiedyś do Aram Naharaim...

— Bywał w mojem mieście? — po raz pierwszy odezwała się Rebeka.

— Sam mi o tem powiadał, bowiem miłuje mnie wielce syn mojego pana.

— Bywał w Aram Naharaim — powtórzyła do siebie w myśli.

Tak jechali siedem dni i siedem nocy. Droga była uciążliwa, ludzie upadali ze zmęczenia, wielbłądy ledwie dźwigały juki. Nadomiar złego brakło w buklakach wody.

Na szczęście widać już było palmy oazy Nazun. Na ósmy dzień dotarli do pierwszych słupów. Był to początek namiotów Abrahama. Rebeka z ciekawością spoglądała na ów obóz potężny.

A Nochim, chcąc uczynić jej wjazd wspaniałym, poszedł oznajmić o tem wprzódzi. I pozostała na skraju drogi sama, mając za stróża jednego niewolnika.

A w ten czas właśnie powracał z łowów Izaak i trzymał łucznię w garści, a łuk podle z pustym sajdakiem.

I zoczywszy wielbłąda, puszczonego samopas tuż przed namiotami, rozsierdził się wielce.

A widząc jakąś postać i myśląc, że to leniwy pachol, wypuścił nań ostatnią strzałę z sajdaku.

.

— Wiekuisty, com uczynił.

Padł na ziemię i podnosił omdlałą dziewczynę. Na szczęście nie była ranną. I otworzyły się jej oczy, ale znów zamknęły.

A serce jej mówiło:

— Panie, pozwól mi śnić dalej, nie zabieraj mi go, bowiem po raz wtóry nie przeżyję tej straty!

— Obudź się — prosił młodzieniec. — Jak piękne i smutne twoje oblicze! Ktoś jest zesłana mi przez Boga?

— Sen — szeptały usta drżące — sen...

— Nie, to jawa — zawołał, obejmując ją ramieniem. — Dziewczyna przy studni z Aram Naharaim. Żywa i tętniąca krwią.

— Młodzieniec na wielbłądzie, okrytym kapą ze złota i hiacyntu.

Porwał ją jak dziecko i na oczach zdumionego sługi zaniósł do pobliskiego gaju, w którym rosły cyprysy.

.

Są słowa tak ciche, jak szepty gwiazd, a tak silne, że obejmują serca i zatapiają je jak w morzu.

Są zioła, rosnące skromnie na wyżynach, a mające w sobie taką moc, że odbierają zmysły.

Są takie sny, które spełniają się na jawie i, zawieszone jak księżyc, świecą wiecznie...

Bowiem wieczna jest miłość poczęta ze snu...

.

— Jakże się to stać mogło — pytał, leżąc u stóp dziewczyny — że ty, nieznana, którą widziałem raz w życiu, zawitałaś do namiotów ojca mojego... Czy możliwym jest przywołanie najbardziej skrytej myśli, Rebeko?

— Tak, Izaaku, bo drogami naszemi kieruje Bóg miłości.

— Przedwieczny jest jeden, i okrom niego nie-
masz Boga.

— To On, ten sam, ale nie w świetle błyska-
wic i gromie piorunów, lecz w ciszy gajów, zapachu
lilij i w naszych sercach rozmiłowanych...

R A C H E L

„Będę-ć służył siedem lat
za Rachelę...

Genesis. XXIX. 18.

Jak dwie palmy — tamar — samotnie rosnące w oazie, pod jednym słońcem, pod jednym tchnieniem Boga — tak żyły obok siebie dwie siostry: Rachel i Lia.

Jak latorośle winne — geffen — obejmujące się spleciami, tętniące jedną krwią — tak miłowały się dwie siostry: Rachel i Lia.

Jak dwa kozłatka, pasące się na jednej łące, ocierające się o siebie pyszczkami mokremi od rosy — tak trwały przy sobie, tak całowały się: Rachel i Lia.

Bardzo były wdzięczne Bogu, że obydwie są córkami Labana, Syryjczyka, że obydwie kryje jeden namiot i dzielą jedno łóżko.

Nazywały się: Rachel i Lia. Lia i Rachel, i były dwie siostry.

Wszystka służba Nacharowa, obcy lud i komornicy podziwiali miłość tych sióstr, jako że nie było między nimi zwady, jako że nie było różnic, —

a matki przyprowadzały swoje dzieci i pokazywały im dziewczeczki, mówiąc:

— Owo patrzajcie: dwie gołębicę, dwie córę Labanowe: Rachel i Lia, Lia i Rachel.

Bywało, iż Laban, który na starość nietylko że stał się chytrzejszy, ale lubił siać niezgodę nawet między bliskimi i rozmyślnie obdarzył Rachel piękniejszą szatką, to wówczas Lia mówiła:

— Jak cudnie ci w tej szatce, siostró.

A wtedy mówiła Rachel:

— Weź moje agile, Lio, i załóż je na uszy...

Dzieliły się jednym plackiem, namaszczały się wspólnie szemenem, podziwiałały wzajemnie swoje smukłe ciała przy źródle. Jedna tylko była między nimi różnica, ale to już Jahwe sprawił: Rachel była oblicza pięknego, w oczach jej zamieszkał wszystek spokój pustyni, na ustach spoczął cudowny uśmiech jutrzeńki, a zasię Lia była oblicza bladego, a spojrzenie miała kaprawe.

Czy może przez to Lia zazdrościła siostrze urody, czy myślała kiedykolwiek: „Ha, ja brzydka, a ona piękna“, albo: „Przecż mnie pokarałeś, Panie?“

Nie mogło tak być, bowiem Rachel zawsze mówiła do siostry:

— Ty, piękna, najcudniejsza moja...

Bowiem miłość siostry do siostry jest jako miraż w pustyni: przesłania oczy mgłą i każe oglądać zamki perłowe.

Tego dnia obydwie pasły owce, jak zawsze przytulone do siebie i pełne mowy słodkiej i pachnącej.

Jako że miały dla siebie zawsze nową przypowieść, nowe zdarzenie lub sen cudowny.

— A było tak, że spałam — mówiła Rachel — a nade mną szumiał rój pszczoł dzikich, zwanych „debora“... I jedna z nich powiada: „Rachel, będziesz miała żywot pracowity, jak życie debory“, a na to nadleciał motyl i powiada: „Rachel, żywot twój upłynie w miłości z mężem silnym jak lew, a pięknym jak słońce“, — a na to przypełzał wąż: „Biada ci, Rachel, zasyczał, rozedrzesz serce na dwie połowy i nie zejda się z sobą aż do końca twoich dni, każda połowa to będzie jedna miłość, a każda połowa to będzie jedno morze płakania“.

Zasmuciła się Rachel, a Lia wielce niespokojna objęła mocno siostrę i pocieszała ją:

— To nie może być, Rachel. Miłość jest jedna jak serce. Niechaj śpi ono w twem łonie, a obudzi je mąż sprawiedliwy.

Tak mówiła Lia i myślała ze smutkiem: „Aza mnie, szpetną, obudzi kiedy miłość, a jeśli obudzi, to czy nie poto, ażebym płakała?“

I zasępiła się dusza Lii, bowiem twarz miała bladą i oczy kaprawe. Ale — precz łzy, kiedy tuli w objęciu najlepszą z sióstr! Toć co jej, Lii, zabrano, tem obdarzono Rachel. Niechaj Pan zgotuje jej ucztę, a na ofiarę paloną niechaj sprowadzą najbielsze baranki.

Nie po raz pierwszy mówiła Rachel siostrze o dniu, kiedy serce jej zapagnie, a łono otworzy się.

A miała wówczas oczy inne: już nie mieszkała w nich cisza pustyni o zachodzie słońca, lecz budził się świt złoty, różowy, a z oazy szedł pomruk pantery.

Wówczas pierś jej wznosiła się i opadała jak wadis, a w brzmieniu głosu słyszeć było drżenie lubieży:

— Pragnące moje łono i dojrzałe jak owoc par-siku — szeptała w ciszy nocnej — jeżeli nie obleje je potok deszczu, rozpęknie się. Pragnące moje ramiona i otwarte przywołują kochanka. O, zjaw się ty, który mi niesiesz ból, rozkosz, śmierć!

Bywało to w godzinie pierwszych gwiazd, kiedy mrok jest czarniejszy od hebanu, a krew czerwiejsza od granatu. Lia czuła przy sobie prężące się ciało dziewczyny, a łoże stawało się gorące jak piasek.

Nie pojmowała Racheli. Jej serce spało jeszcze, jej ciało wypoczywało pod cieniem palm. Była starsza od Racheli, — czy dlatego? A może jej chore oczy widziały świat bez mgieł: pięknym lecz okrutnym.

— Śpij, Rachel — mówiła, tuląc w swoich rękach gorącą dłoń dziewczyny — jest noc, i Jahwe otulił świat czarnem *keffije*...

— Jest noc — odpowiadała nieswoim głosem Rachela — to prawda, ale wszyscy w tej chwili pragną. Nie słyszysz, Lio, przytłumionych szeptów z namiotu? Zwierzęta stąpają ku sobie z nabrzmiałą krwią, ptaki przytulone wsączają w siebie ciepło skrzydeł, nawet gwiazdy szukają się na niebiosach.

— Zamilknij, Rachel, nie grzesz!

— Azali grzechem jest pragnąć? Wszystek świat pragnie się i rozmnaża. Obnaż mnie, Lio, albowiem spala mnie żar, i niechaj mnie ostudzi światło księżycowe.

A Lia myślała:

„Azali istotnie przychodzi taka chwila, kiedy ciało przestaje się sromać? Więc straszna jest miłość, skoro taka żądna. Niechaj błogosławione będą ciche wąwozy, do których nigdy nie dochodzi słońce. Bo wiem słońce spala i niszczy“.

„Czy naprawdę spala i niszczy? — odezwał się jakiś głos tajemny, zawieszony u stropów namiotu.— O, Lio, słońce to żar, to krew, to żywot. Biada wąwozom, pozbawionym słońca. Są one jak cmentarze. Strzeż się, Liol!“

I przytulona do siostry, Lia drżała z przerażenia, a przecucie i ciekawość waliły taranem w płótno namiotów.

I teraz znów ten sen Racheli, sen o sercach rozpołowionych i szukających się wzajemnie do końca dni!

Na szczęście, na drodze zamajaczyła postać ludzka, i obydwie siostry oderwały się od marzeń.

To biegł Izar, sługa Labana i wołał:

— Lio, Liol

Zeszła ku niemu na sam kraj wzgórza, na którym siedziały.

— Córko mojego pana — mówił zadyszany — wzywają cię do chorego koźlęcia, jako że znasz się na lekach.

— Kto mnie wzywa? — zapytała niechętnie Lia, która nie wracała nigdy sama z pastwiska.

— Pan mój Laban — odpowiedział, schylając nisko głowę.

Znała moc tego imienia, obawiała się gniewu ojca.

— Odchodzę, Rachel — zawołała.

I poszła, a Rachela została sama. Rozciągnęła się na darni i patrzyła w górę. Lubiła wpatrywać się w obłoki. Sunęły przed siebie łagodne jak owieczki, to znów ponure jak sępy. Czasami miały głowy lwów zamyślane i bolesne, lub też pyski psów złe i mściwe jak noc. Co się kryje poza temi chmurami, i gdzie jest Jahwe?

Rachela bała się siły piorunów — i wierzyła, że wśród nich zobaczy kiedyś Boga. Co wówczas uczyni? Czy opanowana przerażeniem padnie twarzą do ziemi i całować będzie proch, czy też spojrzy zuchwale w oblicze Jedyne go i zechce usłyszeć Jego głos?

Czuła, że żywot jej nie minie spokojnie. Wiedziała, że czeka ją walka, więc czyż nie mogła sama odezwać się do Boga? Prosić o pomoc, ratunek, zmianę losu.

Nagle zobaczyła w obłokach rękę wysuniętą i palec wskazujący w stronę namiotu Labana. „Tam — wskazywała nieruchomo ręka — tam“.

Zerwała się i z przerażeniem poczęła zwoływać stado, które rozproszyło się po dolinie. I wszystkie zgromadziły się na jej zew.

A potem szła przed nimi i prowadziła je do domu ojców.

A kiedy podeszła do studni, zastała ze zdumieniem wielki kamień, który ją przytłaczał. Jakże go odwali i napoi spragnione owieczki? Kto śmiał położyć ten kamień na studni?

Lecz oto wystąpił, jakby z ukrycia, młodzian nieznany i lekko uniósł kamień. Podniosła oczy i spotkały się ich wejrzenia, jak dwie sarny, biegnące sobie naprzeciw.

A kiedy owce piły wodę, oni zaczęli do siebie mówić.

— Ty jesteś Rachela, córą Labana, brata matki mojej...?

— Jam jest Rachela, córą Labana.

— Jakżeś piękna, nie wierzyły uszy moje, aże przekonały się moje oczy.

Milczała upojona głosem nieznajomego.

— Jam jest Jakób, syn Rebeki — mówił dalej — przeznaczon tobie.

— Ty?!

Oto zjawił się wreszcie ów przychodzący we śnie. Tak wygląda. Smukły i silny. Uznojony na obliczu, a pogodny w wejrzeniu. Zrozumiała wróżbę, jawiącą się na niebiosach.

A kiedy tak stała zamyślona i zamknięta w sobie, a wstyd niewieści tłoczył ją do ziemi — Jakób zbliżył się do niej i rzekł:

— Oto radość mojego żywota.

Uczuła usta jego na swoich i łzę męską, która pomieszała się z jej łzami. Tak więc odbyło się ich

pierwsze spotkanie. Rachela i Jakób szli obok siebie, zmierzając do namiotów.

Szli, milcząc.

Szli, zapatrzeni w siebie.

Jeszcze nie obeschły łzy na ich policzkach — nie wiedzieć: łzy szczęścia czy boleści. Ujęli się za ręce i szli. Bowiem byli przeznaczeni sobie.

.
.

Laban powitał przyszłego zięcia otwartem sercem. Słyszał o nim, jako o dzielnym człowieku. Ale dlaczego przybył z pustemi rękami? Czy Izaak mnie-
ma, że u Labana przelewa się? Ma dwie córki, starszą
Lię i młodszą Rachelę. Czy Lia nie powinna otrzy-
mać wcześniej męża, jak napisano w starych księ-
gach? Lecz ci młodzi wielce się pokochali.

Niechaj tedy zamieszka w jego namiotach Jakób.
Czas pokaże, co wart człowiek, czas mądrzejszy od
człowieka!...

I Jakób przemieszkał dni trzydzieści u Labana.

A był to czas lata, rodzących się kłosów, kwit-
nących anemonów, ranunków i róż. Rozwinęły się
drzewa sykomoru, rozkładały granaty, dojrzały pi-
gwy i pistacje. I chodzili we dwoje po sadach, zry-
wali soczysty owoc, kładli się na łąkach i patrzyli
w niebo. Ostrożny Laban nie pozostawiał ich samych,
towarzyszyła im Lia. A kiedy spoglądała na zako-
chanych — twarz jej powlekał smutek. Stała się za-
myślona i milcząca. A Jakób polubił starszą i kładł

się między obydwie i opowiadał im stare baśni, zasłyszane w ziemi Chanan. Szpetną była Lia i miała kaprawe oczy, ale nie widział ich Jakób, zapatrzony w żrenice Racheli. Ale zato Lia coraz bardziej wpatrywała się w Jakóba, i wydał się jej piękny, a gorący jak płomień. Wieczorem rozstawali się. Jakób szedł do Labana i poddawał się dopótna jego pytaniom, a siostry szły do namiotu, szykując się do spoczynku.

Lecz czemu to Rachel śpi samotna, a Lia nie podtrzymuje jej ramieniem? Uciekają zazwyczaj gołębicę z gołębnika, kiedy zapali się słup drewniany...

I tak płynęły dni, jak fale w rzece, albo ziarna piasku przesypywane wiatrem. We dnie pracowali wszystko troje, i Laban z zadowoleniem spoglądał na silne ramiona Jakóba. Dziewczęta prześcigały się w zaspokajaniu jego zachcianek. Podawały mu na skinienie wodę zimną i jasną, piekły dlań w skrytości placki, zwane kemach.

Raz Lia umyślnie przypiekła placek Racheli i wzamian podała swój Jakóbowi. I po raz pierwszy stanęły naprzeciw sobie z roziskrzonym wzrokiem.

— Ten syn Rebeki przyszedł tu dla mnie — wybuchnęła później Rachel.

— Niewiadomo dla kogo — odpowiedziała Lia.

— Zali myślisz, że ludzie z Hewila miłują się w kaprawych?

Powiało nienawiścią.

Tak czasem zimny cień kładzie się na grobowce.

.

A Laban myślał:

— Bardzo setny chłop jest Jakób i silny jak bawół. Ale dlaczego mam mu dać córkę darmo? Czy Rebeka nie pomyślała, że jest mi winna dużo sykli złota? Kto właściwie ją wyswatał? I czy w tem nie jest jej głowa, ażeby dojść do mieszka naszego ojca? Ale nie doczeka się tego moja siostra Rebeka. Laban ma także swoje myślenie i nie lubi sprzedać się po ciemku.

— Jakóbie, Jakóbiel — zawołał.

— Owom ja, ojcie.

Właśnie szedł na łowy i łądował sajdak strzałami.

— Powiedz mi, Jakóbie, czy wprzód jest dzień, a potem noc, czy wprzód noc, a potem dzień? — spytał Laban.

Jakób, obawiając się nowej zasadzki, od której być może zależał jego los, zamyślił się.

— Jeżeli staniemy po tej stronie rzeki — odpowiedział wreszcie — to wzgórze Horeh będzie po tamtej stronie, a jeżeli staniemy po tamtej stronie, to rzeka będzie przed nami.

— A jeżeli nie będzie wzgórza Horeh? — zapytał chytrze stary.

Jakób milczał zakłopotany.

— Zaczęłeś mądrze, Jakóbie, ale mądrym jest dopiero zakończenie. Dopomogę ci. Skąd zaczniesz, zawsze dojdiesz do tego samego celu. Miłujesz Rachelę? — rzucił nagle.

— Jak własne życie — zawołał młodzieniec.

— Nie wierzę, synul

— Jak więc mam tego dowieść?

— Poczyń ofiarę.

— Zabierz mi moją głowę, moje ręce! — krzy-
czał w przejęciu.

Stary Laban położył mu dłoń na ramieniu.

— Chcesz mi oddać głowę? Z naszych gadek
wieczornych nie mam o niej zbyt dobrego myślenia.
Ale zato ręce...

Popatrzał z lubością na jego muskuły.

— Tak, ręce twoje biorę. Będziesz pracował na
Rachel siedem lat...

— Siedem lat — zawołał Jakób radośnie — sie-
dem lat dla ukochanej, to siedem dni, ojczel

— Za mało powiedziałem — pomyślał Laban, ale
że był mąż sprawiedliwy, więc rzekł:

— Od jutra zaczynasz.

— Od jutra zaczynam, ojczel.

Wybiegł z namiotu. Zamiast na łowy pobiegł szu-
kać Rachelę. Znalazł ją u studni — tam, gdzie po raz
pierwszy nastąpiło ich spotkanie. Poszli w sad, po-
zostawivszy trzodę na opiece Izara.

— Rachel — mówił, obejmując ją w cieniach
płatanu — Rachel, umiłowana moja, oto ojciec twój
zezwoił na nasze śluby.

— Kiedy to nastąpi? — spytała, blednąc, dziew-
czyna.

— Za siedem lat.

— Za siedem lat? — zawołała gniewnie. — Czy
pan mój żarty stroi ze służebnicy?

— Taka wola Labana.

Ale Rachel z trzaskiem złamała gałąź.

— Jakże to? siedem lat mam czekać? A ty siedem lat obejdiesz się beze mnie? Uprzykrzysz sobie i odjedziesz — wybuchnęła płaczem.

— Rachel — rzekł młodzieniec, ujmując jej dłoń — czy mogę zapomnieć o tem, że codziennie wschodzi słońce? Rachel, toć ja będę przy tobie, bowiem siedem lat mam pracować u Labana, ażeby cię dostać.

— Umiłowany!

Z płaczem rzuciła się do jego kolan i obejmowała je.

— I tyś się zgodził — szeptała śród łez.

— Rachel — odpowiedział, podnosząc ją. — Czem jest siedem lat wobec wieczności, którą przeżyjemy razem! Czy nie jest to czas krótszy od skoku jelenia?

Potem mówił ze śmiechem:

— Siedem lat witania Rachel o jutrzni i zegnania pocałunkiem o zachodzie słońca. Siedem lat mówienia jej o kochaniu...

Nagle ciszę przerwał ostry głos Lii:

— Rachel, czas zagnać stado!

Zbliżała się ku nim niespokojnie, jakby ich szukała.

— Lio — rzekł młodzian — mam dla ciebie wieść radosną...

— Dla kaprawych niema wieści radosnych — odpowiedziała smutnie.

— Jakób otrzymał zezwolenie ojca.

— Kiedy cię pojmie? — spytała martwym głosem,

— Za siedem lat, według woli ojcowej.

— I Jakób zgodził się?

— Siedem lat, to siedem dni dla miłujących się — powtórzył swoje śluby Jakób.

— Głupiec — syknęła Lia i szybko odeszła od nich.

.

A jednakowoż siedem lat, to nie jest siedem dni.

Jakób po raz pierwszy po dwóch latach przekonał się o tem.

Rano w polu narówni z niewolnikami uprawiał rolę, potem pasał trzody. W wolnych chwilach Laban zatrudniał go wyciskaniem oliwek, rwaniem czosnku i cebuli, nieodłącznej omasty przy spożywaniu chleba. Potem pracował przy pasiekach, podbierając miód, który dodawano dla osłody w cieście. A kiedy chciał już wypocząć, Laban przez starego Elijoba posyłał mu rozkaz ciągnięcia octu, zwanego *chomes*, który rozcieńczony z wodą używano za napój orzeźwiający.

Zdawać się mogło, że chyba noc powinna służyć do snu; gdzie tam! zabiegliwy Laban przykazywał w oną porę zastawiać Jakóbowi sidła na zwierzęta.

I tak płynęły dni, miesiące, lata w znojnej dla niego pracy. Jakób wysechł, szcerniał, lecz nie złorzeczył. Spoglądając w czasie posiłków lub pasienia trzód na Rachelę, radował się, że wkrótce należeć będzie do niego. A ona piękniała coraz bardziej.

Już nie wystarczały dziewczynie wzorzyste simlahy, któremi niewiasty okrywały ciało. Od kupców

fenickich, którzy zaglądali do zagrody Labana, kupiła piękne chusty, zwane *peer*, używane przy uroczystości weselnej. Nie czekając na tę chwilę, ku oburzeniu Lii, uszyła z nich barwny strój i uwijała się wśród namiotów smukła i gibka, wypatrując Jakóba. Jak rabusie widywali się tajemnie, o zachodzie słońca, a wzgórze nad łąkami kryło ich ciała, prężące się ku sobie. Albowiem — im bardziej oddaleni, tem więcej pożąдали się, a odnajdując się, odchodzili rozżaleni do siebie. Rachel, o krwi ognistej jak lawa, bardziej od młodzieńca złorzeczyła latom rozłąki:

— Jeszcze cztery lata — mówiła, obejmując szyję kochanka. — Ach, czemu te łanie szczęśliwsze od Racheli, mogące każdej chwili pojąć jelonka? Czy owoc dojrzały i pełny soku opaść ma i przegnić, niezerwany zawczasu?...

— Czekajmy — mówił Jakób, wpatrując się z tklivością w podłużne źrenice dziewczyny — wino im bardziej krzepnie, tem ci lepiej smakuje. A miłość nasza jak wino. O, Rachel, im bardziej tęsknię, tem bardziej miłuję. Z powoli kleconych bali wyrasta najtęższa budowla. Potężny i wieczysty będzie dom, w który wprowadzę cię, ukochana!

Inaczej patrzyła na zwłokę Lia.

Rozłąka kochanków śmieszyła ją, a złośliwy charakter podszeptował figle, które im płała. Więc rozmyślnie utrudniała im spotkania, zasiewała nienawiść w sercu Jakóba do ojca i rozniecała zarzewie zazdrości u przyszłego szwagra, towarzysząc im podczas przechadzek.

Onego dnia Jakób oczekiwał Rachel przy studni, gdy nagle przyszła Lia, odziana w strój Racheli. Zrazu Jakób nie poznał jej i poskoczył raźnie do dziewczyny.

— To ty, Lio? — zawołał z rozczarowaniem.

— To ja, Jakóbie, czy zawsze z utęsknieniem wyglądasz mojej siostry?

— Jak wędrowiec pierwszej gwiazdy, zwiastującej mu odpoczynek.

— Bacz, ażeby ci nie przyniosła nieszczęścia.

A kiedy z niepokojem oczekiwał znaczenia tych słów, dodała przyciszonym głosem:

— Rachela pasie stado z Izarem, który młody jest i piękny...

Jakób zadrżał, oczy przesłoniła mu mgła. A Lia zaśmiała się i odeszła.

„Być-że to może — myślał, rwąc z rozpacz włosy — ażeby naznaczona mi od Boga otwarła łono innemu? Przecz doświadczasz mnie, Panie, za znoje moich dni?“

Siostry nie sypiały w jednym namiocie. Lia nie mogła patrzeć na cudne ciało Racheli, a Racheli obrzydła twarz Lii. Gdzież podziła się miłość siostrzyc? Zali sęp spłoszył śpiące w różach synogarlice?

Kiedy Rachela mówiła przy niej o oblubieńcu, Lia śmiała się, nazywając go głupcem. Bo czyż nie był głupcem człowiek, czekający na niewiastę siedem lat? Azali jedna Rachel władna upić go winem ust i ogrzać ciepłem żywota?

I Lia, leżąc w namiocie z zaropiałemi oczyma, wpatrzonemi w jeden punkt, myślała o Jakóbie i wy-

obrażała sobie, że on na nią czeka w znoju i miłości. I wówczas ciało jej, żadne pieszczoty, drżało jak ziemia, spragniona dżdżu, a ramiona rozwarłe tuliły głowę nieobecnego kochanka. Czasami przychodziła jej myśl do głowy, ażeby podkraść się do namiotu Racheli i udusić ją powrozem. I zlewał ją zimny pot, i krzyczała wielkim głosem zmiłowania.

A Rachela, ogarnięta żarem kochania, nie domyślała się nienawiści starszej — i zaprawdę! żal jej było owych gorących nocy pod namiotem, kiedy leżały obydwie i rozmawiały o nieznanej miłości.

— Lio — rzekła pewnego poranku, kiedy spotkały się przy udoju — zali nie miłujesz już małej Racheli? Przecz nie widzę cię przy sobie, czeszącą moje kędzierze z pieśnią na ustach? Przecz zostawiłaś mnie samotną, jak drzewo cyprysowe, skąpane w rosie? Aza uprzykrzył się siostrze mojej Lii świergot przepiórki?

— Obludnico — odpowiedziała — kłamią twoje oczy jak jaszczurki, a słowa twoje — obleśne. Nie dość, że zabrałaś mnie, starszej, pierwszeństwo męża, jeszcze naigrawasz się ze mnie? Ale ukarze cię Bóg za moje oczy kaprawe.

— Lio, siostrze moja, czym winna, żem rozmiłowała się w słońcu?

— Niechaj zgaśnie słońce, kiedy w sercu siostry panuje noc.

I odchodziły od siebie, jak dwie ławice piasku, rozbite wichrem.

A czas płynął. A lata sączyły się jak krople wody.

Czasie, sprawco radości i nieubłagany grabarzu!...

.

Nareszcie przyszedł on dzień, kiedy Jakób i Rachela mieli dokonać ślubów.

Siedem lat minęło.

Siedem lat znoju, brózd i chmur.

Siedem lat słońca i nadziei.

Jakże szybko minął ten czas Jakóbowi, który w pracy znajdował pociechę, a w oczach umiłowanej — obietnicę. Jak długo włókł się Racheli, po trzykroć strojącej się w *peer*, jak do ślubu, i kąpiącej swoje ciało w myrze i aloesie!

Ale człowiek patrzy tylko przed siebie; to, co zostało za nim, wydaje się ziarnem piasku. Człowieczy ból ginie w promieniu słońca i roztopia się; wszak gdyby tak nie było — pękłoby serce!

Jakóbowi, a nawet Racheli minione lata wydały się, niby te pola siedem razy obsiane i siedem razy zebrane. Znów świeci nad nimi słońce i obiecuje nowe plony.

Stary Laban czynił przygotowania do weseliska.

A chociaż oszczędny jest jak mrówka, nie pożąda mieszka, ani placków, ani miodu na ten dzień.

Wszystek lud roboczy wyległ na majdan, ażeby czynić przygotowania.

Laban chodzi wśród nich i pośpiewuje, i głośno stuka laską.

— Ojcie — woła Jakób, przebiegając podwórzec — radosny mamy dzień.

— Radosna będzie noc dla ciebie, mój synu.

Nawet Lia spoglądała dziś wesoło na obejście. Wykąpała się, namaściła ciało szemenem.

Oboje z Labanem szepcą po kątach i śmieją się radośnie, i szepcą...

.

Zaraz po uczcie, zwyczajem Ludu z Chanan, uprowadziły niewiastki Rachelę, ażeby ją wprowadzić do łożnicy.

A kiedy pokazał się miesiąc, już można było lec przy sobie, rzuciwszy uprzednio w cztery ściany namiotu cztery żdźbła słomy.

I trzeba było powtórzyć po trzykroć: „Jahwe Tsabaoth, Panie Zastępów“.

I trzeba było cicho liczyć bicia własnych serc...

.

Jakób szeptał:

— Rozradowały się moje oczy, i wstąpiła jasność do mojego serca. Jako jutrznia, kiedy ozłaca szczyty Golaad. Wszystkie lilje przestały oddychać. I ty jedna wśród nich żywiesz. Zaprawdę, nie myślałem, że krągłość twoich ramion krągłojsza od jabłek Edenu. Zaprawdę, nie wiedziałem, że biodra twoje podobne są lirze, a krew twoja ma słony smak morza!

Milczała. W namiocie był mrok. Nie widzieli się wzajemnie, pili się jeno i roztapiali w sobie. Ich ciała spłotyły się jak trzciny.

— Rachel, umieram z miłości — mówił Jakób.
Oblubienica milczała.

Był mrok...

Gwiazdy na chwilę przygaśły...

.
Kiedy Jakób zbudził się, słysząc już było dzwo-
nienie stad. Gdzie Rachela?

Nie było jej w łożu.

Zerwał się i wybiegł przed namioty.

Stada schodzą już na pastwiska. Zali prowadzi
je Rachel? Nie czekała obudzenia się kochanka, obu-
dzenia męża? Niedobra Rachel.

Dopędził stado. Prowadzi je Izar.

— Gdzie Rachela?

Śmieje się głupowato Izar, a w uśmiechu błyszczą białe zęby.

— Nie wiem, panie.

Opowieść Lii stanęła jak w płomieniach.

— Psiel — uderzył go między oczy.

Pobiegł dalej, a stada same poszły na pastwiska.

Przy studni stoją niewiasty.

— Gdzie Rachel?

Spoglądają na Jakóba z dobrym uśmiechem.

— Zali jaskółka odbieżyła gniazdo? — powiada
jedna — wróci przed zachodem słońca.

Inne kiwały głowami, spuszczając ze wstydem
oczy.

Jakób zawrócił. Gdzie Laban, świekr kochany?
Właśnie szedł do gumien.

— Labanie, gdzie Rachel?

— Rachel? — powtórzył stary, łuskając kłos i nie patrząc mu w oczy. — Skądże wiedzieć mogę, synu?

— Ty wiesz, starcze!

W oczach Jakóba zamigotał zły ogień.

Wówczas Laban położył mu dłoń na ramieniu i rzekł:

— Gniew nie przystoi rozwadze. Pójdź ze mną, Jakóbie.

Kiedy znaleźli się w namiocie, Laban spytał:

— Jakże, zięciu, spędziłeś noc z Rachelą? Smakowały ci jej całunki?

Jakób obruszył się.

— Dziwne mi te słowa, Labanie.

— Zali dobry ojciec nie winien troskać się o szczęśliwość dziatki? Czasami po nocy upalnej nastaje dzień pochmurny. Może nie miłujesz mojej córki?

Spoglądał na młodzieńca z pod oka. Jakób w jednej chwili zapomniał o sromocie słów.

— Jak miodna patoka usta Racheli — zawołał — a ciało jej wonieje jak róża.

— Chciałeś rzec usta Lii...

— Racheli, ojczy, małżonki mojej.

Roześmiał się Laban, postukując wesoło laską.

— Powiadam: Lii.

— Jakże to?

Niby błyskawica przeleciała myśl o zdradzie. Był wówczas mrok w namiocie, nie widział jej i nie słyszał jej głosu.

— Jakże to, Labanie? — powtórzył groźnie i zamierzył się na starca.

— Uschnie ręka, podniesiona na ojców naszych — zawołał, cofając się, Laban. Jakże to — chcesz mnie zabić, zem święcie dotrzymał praw pierwszeństwa? Powiedziane jest: młodsza siostra nie może poślubić przed starszą.

— Oszukałeś mnie, Labaniell

— Dopilnowałem jeno prawa Bożego i odwróciłem od was gniew Wiekuistego

— Więc nie dasz mi Racheli?

— Azali nie słodkie usta Lii, a ciało jej nie woneje jak róża?

Jakób zachwiał się. Na ustach czuł jeszcze wargi Lii. Szpetotę jej przysłonił mrok. Ale noce trwają krótko!

— Dziś jeszcze opuszczę twoje namioty — rzekł smutnie i zmierzał do wyjścia.

Labanowi przemknęła myśl, że ten zdrowy, tęgim żniwiarz i pastuch może naprawdę odejść. Trzeba go zatrzymać za wszelką cenę.

— Zaczekaj, Jakóbie. Kto czyni na gorąco, ten ginie od zimna. Tylko siedem dni spędzisz z Lią, a później dam ci Rachel. Zgadzasz się, synu?

I padli sobie w ramiona pogodzeni.

.

A na krańcu osiedla, strzeżona przez troje służby, spoczywała na matach Rachela. Jeszcze była w stroju

ślubnym. Czerwone chusty zdobiły jej krucze kędziory, w uszach połyskiwały złote agile.

Minęła noc w strasznem oczekiwaniu. Zwabili ją do tego namiotu, teraz nie wypuszczali. A wszystko to działo się z rozkazu jej ojca, Labana. Straszliwą noc przetrwała Rachela, okropne było obudzenie. I leżąc, myślała o Jakóbie, gdzie on jest i co czyni. Zali szuka jej i czemuż dotychczas nie odnalazł?

Tak więc wygląda owa noc, o której marzyła długie siedem lat? Dlaczego ukarał ją ojciec? Gdzie jest ukochany? Czemu niebiosy zawarły się przed nią?

Naraz uczynił się gwar przed namiotem. Usłyszała głos siostry.

— Lio, siostro moja! — zawołała w rozpacz.

Lia stała przed nią w całej swojej ohydzie. Zarościały jej oczy spoglądały w triumfie na siostrę. Była w stroju oblubienicy, zmiętym od łoża.

— Jakaś ty szpetna! — zawołała, odwracając głowę, Rachela.

Wówczas Lia zrzuciła z siebie szatę.

— Dwie piersi moje — wołała — to dwa jagniątko, śpiące wśród miedzy. Żywot mój — to źródło w ogrodzie. A całam wonna od szafranu i kasji. I wszystkim Jakóba.

— Lio, aza żądze mózg ci pomieszały?!

— I wszystkim Jakóba. Ramiona jego silne jak powrozy!

— Lio, Liol

— Wiedz, że tej nocy byłam z Jakóbem, chociażem kaprawa i szpetna. Bowiem sprawiedliwym jest Pan.

Rachela spoglądała na siostrę nieprzytomnie, a boleść, jak góra piasku, legła jej na sercu. Nagle zerwała się z posłania i, chwyciwszy Lię za ramiona, poczęła wołać:

— Wszeteczna, oddaj mi mężall

A na to odpowiedziała Lia:

— A ty oddaj mi swoje oczy.

Nagle ktoś zatrząsł zasłoną namiotu. W wejściu ukazał się Izar.

— Rachelo — rzekł — z rozkazu pana mojego Labana pójdź za mną.

Ze śmiechem siostry w uszach — szła. Minęli osiedle, na szczęście puste. Rachela kroczyła, milcząc. Co dalej gotuje jej los srogi?

Oprzytomniała dopiero w namiocie Labana.

— Ojcze — zawołała, padając na kolana — siedem lat czekałam, siedem długich lat!

— Nic to, córko — rzekł starzec, podnosząc ją z ziemi — zaczekasz jeszcze tylko siedem dni, które Jakób spędzi z starszą siostrą. To jest prawo pierwszeństwa, a niewieście — przystoi być cierpliwą.

— Siedem dni z inną? — zapłakała Rachel — a co powie na to mąż mój ukochany?

Laban uśmiechnął się.

— Zgodził się Jakób, aza nie smakowały mu pieszczoty Lii?

Pogładził czoło córki i wyszedł z namiotu.

Jak długo leżała w nieświadomości, nie wiedziała sama. Było już ciemno, kiedy schylona, postarzała, wychodziła z namiotu Labana.

Spojrzała w niebo. Gdzie jest Bóg?

I oczyma smutnemi poczęła żłobić drogę do
Niego, srebrną drogę łez...

.
.

Słuchajcie, słuchajcie, niewiasty z Kades, niewiasty z Sur, niewiasty z Gezar: jeśli wam kiedy zabiorą kochanka, jeśli was kiedy zdradzi siostrzyca, uważnie spoglądajcie w niebo:

A może w taką noc zawodu i łez zobaczycie Rachel, stąpającą po drodze mlecznej — Rachel, której obiecano zwrócić miłość po siedmiu dniach...

DEBORA

...Z nieba walczono: gwiazdy z miejsc
swoich walczyły z Sisarą...

Ks. Sędziów. V. 20.

Tego dnia Lapidoth postanowił rozmówić się z Deborą. Dość mu już było tych zgromadzeń przed domostwem, wykrzykiwań ciżby, a nawet pokłonów możliwych cynejczyków. Lapidoth, który był miłował Deborę, zapragnął ją mieć dla siebie. Azali dobry Bóg nie nagrodił go słusznie za żywot uczciwy, a przez związek z Deborą nie wywyższył w pokoleniu Efroima? Wszak żona dana jest mężowi, ażeby ofiarowała mu dni i noce i pracowała dlań w pocie czoła.

— Deboro, Deboro! — wołał.

Pod palmą, zwaną jej imieniem, siadywała od świtu i sądziła sprawy wszelakie. Jeszcze ciepłe było łóżko od jej ciała, a woniało od kos — gdzież Debora?

Nie odwracała głowy na zew męża.

— Izraelu mój — wołała — jak długo jęczyć będziesz w jarzmie chananejskim?... Złym jest król Jabin, który króluje w Asor, mściwym jego wódz Sisara. Czy zamarł w was duch Thola i Elon?

— Deborol — wołał Lapidoth — czas wypędzić stada.

— Azali nie widzicie, jak ginie młódź izraelska pod chłostą żołdaków Jabina, który siłą zmusza ich do walki? Azali córki izraelskie oniemiały ze strachu? Azali kupcy i rzemieślnicy dobrowolnie znosić będą do końca dni swoich haracz ciemieżcy?

Tak wołała Debora, a pobok stojący lud potakiwał jej i wygrażał pięściami:

— Śmierć Chananejczykom!

Lapidoth zniechęcony, zły, odbieżył do stad, mruczając:

— Zali to żona dla kupca? miast pilnować szkarlatu, stad — nocami gada do księżyca, a we dnie podburza do oporu przeciw wielkiemu królowi Jabiniowi? Dzisiaj wybiję godzinę pojednania lub rozłąki.

Było południe, świat gorzał w słońcu, kiedy nareszcie skończyła sądy. Przypomniat się jej mąż, dobry kupczyzna, którego miłowała po swojemu. Poszła go tedy szukać i hukala głośno po dolinie. Lapidoth umyślnie zaszył się w gąszczu. Kiedy go nareszcie odnalazła, rozsierzdził się wielce.

— Dla mnieś ty wszystka — wołał — co mi tam niewola i cały Izrael!

— Opanuj się — odpowiedziała — i nie wyrzekaj. Jam jest dla wszystkiego ludu, bo taka wola Przedwiecznego.

— Nie miłujesz mnie, Deboro — płakał — toć nocami nie moja ty i dniami obca. Ulituj się.

— Jam dla ludu — powtórzyła.

— Więc idź z ludem — zawołał w gniewie.

I odeszła.

Lapidoth patrzył za nią. Złoty pył okrył pola. Szła drogą samotną, wysoka jak palma. Może się odwróci, może zawoła...

Szła sama. Nie wiedzieć które z nich było samotniejsze? Lapidoth z litości nad sobą płakał...

.

A wszelako nie ten radosny wśród ludu, który jest dla ludu. Debora wiedziała o tem, ale biło w niej serce lwicy.

I wśród pożogi zachodu śpiewała:

„Słuchajcie, królowie, bierzcie w uszy książęta: jam jest, jam jest, która Panu zaśpiewam, śpiewać będę Panu Bogu Wszechmocnemu.

„Panie, gdyś wychodził z Seir, a przechodziłeś przez krainy Edom, ziemia się wzruszyła, a niebios a i obłoki kropiły wody!”

.

Tak śpiewała Bogu Debora. Ale obłoki były nie-me. Słuchały głosu jej, ale milczały. Na niebie płonął wóz krwawy i rumaki go unosiły. Debora widziała znak Boży — ona jedna — i rozumiała, dokąd pędzą konie. Na dwór Sisary do Haroseth, wielce pogańskiego grodu.

I zwidziały się jej pola krwawe, pełne trupów Izraela. Czy ma wymrzeć lud wybrany? Kto go wyratuje, kto wyciągnie z pod kopyt rumaków?

— Deboro, idź! — usłyszała w ciszy nocnej.
I zadrżały pod nią kolana i padła na ziemię:

— Ja mam pójść, dokąd i przecz, o Panie?
Trwoży się serce moje, czy podołam?...

A oto ukazały się trzy dusze niewieście: Urna
łez, Czara rozkoszy i Kruża cierpienia:

— Idź za nas, Deboro.

I poszła.

A na niebie wstawiała zorza poranna.

.

I tegoż dnia pod palmą swojego imienia wołała:

— Pomsty, pomsty, krwil Czy zaniemówił lud
od wschodu, zachodu i południa? Obudź się, Baroku,
synu Abinoem!

U stóp jej lud, zamarty w trwodze, płakał, ale
Debora nie znosiła łez:

— Wstańcie. Płaczą jeno niewolnicy. Sprowadź-
cie mi Baroka.

A kiedy przyszedł, rzekła mu:

— Zgromadź młodź izraelską i wiedź ją na górę
Tabor.

— Kto pójdzie — odpowiedział niechętnie —
nie pora na bunt.

— Pójdą synowie Nepthali, pójdą synowie Za-
bulon.

— A ty pójdiesz z nami? — spytał niedowie-
rzająco Barok.

— Myślisz, że Debora umie jeno rozkazywać? Pójdę z tobą, Baroku, ale czy wonczas przypiszą ci zwycięstwo?

— Chcę mieć ciebie przy sobie — rzekł ponuro Barok — skoro padnę, zginiesz i ty.

— Zostań z nami — wołał lud.

Ale ona wstała i, płonąca od zachodu, rzekła:

— Gdzie bój — tam ja, gdzie zemsta — tam ja. I niechaj spłyną potoki krwi, a wszystka ziemia zadrzy. Prowadź mnie, synu Abinoem.

— Idź pierwsza — rzekł wódz i wydobył miecz z pochwy.

.

Wszelako była niewiastą.

I żał jej było miasta Bethel i miasta Ramy i góry Efraim, na której kazała.

I żał jej było stad.

I żał jej było Lapidotha, małżonka swego.

Toć gorące były ich pierwsze noce. Brał ją płonąca. Brał ją niemą i pełną łez. Jak słodko było kochać, kiedy nie była Debora.

Idąc, spoglądała wokoło. Może go dojrzy wśród tłumu. Drogą głowę. I ręce, które ją brały, niby mocne, a przecie tak słabe. Wyparł się jej, odszedł zagniewany.

— Deboro! — usłyszała nagle.

Stał na zakręcie, przyparty do ściany. Z oczu zapłakanych szedł cały bezmiar słabości. Zatrzymała

się. Barok stanął opodal. Tłum ludu przypatrywał się im ciekawie.

— Deboro, odchodzisz? — spytał.

— Odchodzę, luby.

— Dokąd idziesz, Deboro?

— Na górę Tabor. Wzywać mężnych na bój z Sisarą.

— Pozostań...

Zadrsało w niej serce. Z litości, czy też kochania. Ten człowiek ongi ją wziął, i gorące były ich noce.

— Nie odchodź, Deboro. Zostanę sam...

— Za późno.

— Wiesz, Deboro? Zległa czarnucha, będziemy mieli jagniątką. Syryjczyk Omel przyniósł cudne jaspisy.

Śmiał się tym śmiechem, który tak bardzo lubiła Debora. Jaki mały i chłopięcy wydał się jej pod murem!

Gawiedź czekała. Poniektóry czynił żarty, że zostanie.

— Żegnaj, Lapidothocie.

— Jakże to? — zawołał w ostatniej rozpaczy — mamże cię tracić? Czemu to ty właśnie, a nie inne niewiasty Izraela, masz wieść hufce na Sisarę? Nie pozwólcie jej odchodzić.

— Żegnaj — powtórzyła mocnym głosem — nie mogę zostać. Nie dla Debory jagniątką i jaspisy. Jam jest gniew i pomsta, a one nie mieszkają doma.

.

Śród niewiast cynejskich była niejaka Jahel, żona Haberowa. Drużyła się z nią Debora. Obydwie były jak zagwie płonące. Jahel rwała się do boju, ale mąż jej trwał w przymierzu z królem i Sisarą i nie pozwolił na wystąpienie.

— Jahell — zawołała Debora, przechodząc obok jej zagrody, a za nią szedł już tłum, porwany jej głosem.

W fałdach zasłony ukazała się ruda głowa Jahel.

— Owom ja!

— Pójdź ze mną, Jahel.

— Nie lża mi... alem z tobą, Deboro.

— Pamiętaj o przysiędze. Wybiła godzina.

— Wybiła godzina — powtórzyła Jahel.

Porozumiały się spojrzeniem. Tego wieczora miały się spotkać i snuć dalej marzenia o zwycięstwie ludu. Debora przykazywała, a Jahel przyrzekła ją słuchać. Debora miała głos jak surmy bojowe. Jahel serce bez litości i dłoń krwawą.

Przy gaju oliwnym Barok wyruszył z dwoma spiskowcami. Debora miała wskazywać drogę orężnym i zachęcać ich do boju.

A była już godzina zachodu, i mnogi lud powracał do miasta na leże nocne. Od oazy słyhać było nawoływania pasterzy i krzyki przekupniów, zachwalających napój chłodzący *chalab*. I nagle w tę ciszę przedwieczera wpadła dzika pieśń młodzi, wracającej z ciurami do obozu.

— Synowie Nephtali i Zabulon — wołała Debora, a pobok niej płonęło ognisko, które rozpałała,

ażeby zwrócić na siebie uwagę żołnierzy. — Wybiła godzina pomsty, kiedy Izrael ma zerwać pęta niewoli. Wszyscy do broni przeciw niegodnemu królowi Jabinowi i krwio pijcy Sisarzel

— Słyszcie: Debora — zawołali zbrojni i okrzykli ognisko. — To mówi Debora.

— Pokój ci, Deborol

— Błogosławione usta twój!

— Słuchajcie, słuchajcie — wołała niewiasta — bo oto miałam widzenie. A na niebiosach jechał wóz ognisty i rwały rumaki. A każdy z nich miał skrzydła, a każdy biegł do podłego miasta Haroseth. Na wozach ognistych stali trębacze i wołali: „Zwycięstwo. Śmierć tchórzom i niewolnikom“. Porwana tym głosem, pobiegłam za nimi, o synowie Nephtali i Zabulon. I com zobaczyła: oto rumaki wpadły do miasta Haroseth i wywlokły na rynek Sisarę.

— Biada Sisarzel — zawołał jakiś młodzieniec, a za nim powtórzyli inni.

— Słuchajcie, słuchajcie, synowie Hobaby, szlachetni cynejczycy, chociaż tchórzliwy Haber odłączył się od was — bo oto na wozie obok trębaczy staliście wy, o mężowie orężni, a na was spoglądał Jahwe Tsabaoth, król zastępów, król Izraela. A więc długo jeszcze będziecie milczeć i padać w prochu przed Sisarą, wodzem chananejskim, wy, którzy macie siłę lwów, a serca zajęcze? Obudźcie się, śpiące, zerwijcie do lotu, przyziemne, wzywam was i zaklinam, ja, Debora, na bój, na bój!

Czerwone płomień zasłoniło ją, a dymy były w niebiosach jak słupy ofiarne. Z poza nich widać było jej ramiona, błyskające jak węże o łusce purpurowej.

— Na bój — powtarzała młódź, i rozległ się trzask mieczów — prowadź nas, Deboro!

Ale nie brakło też niechętnych, którzy, jak rój złych os, brzęczą wszędzie tam, gdzie roją się pszczoły.

— Nie poradzim — wołał jakiś głos — na nasze setki król Jabin odpowie krociami.

— Sisara jest silny jak lew.

Debora poprzez mgłę dymu spoglądała na to mrowie, które już była zdobyła swoim nakazem. Wiedziała, że czasami paru tchórzów może rozbić w proch twierdzę waleczności.

I poczęła się w duchu modlić:

— O Adonaj, Panie wód i mórz, gwiazd i ziemi, spraw, ażebyś ich przekonać mogła. Wszak już okupili grzech swój, bijący pokłon Baalowi i Astarcie, którzy opuścili Ciebie, Boga ojców swoich.

Jakoż na drodze do Tabor ukazał się pochód dziwny. Na przedzie szli ludzie odarci z odzienia i popychali jakiegoś człowieka, za nimi biegł tłum ludu.

— Gdzie Debora, gdzie Debora? — krzyczeli głośno.

Hufiec zbrojnych rozstał się. Gromada nędzarzy omal nie wpadła na dymiące ognisko. I nagle Debora poznała w człowieku, popychanym przez nędzarzy — męża swego, Lapidotha.

— Owom ja — zawołała, czując, że przerażenie odejmuje jej mowę.

— Pokłon Deborze — wołał oberwaniec, trzymający za ramię Lapidotha — pokłon tej, która na zagładę chce prowadzić lud Izraela.

— Zamilcz, psie — zawołał żołnierz z plemienia Zabulon — jak śmiesz znieważać najczcigodniejszą?! — i chciał uderzyć śmiałka, ale Debora powstrzymała go ruchem ręki.

— Niech mówi — rzekła zdławionym głosem.

Wówczas z tłumu wystąpił Masfa, stary rzezak.

— My, ubodzy — zaczął — nie chcemy wojny. Teraz żremy bób z czosnkiem, aco nam dadzą, kiedy i tego nie starczy? Debora wzywa do boju, bo nic nie traci, a mąż jej ukrył się przed rozkazami Baroka.

— Prawdę mówi Masfa? — spytała Debora, spoglądając na męża.

Lapidoth milczał. Jego oczy pełne przerażenia błędziły po tłumie i zatrzymały się z wyrazem błagania na żonie. Milczał.

Wówczas tłum nędzarzy zawył:

— Osądź Lapidotha.

Debora weszła na kamień, aby ją wszyscy widzieli. Z trzaskiem dopalały się główne. W diademie iskier oblicze jej żarzyło się jak gora. I poczęła mówić wolnym głosem:

— Z rozkazu Boga Przedwiecznego, Boga ojców naszych, ja, Debora, z plemienia Efraim, sąd ten sprawuję. Niechaj Lapidoth w pierwszym szeregu wojowników uderzy na Sisarę.

Tłum cofnął się, ogarnięty przerażeniem. Poniektórzy zaczęli wykrzykiwać:

— Deboro, sprawiedliwa Deboro, prowadź nas na bój.

— Na Tabor — wołali żołnierze z plemienia Naphtali i Zabulon, uderzając w miecze.

A ona, z oczyma utkwionemi w niebo, wskazując ludowi szczyt gór, błękitniejący w oświetli gwiazd, błogosławiła orężnym.

A serce jej płakało.

.

Była godzina pierwszych gwiazd, kiedy Jahel opuściła namiot męża. Za chwilę miała się zobaczyć z Deborahą. Serce w niej drżało na myśl, że usłyszy nareszcie o losach wojny. Czy lud usłuchał wezwania wieszczki, czy są widoki zwycięstwa?

Za wzgórzem oczekiwała ją Debora. Twarz jej spowiła zaduma, oczy przygasły. Jahel natychmiast wyczuła smutek prorokini. Ale kiedy spytała o losy wojny, Debora nagle zapaliła się.

— Zwycięstwo — mówiła — usłuchali mnie. Niechaj chwała będzie Wiekuistemu. Jutro uderzy Barok, będę przy nim.

— Deboro — spytała Jahel — co mam czynić, ażeby wam dopomóc?

— Jahel, my, niewiasty, musimy dać hasło do zwycięstwa, my, niewiasty, własnymi rękami musimy miecz zatopić w piersiach ciemieżcy. Albowiem męże

myślą, żeśmy jeno naczyniem rozkoszy. Za słabe dusze, za tęskniące dusze, za poniżone i drżące!

— Jam gotowa, Deboro.

— Słysz, znęcisz do namiotu Sisarę, którego ci napędzę. Napoisz go, a potem, potem — zabijesz.

— Skąd wezmę miecza, Deboro?

— Och, Jahel, zali ciemieżcę zabija się tylko mieczem? Bóg zemsty poda ci do ręki żelazo... mały, ostry kawał żelaza i wbijesz go w skroń Sisary. A bij śmiało, a uderz mocno. Za wszystkich lud izraelski.

— Tak się stanie, Deboro.

— Żegnaj, Jahel.

— Módl się, Deboro, ażeby ręka moja nie zawiodła.

— Będę się modliła, Jahel.

I rozstały się.

A Debora wróciła do miasta, ażeby pożegnać swoje domostwo. Była noc. Nikt jej nie dostrzegł. Księżyc wypłynął na niebo i oświecił ich zagrodę. Zagrodę Debory, która w niej nuciła o słodkich nocach kochania. Było tu pusto. W opłotkach beczały kozy. Śnać nie miał je kto napoić. Pan tego domostwa, wygnany przez złą żonę, jutro zginie na polach Tabor.

Jutro zginie Lapidoth.

Jutro zginie kochanie Debory.

Na bój, na bój! synowie Naphtali, synowie Zabulon!

D A L I L A

...Jużes mnie po trzykroć oszukał,
i nie powiedział mi, w czym twoja moc
wielka...

Sędziów. XV. 15.

Spoczywała w dużem łożu, którego baldachim wsparty był na czterech lwach. Łoże to, przywiezione z Fenicji, miało kształt czółna. Dalila, leżąc w niem, wyglądała jak dziecię, rzucone na fale morza. Spała.

U stóp jej Seira dużym wachlarzem z piór strusich odpędzała małe muszki. W pewnej chwili Dalila poruszyła się. Otworzyła oczy, a potem je zamknęła. Na jej twarzy smagłej, o ustach jak owoc granatu, zaigrał uśmiech dziewczeczki. Spała dalej.

Z ulicy dochodził przytłumiony gwar miasta. Gazza budziła się. Tuż obok domku Dalili przechodziły karawany, kłócili się przewodnicy. Ktoś pobił małego chłopca, kradnącego słodki *kikkar*.

Seira przestała wachlować, była znużona. Toć o północy czuwała nad swoją panią. A przedtem gorące były godziny... Książę Abdon, książę Elon, kupiec Syran. Każdy z nich bawił niedługo, a razem uczynili dużo wrzawy. Biedna Dalila! Jakże musiała

być znużona po tej nocy pracowitej. Seira, napoły śpiąc, rzuciła okiem na stołek z drzewa sytymu. Lśniły na nim złote blaszki. Szczęśliwa Dalila!...

Do izby zagłądał świt. Zrazu nieśmiało i ukradkiem, potem nagle błysnął, uderzył ostrzem w fenickie zwierciadła i rozplątał się tysiącem ogników. Uśmiechnął się obwisłymi wargi bożek Dagon. Dalila obudziła się.

— Seiro!

Służebnica zerwała się trwożliwie. Za drzemkę groziła jej chłosta. Ale dzisiaj Dalila była wybacząca, może nazbyt znużona. Uśmiechała się jeszcze, gładząc piersi. Z pod długich jej powiek padał cień radosny. Dalila śmiała się.

— Jakże on miał ramiona — mówiła, przeciągając się leniwie — niby młody lew, gotowy do skoku. A jego kolana były mocne, niby dwa słupy. I wszystko było piękny.

— Księżę Elon? — spytała domyślnie Seira, uśmiechając się.

— Kto inny, Seiro.

— Księżę Abdon?

— Kto inny, Seiro.

Znała wszystkich kochanków swojej pani. Pomimo znużenia była ciekawa.

— Któż więc, Dalilo?

— Nie znasz go, Seiro, bowiem to był mój sen. Przeciągnęła się rozkosznie.

— Chciałabym go zobaczyć, podrażnić jak lwa — i rzucić!

Seira wzruszyła ramionami, często nie mogła zrozumieć tej Filistynki. Zali mało jej było żywych, że pożałowała nawet we śnie?

— Seiro, przygotuj mi kąpiel.

Seira zniknęła za kotarą, a kurtyzana poczęła wstawać. Więc zwyczajem codziennym stanęła przed zwierciadłem i jęła badawczo oglądać się. Zlekka masowała nogi, wyprężyła piersi.

— Ten prostak Syran ugryzł mnie w ramię — mówiła do siebie — najgorzej zadawać się z kupcami.

Usiadła na łożu, zażyła ze złotej ampuły kropli tajemnych, które na pół dnia dawały jej radość życia. W przyległej izbie słychać było plusk wody. W wykładanej berylem łaźni biegła oswojona sarenka. Dalila, kąpiąc się, podawała jej cukrzane migdały. A Seira na rozkaz Dalili opowiadała baśnie syryjskie:

— „Zwał się Sellon i miał włosy szkarłatne, a z ust płynął słup ognisty. A drżały przed nim niewiasty, bowiem, całując je, wpijał się w gardło i pił ich krew. A było to za dni Abulonowych...

Przy drzwiach od ulicy ktoś zapukał. Naprzód wolno a potem coraz prędzej i głośniej.

— Jakiś gość niecierpliwy — rzekła, nasłuchując Seira.

— Przepędź go — zawołała gniewnie Dalila — ranek jest, i pragnę wypocząć.

— A gdyby któryś z książąt filistyńskich?

— Obrzydli mi, jak capy.

Dziewczyna wyszła. Przez dłuższą chwilę nie wracała. Dalila zaczęła się niecierpliwić. Nagle służebna ukazała się z przerażeniem w oczach.

— Dalilo — rzekła przyciszonym głosem — w twej łóżnicy jest olbrzym, podobnego nie widziały moje oczy. Pragnie cię zobaczyć.

— Powiedz mu, że Dalila nie zwykła oglądać nieznajomych.

— Mówiłam, a on... powiedział, że jeżeli nie wyjdiesz, przewróci ścianę i obaczy cię.

— Któż to jest? — zdziwiła się Dalila.

— To chyba nie człowiek, to lew, z głową pasterza. Ogromny i porośnięty włosami, lędźwie ma jak słupy, a mowę słodką i śpiewną jak wicher.

Z przyległej izby ozwał się głos niecierpliwy:

— Dalilo... hej! Dalilo...

Kurtyzana oburzyła się. Jakiż to śmiałek powazył się nachodzić ją, kochankę książąt filistyńskich?

— Rzeknij mu, Seiro, że jeżeli po dobremu nie wyjdzie, każę go przepędzić.

— Boję się — szepnęła Seira — to Sellon wcielony z ognistą głową.

— Rozkazuję ci.

Dziewka wróciła za chwilę, drżąc ze strachu jak liść.

— Powiedział, Dalilo, że daje ci tyle czasu, ile trzeba na zjedzenie kury.

Dalila oniemiała, ogarnęły ją gniew i jeszcze silniejsza ciekawość. Ale postanowiła wytrwać, chcąc

zaś przed Seirą okazać, że nie obawia się, poleciała jej dalej opowiadać bajkę.

Nagle rozległ się trzask pękających tarcic. W progu ukazał się olbrzymi człowiek, dźwigający na barkach bierwiona.

— Na boga Dagona — zawołała Dalila — ktoś ty jest?!

— Jam Samson, syn Manue, nie obawiaj się mnie. Zaprawdę, piękniejsza jesteś, aniżeli mi opowiadano. Pozwól oglądać się oczom moim.

Dalila z podziwem przyglądała się temu kolo-sowi.

— Zdejmże z bark moją ścianę — rzekła z uśmiechem.

— Zapomniałem o niej, Dalilo, nie waży więcej od twoich włosów.

Delikatnie zesunął bierwiona i położył je na ziemi.

— Przepędź tę synogarlicę — rzekł, wskazując na Seirę, będą ci służył niegorzej od niej.

Dalila skinęła na służebną. Pozostali sami.

— Przecz zniszczyłeś dom mój — rzekła niby z wyrzutem, i nagle — ona, która co noc obnażała się za garść monet — zasłoniła się wstydliwie szkarłatem.

— Uczyniłem jeno krótszą drogę do twojego łoża — rzekł Samson. — Ale na Boga, nie zakrywaj się! Siedem dni i siedem nocy szedłem do ciebie, Dalilo...

— Znałeś mnie? — spytała cicho.

Usiadł u stóp kobiety, wpatrywał się w nią roziskrzonym okiem.

— Głośno o tobie — rzekł — i w Saarze, i nad brzegiem morza, i w Estaol... Ciekawy byłem ciebie, Dalilo, rozgorzało serce moje, nie znając ciebie.

— Zali nie zawiodłeś się? — spytała — ale skoro przyszedł i rozwalileś ściany mojego domu, to pozostań na ten dzień i na tę noc. I może doreszty zawali się dom Dalili.

— Wybuduję ci go, córo filistyńska, z samych cedrów.

Jakoż uniósł ją z wody, odpędził sarnę, która spłoszona przysiadła w kąciku. Poczem wziął kapiącą jeszcze od rosy i wszystką pachnącą wiosną i zaniósł na łożo.

— Dalilo — szeptał, a głos jego był cichy i pieściwy — jak bardzo gorące są twoje wargi!

— Samsonie, tyżeś to zwidział mi się we śnie, kiedy znużona czekałam jutrzeńki? Ponad sardjusze i onychyny droższa mi pierś kochanka, chociaż ubogi on. Samsonie, kim ty jesteś?

Nie odpowiedział. Zatonęli oboje w morzu, które ludziom odbiera pamięć o śmierci. Cicho płakała w jego uścisku. Po dłuższej chwili odezwał się:

— Jam jest potęga i moc. Na mnie wsparły się niebiosy, a kiedy zechcę i usunę się, przytłoczą świat. Czem jest ziemia, czem człowiek, czem śmierć? Wszystko to jest we mnie, bom ja nazaryta boży!

Dalila odsunęła się przerażona.

— Tyś z rodu Dan, wróg Filistynów?
Samson roześmiał się.

— Czy dlatego mniej ci smakują moje uściski? Daj jeszcze ust, Dalilo, a rozgryzę je jak owoc rimonu.

— Więc ty jesteś ten, który pobił oślą szczęką trzy tysiące Judy na opoce Etam?

— Jam to uczynił, Dalilo.

Omdlała z trwogi spoglądała na to cielsko nie-ludzkie i po raz pierwszy zaczęła myśleć o śmierci.

— Przyszedłeś mnie zabić — szeptała z łkaniem.

Wówczas przypadł do jej stóp i począł je okrywać całunkami.

— O, Dalilo, przecz mną gardzisz i drżysz? Czy nie widzisz, że najsilniejszy mąż wobec niewiasty staje się słaby jak czerw? Czem są moje pięści wobec twoich dłoni, które białe są jak lilje i pachną różami?

— Samsonie — odpowiedziała cichutko — azali wiesz, że jestem nierządnicą? Wstań i oddal się ode mnie.

— Azali myśli nasze nie są nierządne? Azali nie kupczymy sercami, Dalilo? Tyś czystsza od bieli na górach Hermonu. I zaprawdę ten, który tobą pogardza, niech przejrzy się w strumieniu. O, Dalilo, świat stoi na glinianych nogach, a Samson go podtrzymuje. Pijmy wino, dopóki się nie zawali.

Ogarnął ją sobą, ale tak lekko, jakgdyby skrzydłem motyla. Poddawała się, myśląc, że ten morderca usta ma słodkie jak miód, a wszystkim jest dziecięcy. I nagle uczuła się szczęśliwą.

A Samson mówił:

— I otom drobny, jako ziarnko piasku, a słaby jak jagnię. Czy przez to, że władą mną słodka dziewczeczka? A przecz to omdlały moje nogi, które dźwigają baszty kamienne? Azali słodycz kwiatu odbiera siłę lwu? Dalilo, Dalilo, ty mała owieczko i silna opoko, na której stoi świat!

Twarz jej, poprzez sitowie złotych włosów, śmiała się zwycięsko.

— Zali prawdą jest, że pan mój stracił wszystką moc swoją?

— Jako lew rażony strzałą zatrutą.

— I teraz nie zdołałby pobić trzy tysiące Judy?

— Ani jednego, Dalilo.

— A gdybym tak oddała cię w moc książąt filistyńskich? — żartowała, bawiąc się jego grzywą.

— Pokłuli by mnie jak drzewo sytymu.

— Przez to, żeś mój?

— Przez to, żeś twój.

Zaniechali mowy. Olbrzym, pochylony nad łożem, pieścił kolana dziewczyny, bawił się pękami jej piersi, wszystką miał na uścich.

Nagle Dalila odsunęła jego palce zaborcze. Przez głowę jej przemknęła jak błyskawica myśl.

— Słuchaj — rzekła, wstając — tyś wszak wróg mojego ludu, a gdyby tak zastali cię tu książęta filistyńscy?

— Zmiotłbym ich, jako wiatr zdźbła słomy.

— Bowiem przychodzą do mnie — śmiała się — co noc przychodzą i biorą mnie.

— Zabiję ich, zanim kur zapieje...

— Zabij ich, Samsonie. Oni mnie kupują za srebrniki — płakała cichutko.

— A ja nie mam nic okrom siły — rzekł smutnie. — Darmo więc piłem on miód wonny i wdychałem zapach anemonów.

— Mniemasz, Samsonie, że Dalila zaprzedała serce?

Nie odpowiedział jej, nie potrafił długo być smutny. W jego olbrzymiej postaci śmiało się słońce.

— Dalilo, dość o łzach. Spójrzij przez okno. Gazza obudziła się.

Istotnie na ulicy przelewało się życie. Gromadami szli ludzie, prowadząc juczne zwierzęta. Wykrzykiwali przechodnie, jazgotały dzieci. Czasami w ten pean radości wpadał pobrząk mieczów: to żołnierze przemierzali miasto, dążąc do obozów.

Samson powstał z łoża, przeciągnął się, schylając głowę pod pułapem.

— Trza mi pójść — rzekł.

— Jakże to pan mój nie zostanie na noc? — spytała niespokojnie.

— Pełne usta moje napoju słodkiego. Dość mi.

— Ale powrócisz, Samsonie?

— Nie wiem, Dalilo, przede mną siła pracy, a przy twojem łonie leniwieją członki.

— Wróć — takiego kochania żaden mąż mi nie dawał. Jakże silny uścisk twój a kolana twoje ze spiżu. Kochanku mój!...

Zarzucił na siebie skórę tygrysią. Przytulił dziewczynę do kosmatej piersi.

— Bywaj, Dalilo.

Ale ona go nie puszczała. Więc, objawszy głowę i odrzuciwszy lwie kędzierze, wpiła się w usta olbrzyma i raniła je do krwi ostremi zębami.

— Lubaś mi — przemówił zdławionym głosem.

— Więc przyjdiesz? — pytała, omdlewając — jutro o świcie jak dzisiaj?...

Wyszedł prędko. Dalila rzuciła się na łożo. Od-
dychała ciężko. Co to było? Sen?... Zjawą?... Człowiek?... bóg?...

Do izby weszła Seira, a widząc leżące na ziemi bierwiona, zawołała:

— Owo rozwalił nam dom ów przybłęda.

A Dalila, mając oczy zamknięte, szepnęła:

— Gorzej, rozwalił mi serce.

.

Tego samego dnia książę Elon dowiedział się od swego zausznika, że u Dalili był Samson. A wiadomo, że był to wróg Filistynów, więc rozsierdził się wielce pan. Tedy, nie czekając zmroku, zjawił się u Dalili.

— Gościłaś Samsona, syna Manue z plemienia Dan? — spytał, marszcząc brwi.

— Gościłam Samsona — odpowiedziała ze śmiechem — a każ-że mi, panie, naprawić ścianę, którą rozwalił.

— Czego chciał od ciebie?

— Tego, co i ty, panie.

Książę podniósł dłoń, chcąc ją uderzyć. Ale stała przed nim tak piękna, że ręka mu opadła.

— Usidlon jestem przez dziewczynę — pomyślał — a skoro ją osmagam, brat mój odbierze mi ją...

— Słyszysz, zaliś Filistynką? — rzekł po chwili — toć Samson — wróg czyhający na naszą krainę. Pozbaw go siły.

— Miły wróg, który ma kolana ze śpiżu i usta jak płomień.

— Dziewko!

— Książę!

— Zamknę cię w ciemnicy — wybelkotał Elon.

— Samson rozwali ją — roześmiała się.

A poczem, ujawszy się pod boki, dodała:

— A teraz zostaw mnie, panie mój i królu.

Elon wiedział, co oznacza to pożegnanie. Znow będzie biegał pod progiem jej domu jak pies.

— Dalilo, nie bądź mściwa, wždy cię miłuję.

— Wy mnie miłujecie, ale ja was nienawidzę.

— Dalilo...

Spoglądał na nią niemal ze łzami.

— Klękniij.

Wówczas padł do stóp dziewczyny i jął całować jej palce, okryte pierścieniami. Stała nad nim dumna i roześmiana. Poczem nagle objęła go.

— Elonie — rzekła tak słodkim głosem, że zdrżał — odejdz już. Zaprawdę, do kochania jest noc, a ona niezadługo....

Wybiegł, nie chcąc jej drażnić. Kiedy została sama, przywołała Seirę.

— Nikogo dziś, rozumiesz? Ani raba, ani księcia. Daremnie dobijał się o zmierzchu Elon, a o północy brat jego — Abdon. Dalila czekała świtu.

...Wpadł jak huragan do łożnicy. Leżała w listkach dzikich róż i anemonów. Podała mu czarę miodną. Odrzucił. Bez słów zatonęli w sobie. Szły godziny. Zapalały się gwiazdy i gasły.

— Czem jest siła — szepnęła nagle Dalila — żem pogrążona i żadna?...

— Siła — to świat — mówił, patrząc przed siebie, Samson — porusza gwiazdy, wstrząsa ziemią, przed nią do końca dni swoich drzeć będzie człowiek. Siła jest nieśmiertelna, Dalilo.

Wstrząsnął nią dreszcz trwogi. Biorąc w dłoń pierścień jego włosów, spytała szeptem:

— Toś ty nieśmiertelny, Samsonie?

Zerwał się, błysnął oczyma, z których rozsypał się snop iskier.

— Tak, bowiem jam jest ogień, woda, wiatr. Po wszystkie czasy człowiek będzie ze mnie kresał moc.

— Nienawidzę twojej siły, Samsonie, tyś przez nią niepodobny do człowieka. Bądź jak inni ludzie. Inaczej nie będę cię mogła miłować.

— Zabierz mi ją — roześmiał się olbrzym.

— Powiedz, powiedz, kochanku mój — tuliła go do siebie — w czym jest twoja siła? Ona mnie oślepia, ona mi gotuje nieszczęście. Póki cię nie widziałam, nie rozumiałam świata. A teraz świat mnie przytłacza i odbiera mi wszystką radość moich dni!

Pomyślał i rzekł, jakby w marzeniu:

— A weź, Dalilo, siedem wici surowych i zwiąż mnie, tedy osłabieję.

— I będziesz jako inny człowiek? — zawołała radośnie.

— I będę jako inny człowiek — powtórzył Samson.

Zamilkli. Olbrzym nagle posmutniał.

— Tyle mam jeszcze do czynienia — mówił do siebie — bo oto lud Izraela jęczy w okowach, a jam naznaczon jest, aby go wyzwolić.

— Biada braciom moim — szepnęła.

Tego wieczora, obawiając się zemsty, opowiedziała o wszystkim Abdonowi.

— Dalilo — rzekł groźnie książę — pamiętaj, żeś Filistynką, ty musisz pomóc do zabicia Samsona. A jeżeli nie zechcesz — gore cil

— Nieszczęsna, co mam począć? — zawołała Dalila.

— Dowiedz się, w czym leży moc Samsona.

— Jak mogę tego dokonać ja, słaba niewiasta?

— Na Dagona, zali nie pojmujesz, że posiadasz moc czarowniejszą od najsilniejszego męża: łono, pachnące różami?

Objął ją i począł tulić. Nagle zmierzył dziewczynę okrutnem spojrzeniem swoich podłużnych źrenic.

— Śmierć twoja — zawołał — albo po tysiąc srebrników od każdego z książąt filistyńskich!

Kiedy wyszedł, Dalila padła na kolana i zalała się łzami.

— Także to mam płacić Samsonowi za jego całunki gorętsze od ognia? Co pocznę, najbardziej niešťczęśliwa z niewiast? Seiro, Seiro, ratuj mnie.

Ale Syryjka wzięła stronę Abdona. Azali dla pocałunków tego szaleńca warto poświęcić spokój domu i całość głowy? Oddać go raczej w ręce książąt, i niechaj Gazza zobaczy siłacza, wiszącego na gałęzi!

— Tego nie uczynię — odpowiedziała Dalila — skoro książęta zmuszają mnie — dobrze! wywiem się siły Samsona, ale nie pozwolę go zabić. A za książęce srebrniki ucieknę z nim, i rozpoczniemy nowe życie.

Seira uśmiechnęła się; dziś jeszcze powiadomi o wszystkim Abdona...

Jakoż Samson nie przybywał. Już świt opromienił wzgórze Hebronu, rozdarł zasłony i wpadł do łóżnicy Dalili, złocąc karmazyn zawieszony na ścianie, przeglądając się w sardjuszach i topazach, leżących w złotej misie. Czemu to nie nadchodzi ów kochanek z pustyni, z twarzą lwa i uśmiechem jagnięcia?...

Zasmuciło się serce Dalili, spazm tęsknoty rozdarł jej łono. Nagle rozległ się stuk kołatki, wstała wszystka zamieniona w słuch a poządliwość.

Wpadł jak błyskawica, roześmiany jak bóg słońca.

— Ścigają mnie — wołał — ścigają jak psy, zamknęli mnie za bramą miasta, a ja wyrwałem dzwierzę, włożyłem je na ramiona i zaniósłem na wierzch góry podle Hermonu. I otom jest u ciebie, Dalilo...

Chciał ją przytulić, ale wyrwała się z objęć.

— Twoja siła stanie się twoją śmiercią — powiedziała z rozpaczą.

— Nie stracham się śmierci, Dalilo, zali mogą zamrzeć ogień, woda, wiatr?

— Przebóg — płakała — zewsząd czyha na ciebie gaśba, mamże patrzeć, aż zginie lew, i cała ziemia zadrży od płaczu?

— Czego chcesz ode mnie — spytał z goryczą — zalim poto biegł do ciebie we krwi, ażeby słuchać jęku miast śpiewu i radości?

— Luby mój — wołała obejmując mu stopy — stań się zwykłym człowiekiem!

A potem ułożyła się cichutko na łożu i przywołała go do siebie. Gorące miała dzisiaj wargi Dalila, pił je chciwie.

— Powiadasz o sile mej — mówił, dysząc ciężko — nie jestem-że w tej chwili, jako dziecię na łonie matki? O, niewiasty, niewiasty, dając żywot, przecz pogrążacie nas w śmierci?

— Zaśnij, Samsonie — mówiła Dalila — odpocznij, znużony jesteś, stopy twoje poranione od kamieni.

Ucichł. Nasłuchiwała. Olbrzymia jego pierś poruszała się i opadała jak fala w czasie odpływu.

Dalila cichaczem wyszła do komory i za chwilę przyniosła wicie, a poczem związała go. I w sercu jej zapanowała radość: odbierze siłę nadludzką kochankowi, stanie się podobny innym, wszystek będzie jej. Ale nagle Samson poruszył się.

— Oszukałeś mnie, Samsoniel — zawołała.

*

Olbrzym zrozumiał podstęp dziewczyny.

— Dla Boga — mówił, wybuchając śmiechem, aż zadrżał pułap — chciałabyś, ażebym nie przerwał wici? Lubię żarty, bowiem świat bez śmiechu zamarłby jak bez słońca.

— Samsonie, źle czynisz, nie chcąc wyjawiać tajni. Nie mogę miłować męża, który może zachwiać góry i podważyć niebiosy.

— To prawda — odpowiedział — wy, niewiasty, lubicie jeno małże, pełzające po ziemi. Dobrze więc. Przynieś powrozy, których nikt jeszcze nie tknął. Tedy osłabieję, i będę jako inny człowiek.

Dalila wyszła do przyległej izby i wydała rozkaz Seirze.

Jakoż za chwilę weszła z powrozem do łóżnicy. Samson leżał na kobiercu i śmiał się jak dziecko. Dalili nie było do śmiechu. W jej mózgu wirowała myśl: uwolni kraj od wroga i uczyni z Samsona powolnego kochanka.

A Samson, widząc jej twarz zasępioną, tem więcej swawolił! Więc, ułożywszy się na posłaniu, prawił:

— Wiąż mnie, dziewczeczko, z całej siły, czuję jak mnie opada moc.

A ona mówiła w zachwycie:

— Pan mój legł u stóp moich, jak zwyciężony lew. O, wesel się serce moje! Już nie będzie rozwał ścian mojego domu, a stanie się cichy i łagodny jak ptaszę. I nie będzie żałował swej powolności, bowiem Dalila nagrodzi jego dobroć.

— Czem to nagrodzisz mnie, gołębico?

— Słyszysz, mam ja skarby ukryte, a będę miała pięćkroć srebrników. Uciekniemy z Gazzy i będziemy żyli w mieście Dohr...

— Za twoje plugawe srebrniki? — zerwał się oburzony.

— Znowu mnie oszukałeś — zawołała z wściekłością Dalila — precz z mojego domu! Dopóki nie ulegniesz, nie chcę cię widzieć.

Wstał, narzucił skórę tygrysią, ujął torbę i wyszedł bez słowa.

Na ulicy obstał go tłum.

— Samson, Samson, pojmać go!

Najbliżej stojący natarł na olbrzyma, ale on jeno odetchnął, a oni odpadli, jako rój dzikich pszczół, i nikt już nie śmiał go zaczepić. Szedł tedy w stronę gór, gdzie miał pieczarę wykutą w skale. Jego ciało drgało gniewem: gore temu miastu! A w sercu czuł ból i smutek. Słowa Dalili przeszły go ogniem, jak ogniem paliły jej pocałunki.

Tuż u wejścia do groty oczekiwał Samsona wysłaniec z pokolenia Dan.

— Tak więc spełniasz rozkaz — gromił — dany ojcu twemu Manue? Miast walczyć, tracisz siły z nieładnicą. Biada ci!

Samson rozgorzał gniewem:

— Odejdź w spokoju, Belocie — rzekł — sprawy silnych są sprawami ich żywota, a maluczcy nigdy nie dowidzą ich dna. Powiedz w plemienu Dan, że siły moje są ich, ale serce należy do mnie.

I on, który przyobiecał był sobie, że nigdy nie powróci do Dalili, zapragnął ją zobaczyć natychmiast.

...Bowiem człowiek, któremu szczęścia zakazują — rozwali własny dom, połamie gonty i ucieknie w pustynię, chociaż czeka go tam śmierć...

.

Biegała po izbie jak szalona. Rozerwała sznury pereł, które ofiarował jej książę i deptała w rozpacz. Podarła karmazyny, wiszące na ścianie, wyrzuciła z misy drogie kamienie.

— Seiro, on nie wróci!

Dziewczyna starała się ją uspokoić:

— Tem ci lepiej, zabrał nam spokój.

— Chcę go — zawołała Dalila — słyszysz? Sprowadź go, albo zabij mnie.

Seira machnęła ręką i wyszła. Najlepiej zawczasu opuścić tę dziewczkę i pójść na służbę do miłośnicy Efry, która jest młodsza i piękniejsza.

A ona wiła się, gryzła kobierce, kaleczyła piersi. Od czterech dni nie przyjmowała książąt, a oni grozili, że spalą jej dom.

Tak w męce przebyła noc, piątą od dnia rozłąki, gdy nagle przed samym świtem usłyszała kołatkę. I nagle zerwała się, poczęła zbierać perły rozerwane, kamienie rozrzucone i przyozdabiać ściany, z których zerwała była szkarłaty. A potem niedbale rzuciła się na łożo i czekała. Czekala.

W progu ukazała się rozespana Seira.

— Oto przyszedł Samson — rzekła — pokorny jak pies.

— Powiedz mu, że śpię, że nie kazałam się budzić... Nie, czekaj. Powiedz, że go chcę, ale na krótko... do wschodu słońca...

— A wyjdzie przed zachodem — mruknęła dziewczyna.

Za chwilę wszedł Samson. Stąpał cicho, oczy miał spuszczone i wielką bladość na obliczu. Dalila leżała nieruchomo.

— Dalilo, otom jest — wyszeptał.

Milczała.

— Dalilo, przebac, zatęskniło serce moje.

— Mniemałam, żeś wywędrował z Gazzy — rzekła obojętnie.

A on przypadł do łoża i jednym tchem mówił:

— Silniejsza miłość, która mnie zmogła. Czemu Bóg, tworząc olbrzymy, daje im serca karłów? Czuję, że nie dokonam wielkich rzeczy.

— Luby, będziesz mały i mój. Naco ci siła olbrzyma? zgub ją, a będziesz szczęśliwy.

Poczem objęła go i przytuliła do siebie.

— Dalilo, mała zwodnico... — szeptał olbrzym.

— Samsonie, mocny lwie i słaby jelonku! Obaczysz, jak będziemy szczęśliwi. Przestanę kochać wszystkich, będę miłowała tylko ciebie.

Samson milczał. Czuł wielki szum w głowie. Odchodziło od niego życie i wszelka radość. Do serca sączyła się szara dnia powszedniość...

A Dalila mówiła dalej:

— Więc spełń wreszcie przyrzeczenie i powiedz, w czym leży twoja siła? A wyrwę ci ją, jak ząb spróchniały, i będziesz zdrowy i silny.

— Posłuchaj, Dalilo — rzekł i zdawało mu się, że zwolna opadają zeń członki — posłuchaj tajni mojego żywota i nie mów słowa, bowiem wielka jest i cudna... Niektóremu starcowi Manue ukazał się Pan i objawił, że urodzi mu się syn, silny jak lew, który wybawi Izraela z niewoli filistyńskiej... Ale, że włosy jego nie mają nigdy widzieć nożyc. Jam jest Samson, syn Manue, i wszystka moja moc we włosach!

Dalila wydała okrzyk radości. Rzuciła się na olbrzyma i poczęła całunkami okrywać jego lwią grzywę. Bawiła się nią, jak dziecko; przesuwiała przez palce jak żemczug. A w sercu jej rozgorzał triumf i upił jak winem.

— Samsonie — mówiła — azali mogłam myśleć, że w twych czarnych kędziorach leży twoja siła? O, wy, czarne jaskółki, zaniechajcie lotu pod niebem i zamieszkaście pod dachem Dalili...

Poczem w szale dzikiej radości wpiła się w usta kochanka i rozgryzła je ostremi zębami. Niechaj napoi go sobą. Wszak zna tysiąc i jedną sztukę kochania Astarty!

Samson odurzony pił, szalał, zasypiał. I zwidziały mu się mury miasta Saara i ujrzał się nagle pacholęciem biegającym po łąkach. I lwa widział srogiego, dotknął go prawą ręką i — upadł. I usłyszał głos Pana wzywający:

— Samsonie, z nasienia Dan, wstań i obal wrogów Izraela!

Zerwał się i powstał, a oto ujrzał na ziemi obcięte kędzierze i — zapłakał nad sobą.

A przed nim stała Dalila, wołając:

— Uderz mnie teraz, lwie, rozerwij pazurem, rozkrwaw mi łono.

Chciał ją schwytać, przydusić do ziemi. Ale zachwiał się i upadł na kobierzec, a Dalila, tańcząc, wołała:

— Oto Samson, najsilniejszy z ludzi, równy bogom, który chciał podważyć obłoki. Oto Samson bez włosów, jak wyleniała kukła, którą bawią się dzieci!

W potoku śmiechu padła na Samsona i zległa przy nim w drgawkach szaleńczych. Zaległa cisza. Milcząc, zmagali się ze sobą. Kobieta była silniejsza.

— Seiro — zawołała i, zataczając się, rozwarła podwoje — popatrz, Seiro.

Ale służebna wybiegła na ulicę i wołała wielkim głosem:

— Dalila zmogła Samsona!!!

Wnet wokół domu nierządnic zebrał się tłum. I naraz rozległ się dźwięk trąby. To książęta filistyńscy, niesieni w lektyce, podążali na miejsce, ażeby ów cud zobaczyć...

Dalila usłyszała wrzawę i wyjrzała przez okno. Powitały ją świst i okrzyki. Czego chcą ci ludzie, co oznacza ten tłum i orszak książęcy?

Do izby wszedł Abdon i okrutnem spojrzeniem obrzucił kurtyzanę.

— Masz srebrniki — cisnął jej kiesę.

— Uczyniłam, coś chciał — krzyczała — ale nie dam go zabrać!

Księżę przystąpił do leżącego Samsona.

— Wstań — zaśmiał się — i uderzył go sandałem.

— Samsonie — łkała Dalila — com uczyniła!...

— Wstań, uderz, przewróć ten dom — drwił Abdon — obal cały świat. — Nagle Samson wstał. Olbrzymia jego postać dosięgła pułapu. Tłum cofnął się w przerażeniu, a księżę ukrył się za żołnierzami. Ale Samson patrzył bez ruchu w ciżbę — i szukał Dalili. Zaczem rzekł tak głośno, iż usłyszeli go stojący za tłuszcą:

— Każ wyłupić mi oczy, Filistyńczyku.

— Uprzedziłeś moje myśli — rzekł księżę i dał znak straży.

.

Dalila pozostała sama.

Wszyscy ludzie odbieżeli.

Na kobiercu leżały srebrniki. Wyjrzała oknem. Pies w popłochu uciekał.

Nagle zdało jej się, że padła na nią zaraza, że czarne krosty wystąpiły na twarz — czarne krosty!...

Słuchajcie ludzie z Gazzy! Dalila ma czarne krosty!...

.

Obudziła się w pocie. Zimna jest, umarła. Gdzie Seira, gdzie księżęta?... Czyj to dom?...

Ściany! ściany, puste ściany!

Precz karmazyny, precz sardjusze i topazy! Topaz mieni się jak zachód, rubin — krew...

Wszędzie krew.

Słuchajcie, ludzie z Gazzy. Uczyniłam mord, zabrałam serce lwul...

.

„Kochanku, kochanku mój — aza pasiesz owce u stóp Hebronu? Zaraz tam pobiegnę. Wymoszczę usta różami, zapłakane oczy obetrę słońcem.

„Uciekajcie!

„Mam czarne krosty“.

.

Spotkali się na drodze do Golech, gdzie jest wielkie pole. Wokoło szumią cedry.

Prowadzą Samsona na pole Golech.

Ubrali go w blaszki, nałożyli koronę z głogu.

Idzie Samson, kroczy powoli — idzie wędchem.

Dalilę prowadzi Seira, ciągnie ją — tak przykaszali księżęta.

A mówi:

— Afra górą, ona-ć karmi księżęta piersią z róż. A ty, Dalila, ty pomiot. Masz za chłostę, za odebrany mi naszyjnik!

I pluje jej w twarz. Ale Dalila nie czuje. Bo oto tam — w słońcu, w krwi, w wichrze idzie Samson.

Ach, żeby jej nie wyczuł, stojącej pobok, ukrytej za drzewem mangowem...

A kiedy przechodził, spoglądając pustemi oczodołami w niebo, rzekła Dalila do Seiry:

— Uderz mnie, niech usłyszysz odgłos policzka.

Samson przeszedł obok i uśmiechnął się smutnie.

.

Bardzo piękną świątnicę wzniesli książęta filistyńscy.

Dwanaście słupów kamiennych podtrzymywało stropy. Pod stropami palił się wieczny płomień. Kapłani znosili ofary na palenie, książęta siedzieli na połączonych ławach. Wszystkie twarze zwrócone były na wschód. Stamtąd miał przybyć Samson, wiedziony przez straż więzienną.

Książę Elon był wielce uradowany:

— Toż to będzie igrzysko. Niechaj nas bawi ten ślepy bawół. Patrzajcie, idzie ta kolumna światła!

Śmiał się tłum dworaków, a niewiasty z lubością przyglądały się obnażonemu torsowi olbrzyma.

— Oto Dalila — rzekła Afra, wspierając się na księciu — miałeś-że ty oczy, panie mój?

A kiedy przywiedli Samsona do książąt, stanął i puste oczy wzniosł do słońca.

Słuchał.

Rozdęte nozdrza chwytaly powietrze. Oddaloną ambregaję, swąd palonych koźląt, zapach kobiecych ciał. Poślizgnął się i omal nie upadł. Świątница wybuchła śmiechem. Ach, jak pachną różel...

A Dalila myślała:

— Gdyby nie dżuma, kochałby mnie. Gdyby nie pies wściekły, który przeleciał drogę, byłby mój.

— Zatańcz — rozkazał nagle książę.

Samson stał, pobrzękując łańcuchami.

— Zatańcz — powtórzył dozorca.

Wypreżył pierś, i zagrała jak dawniej krwią. Chciał zrzucić łańcuchy, ale one jęknęły. Stojący pobok setnik uderzył go — i o, hańbo! Samson rozpoczął płasy.

Tłum oniemiał, ozwało się łkanie kobiety.

A książę wołał:

— O hej, Samsonie z plemienia Dan, najsilniejszy z ludzi, najpociesznieszy z wesołków — zabaw nas!

Samson zatrząsł się i ryknął głosem niehumanym. Stojący w pobliżu uciekli. Gdzieś z odległej pustyni odpowiedział ryk lwa.

— A teraz pokaż, co potrafisz. Oto dwanaście słupów podtrzymuje świątynię Dagona. Podważ je, a wrócę ci wolność.

Samson milczał, pochylił głowę, z oczodołów ciekły pasma krwi.

A Elon drwił dalej:

— Nie dla mnie to uczynić, ale — dla Dalili, która żywie tu i oczekuje cudu.

Wonczas oblicze Samsona pobladło i począł trząść się.

I zaczął się modlić:

— O, Boże Abrahama, Izaaka — Boże sprawiedliwych, Boże poniżonych — spraw, ażebym odzyskał dawną moc. Na jedną bodaj chwilę!...

A poczem zawołał:

— Adonaj, któryś za grzechy zatopił ród człowieczy, a w swej dobroci niezmierzonej — ocalił korab lichy — pomścij serce moje!...

I nagle pękły ogniwa, zaczęły olbrzymi człowiek naprężył się, podważył świątynię.

I rozległ się trzask wiązań i łomot kamieni. Piorun zapalił.

.

...Tak legł Samson z plemienia Dan.

...Tak legły książęta filistyńscy i lud zgromadzony.

...Tak legła Dalila.

...Tak legła miłość Nadczłowieka.

E S T E R

...Cóż ci, królowo Ester? a co za prośba twoja? Choćbyś też i o połowę królestwa prosiła, tedyć będzie dano...

Księga Estery. V. 3.

„Sądź mnie, o Boże, a ujmij się o sprawę moją; od narodu niemiłosiernego, od człowieka zdradliwego i niezbożnego wyrwij mnie.

„Bo tyś jest Bóg siły mojej. Przecz żeś mnie odrzucił i naród mój wydał w niewolę“.

Tak płakał, tak zawodził stary Hadad, kapłan izraelski, a słuchał go lud, zgromadzony na modłach u Mardocheusza, syna Jaira, z pokolenia Benjamin.

Nagle otwarły się podwoje, i stanęła w nich Hadassa, zwana także Ester, córka stryja Mardocheusza. Jej ogromne zielonkawe oczy spoczęły na Hadadzie z wyrazem bezgranicznego przejęcia.

A on wołał:

— Spraw, o Panie mój, ażeby narodził się zbawca, i lud izraelski wyprowadził z niewoli srogiego Aswerusa.

— Ciszej — wołał głos trwożliwy — król posiada wszędy szpiegi. Kara spadnie na dom Mardocheuszowy.

Nagle stary Hadad z okrzykiem rzucił się na kolana przed Esterą.

— Ty będziesz wybawczynią Izraela, w tobie nadzieja nasza!

Estera cofnęła się i zbladła.

— Cóż ja mogę, Hadadzie, synu Midyjama? Słaba jestem i nierozumna. Tu trza męża, silnego w pięści i mocnego w uścicach.

— Powiadam, w tobie Pan umieścił moc swoją, Ester. Córy izraelskie, pokłon wam, bowiem pośród was jest lwica spokrewniona z gołębiem.

Do pobladłej, trzęsącej się z przerażenia Ester, podszedł Mardocheusz i położył jej rękę na ramieniu:

— Zaprawdę tyś jest opoką naszą.

Zaczem wszyscy starcowie zawołali:

— Święto w Izraelu. Przez Ester lud będzie wyzwolony.

— Jakże się to stanie — pytała dziewczyna, co może sarna, gdy lew nie podola? Tkałam ci płótno i wiałam wianki, wianki z polnej stokroci...

Nagle przy wejściu uczyniła się wrzawa.

— Ludzie Hamana!

Żydzi poczęli cisnąć się do ukrytego wyjścia. Niebawem w izbie zostali: Ester i Mardocheusz.

— Co to było? — pytała dziewczyna — czy prawdą jest wróżba Hadada? Nie chcę, nie chcę!

— Tak musi być — rzekł brat jej stryja, który był opiekunem Estery — tak musi być, skoro świątobliwy Hadad tak powiedział. Tak musi być, moja córko, skoro ja tak chcę.

— Ojczel — padła do jego nóg — zostawcie mnie. Tkałam płótno i wiłam wianki....

— Spójrz na siebie, a przejrzyj się w zwierciadle, córo Abichaila. Zali tak piękna, masz swoją urodę chować dla płótna i wianków?

— Boże ludu mojego... co ty zamyślasz, Mardocheuszu? — przestraszyła się. Ale stary człowiek nie odpowiadał. Pochylony, modlił się. Po trzykroć podnosił głowę i pochylał ją.

— Lud Izraela musi żyć. Albowiem wybrany jest i nieśmiertelny...

— Otworzyć!

Do izby wszedł uzbrojony żołnierz medyjski:

— Jakie tu było zgromadzenie?

— Lud Izraela zebrał się na modły, setniku.

— Szukam Mardocheusza.

— Jam jest — rzekł, pochylając głowę starzec.

— I córę jego Hadassę, zwaną także Ester.

— Oto ona. Ale czego od nas chcecie, setniku?

— Pan mój i wódz, Haman, wytłumaczy ci to.

Za mną.

Poszli bez szemrania. Mardocheusz rozumiał, że niema ratunku. Chodziło mu tylko o Ester, która jak powiedział Hadad, naznaczona jest na zbawczynię.

W sali, wspartej na pięciobarwnych kolumnach, przyjął ich Haman. Był to Agagejczyk w leciech czterdziestych, okazały i pyszny.

— Mardocheuszu — rzekł — w twoim domu odbywają się narady, wrogie mojemu władcy Aswerusowi. Skazany jesteś na śmierć.

— Panie, weź raczej moje życie — zawołała Ester, zaślaniając opiekuna.

Haman patrzył na dziewczynę szaremi oczyma, w których zapalił się ogień.

— Na Anachite! piękna jesteś, żydówko, wolej cię żywą, niżeli umarłą.

I zbliżył się do niej. Ale Ester nagle uczuła w sobie moc królewską.

— Ani kroku — zawołała — bo oto tym nożem pozbawię się życia.

— Lwica! — zawołał Haman — mów, czego chcesz; nie odmawiam mężnym.

— Puść nas swobodnie — rzekła Ester. — Nie czynimy zła twojemu panu. Modlimy się.

— Komu? — spytał Haman.

— Bogu Izraela.

Wódz roześmiał się.

— Niedługi jego żywot, i modły wasze nie na wiele się zdadzą.

— Hamanie, nasz Bóg jest nieśmiertelny — zawołał Mardocheusz.

— Milcz, starcze. Nieśmiertelnemi są jeno miłość i nienawiść. Wszelako puszczam was. Ten raz ostatni.

Poczem zbliżył się do Ester i rzekł:

— Piękną jesteś i mniemam, że się spotkamy.

— Tak, spotkamy się — powtórzyła dziwnym głosem.

I wyszli.

A wówczas Haman zaklaskał w ręce i rzekł do przybyłego setnika:

— Śledźcie ich. A dziewczkę sprowadzić na każdy mój rozkaz.

— Tak się stanie — odpowiedział Medyczyk. — Lecz oto Aswerus, król nasz miłościwy, przysłał po ciebie, albowiem uczta jest dana dla książąt perskich i medyjskich.

— Dobrze. A tym żydom, którzy czekają u wyjścia, każ iść precz. A jeżeli nie zechcą, poszczuj ich psami.

— Słucham cię, panie.

A wsiadając na wspaniałego rumaka, mówił do siebie Haman:

— Na niebieskie źródło Ardwisury! kiedy nareszcie w tym kraju wyżenę wszystkich lud żydowski!

.

Aswerus siedział na złotem krześle, a pobok książęta perscy i medycyści. Potrafił ich pogodzić, więc zaniechali z sobą walk. Drżeli przed nim, królował bowiem od Judei po Etjopję, a władał nad stem i dwudziestą i siedmią krain.

W oczach miał błysk pioruna, a barki potężne. W rękach trzymał złotą buławę. Nie śmiał się nigdy, a jeno mówił cicho, a tak dobitnie, że żołnierze słyszeli go w ostatnich szeregach. Kiedy ułaskawiał, pochylał głowę na lewe ramię, kiedy skazywał na śmierć — na prawe. Miał pięćset nałożnic, a żadnej nie kochał. Małżonkę prawą, królowę Vasthi, smagał

w chwilach rozkoszy, bowiem była zimna jak śnieg, a w nim — gorzał ogień. Pił tylko ze złotych dzbanów i jadał ze złotych mis.

Właśnie stary Med kończył opowieść o Ahuramaǳdzie, sześciu aniołach Aniszaszpantach i genjuszach Ized, co je żydowie nazywają Elohim — gdy wszedł Haman. Szerokim gestem powitał Aswerus swojego ulubieńca.

I kazał mu siadać przy sobie. A poczem znużony opowieścią Meda, zaklaskał w ręce i polecił przywołać dziewczyny lidyjskie.

Jakoż wtargnęły na salę z wielkim krzykiem, i przy dźwiękach bębenków, zwanych tof, zaczęły płaśy. Wnet zajęczały kinory i nebhele, a odpowiedział im tęskliwie flet. Książęta perskie i medyjskie spoglądali łakomie na dziewczęta. Ale król Aswerus czekał na koniec uczt, a obdzielał kobietami — sam. Czy aby zasłużyli na nie książęta? A dziesięcinę czy wypłacili? Ile to talentów wniesli do skarbca?

Pochylony nad królem doradca, Mehuman, szepotał mu na ucho wszelkie o nich wieści. Aswerus uśmiechał się, gdy nagle zawołał:

— Hej, Sesak, wiadomo mi, knujesz zdradę przeciw mnie?...

— Mylisz się, królu królów.

— Hamanie, każ sprawdzić, czy kruk wydziobie mu prawe, czy lewe oko? Jeżeli prawe, dostanie się do raju...

Haman skinął na łuczników i wyprowadzono Sesaka tak nagle, że nikt tego nie zauważył. Tylko

pobok siedzący pobladli z przerażenia. A król Aswerus kazał dalej tańczyć i wino lać, i giąć złote kieli chy, ażeby nikt nie śmiał po nim ich używać.

— Słuchajcie — odezwał się po chwili — a oto pragnę wam pokazać cudniejszą od najcudniejszych, a tak piękną, że oniemieją wasze ślepie. A oblicze ma jak wzgórze, oblane słońca zachodem, a oczy jak bogini Anahita. Wszystka jest urodziwa i władna.

— Kto ona? — pytali ciekawie książęta perscy i medyjscy.

Aswerus dał znak, żeby przepędzić Lidyjki. Pozostały po nich jeno wianki z fiołków i zapach ciał namaszczonych różami.

— To królowa Vasthi — rzekł, zataczając się, albowiem wino uderzyło mu do głowy — małżonka moja.

Książęta spojrzeli po sobie zdumieni. Ale Hegaj, stróż białych głów, już otrzymał rozkaz królewski i znikł za kotarą.

Upłynęła dłuższa chwila, a Hegaj nie wracał, i królowa Vasthi nie ukazywała się. Aswerus ją się niecierpliwić. Jakże to... ta Egipcjanka, o twarzy bogini a sercu sfinksa, wzgardzona i uwielbiana, śmie odwlekać? Więc znów każe osmagać jej ciało podobne anemonom, rosnącym w ogrodach królewskich!

Już i goście zaczynają szemrać, bowiem zapowiedź króla wzburzyła w nich krew, nasyconą winem. I król Aswerus skinął na drugiego stróża białych głów, znanego z okrucieństwa, Saasgazę.

Nareszcie zjawili się obydwaj i stanęli przed władcą z pobladłemi twarzami:

— Królowa Vasthi, najcudniejsza z cudnych, której ciało ma barwę jutrzni, a głos śpiewniejszy od dźwięków chalili...

— Prędeż — przerwał niecierpliwie Aswerus — więc królowa Vasthi?...

— Królowa Vasthi — powtórzył Hegaj a potakiwał mu milcząco Saazgaza — królowa Vasthi pokłon ci bije, królu królów, ale rzec kazała, że nie przyjdzie, albowiem jej ciało podziwiać mogą: tylko ty i bogowie.

Aswerus porwał się ze złotego krzesła. Wszystka krew nabiegła mu do skroni.

— Królowa Vasthi — rzekł zdławionym głosem — śnać zaniemogła i przyjść nie może.

Pomruk śmiechu był odpowiedzią, wzdry domyślali się przyczyny. Prostu odmówiła, albowiem przed gniewem niewiasty ustępują nawet tyrani.

Aswerus spojrzał na gości i dał znak, że uczta skończona.

A kiedy opuścili komnatę, przywołał sędziów królewskich.

— Jak ukarać Vasthi za srom wyrządzony królowi?

Sąd myślał. Toć chodziło o dumną Vasthi, najpiękniejszą z pięknych, o królowę...

— Odsunąć od trzydziestu nocy — zawyrokował Setar.

— Zbyt łagodnie — rzekł Aswerus.

— Odebrać klejnoty — doradzał Admet.

— Zbyt łagodnie — uderzył w hebanowy stół Aswerus. — Odmowa królowej ozwie się echem w całym państwie. Zali chcecie, ażeby wola męża nad niewiastą zmalala jak morze w czas odpływu?

— Wypędzić — orzekł milczący Charsen.

— Oto słuszny wyrok — zawołał Aswerus. — Hamanie, spełnij mój rozkaz.

I tej jeszcze nocy najpiękniejsza z pięknych, królowa Vasthi, z tobołami w ręku opuszczała Susan, stolicę swoją. Dwie plwociny eunuchów: Hegaja i Sazgazy, padły pod nogi Vasthi.

I zapłakała dumna królowa.

.

Co czynić?

Sposepniał po onej uczcie król Aswerus. Nie wzrusza go pieśń, nie bawi widok krwi i płacz konającej gazeli; stroni od domu białych głów.

Co czynić? Zamarła radość w Susan, nad głowami ludzkimi zawisła śmierć.

Dobłą chwilę obrał Haman, ażeby wymusić na królu rzeź wszystkich żydów. Zgodzi się chętnie Aswerus, niechaj popłynie krew Izraela jak morze czerwone!

Był poranek, cały w skrach, kiedy Haman wyszedł samotnie za bramy miasta. Lubił tak czasem z niewielą strażą błądzić po okolicy, podpatrzeć, dowiedzieć się, podsłuchać. I stało się, że spotkał Ester.

Szła z służebną, niosąc naręcze kwiatów polnych. Haman zastąpił jej drogę.

— Pozdrawiam cię, piękna Ester. Dokąd po-
dążasz?

— Do miasta — odpowiedziała.

— Zaczekaj i pójdz ze mną. Ważną rzecz ci
powiem.

Zawahała się. Haman ujął ją za rękę i pociągnął
w stronę oliwnego gaju. Setnicy pozostali za nimi
o parę kroków.

— Co masz mi do powiedzenia, panie?

Wówczas Haman począł mówić zdławionym
głosem:

— Udałaś mi się, dziewczyno, z pośród wszyst-
kich cór izraelskich. Tyś jest najpiękniejsza, ciało masz
bieliste jak kolumna z marmuru, a oczy twoje lśnią
barwą morza. Bądź moją, Ester, mogę wszystko, co
zechcę.

Ester wyrwała mu rękę.

— Zali myślisz, panie, że córka izraelska jest do
kupna, byś ją pozbawił wolności?...

— Pyszne twoje słowa, żydówko, ale bacz, do
kogo mówisz.

— Mówię do sługi króla Aswerusa.

Patrzała mu prosto w oczy. Haman spuścił
żrenice.

Wszelako wydała mu się tak cudną, że próbował
dalej.

— Czego więc chcesz za twoje usta znaczone
krwią i błyskające w nich zęby jak sznur pereł?

— Od ciebie, Hamanie — nic, od twojego pana —
wolności dla całego ludu Izraela.

Haman roześmiał się dziko:

— Będzie się pławił twój lud we krwi, a ty sama zapłaczesz pod różgami Saazgazy.

Poczem przywołał żołnierzy, a ponieważ nie przybyli zaraz, spłazował ich mieczem.

I poszedł w stronę Suzan, pozostawiwszy Ester samą. Przez chwilę spoglądała z rozpaczą za odchodzącym; był moment, że pragnęła za nim pobiec, oddać się, ażeby uratować Izraela, ale jakiś głos tajemny powstrzymał ją i nakazał spokojnie wrócić do miasta. O spotkaniu z Hamanem opowiedziała opiekunowi. Zasepił się, a pomyślawszy dłużej, rzekł:

— Nic to. Dobrześ uczyniła, Hadasso. Igrać ze sługą, to grzeszyć przeciw panu. Czekajmy.

I Ester czekała.

A każdy poranek, zda się, zwiastował jej nowinę. Mówiły jej o tem wróżby starego Hadada. I jej serce dumne a pragnące. I sny pełne krwi i miłości. I obudzenia w słodkiem omdleniu.

A tymczasem ubodzy w Izraelu cisnęli się do niej i otaczali kochaniem, bowiem widzieli w niej przyszłą orędowniczkę swych cierpień. A możni spoglądali na Ester ze czcią — i pławiła się w onej dobroci ludzkiej jak kwiat w słońcu.

I przyszłość stała przed nią tajemna i zamknięta. Pragnęła i obawiała się przeniknąć czarną zasłonę. Co się kryje za nią: radość, czy smutek, rozkosz, czy śmierć?

.
.

Aswerus podpisał edykt o rzezi wszystkich żydów od Judei po Etjopję. Ale nie przyniosło mu to ulgi. Więc starszyzna, więc sąd zachodziły w głowę, jakby rozerwać myśl pana. Nic, tylko trzeba mu dziewcząt nowych a pięknych, ażeby zapomniał o niegodnej Vasthi! Małoż ich w Susanie? Trza jeno wyjść o zmierzchu na plac przed studnię: idą smukłe i faliste, z dzbanami wody na ramionach, a oblicza ich płoną jak gwiazdy, a stopy ich białe jak piana morska. Albo przed kramami w czas południa, kiedy perscy kupcy sprzedają wonności z Ekbatan i karmazyny dwakroć farbowane! Toć uśmiechają się do tych cudności, a zęby ich błyskają jak kość słoniowa, a wszystkie są żądne i łatwe w miłości.

— Odświeżyć dom białych głów — padło hasło dworaków.

Haman, ulubieniec królewski, podmówiony przez starszyznę, miał tę myśl podsunąć Aswerusowi. A nadarzyła się po temu chwila, kiedy właśnie król, znużony radą, odpoczywał na tarasie, skąd był widok na pustynię. Tą więc drogą żółtą, jak ślepiec gada, stąpa Vasthi, wzgardzona dlatego, że nie chciała obnażyć się przed obcymi. Uchrońcie ją lwy i szakale, uszanujcie dumną niewiastę, albo... albo rozszarpicie serce króla, płaczące z żalu!

— O czem dumas, panie? — spytał Haman, biorąc selselim, na którym lubił brząkać.

— O tej jednej — odpowiedział władca.

— Na chorobę jednej — rzekł Haman — znam lek niezawodny: tysiąc innych — i uderzył przeciągle w struny.

Aswerus zamyślił się, a stary dworak mówił dalej:

— Zali nie uprzykrzył ci się, panie, dom białych głów, z których, jak powiada Hagaj, niektóre stare, po dwadzieścia lat liczące? Małożto młodszych w domach Persów, a Medów, a Żydów. Wszystkie one przybieżą do Aswerusa i okażą wdzięki, których nie widziałeś i nie wiesz, jak smakują.

Tu uśmiechnął się, i głos mu zadrżał tajemnie.

— Znam ci wśród nich jedną, cudną jak sama Mitra, a wdzięczną jak kwiat lilji.

Machnął ręką Aswerus, wszelako pomyślał chwilę i zapytał:

— Jak ją zwą?

— Ester.

— Żydówka? Zbyt łatwe w kochaniu.

— Ta-ć inna — zachwycił się Haman — lud przed nią klęka, wyniosła jak palma, łaskawa jak gazela. A wszystka w sobie tajemna i nieodgadniona.

— Znasz ją? — spytał podejrzliwie król i brwi zmarszczył.

— Co mnie do dziewcząt — zaśmiał się dworak — moja Zeres wypaliłaby mi oczy z zazdrości.

Na tem skończyli rozmowę, aliści rozciekawiony Aswerus w parę dni potem nakazał połów dziewcząt ze znacznych rodów w Susanie, myśląc wszelako o „tajemnej i nieodgadnionej“.

I dnia pewnego Ester, zwana Hadassą, z dumnego plemienia Benjamin, córka Abihaila, wstąpiła w progi królewskie...

.

Wszelako nie dozwolono jej wejść odrazu do łożnicy władcy.

Musiała dokonać aktu obmywania i namaszczenia w domu białych głów, w których sprawowali rządy: głupkowaty Hegaj i okrutny Saasgaza. Z polecenia Hamana miała być zamknięta w domu narówni z wszystkimi dziewczcami — i czekać swojej kolejki.

A tymczasem Aswerusa każdej nocy odwiedzała inna, a on oczekiwał wciąż „tamtej“. Więc była Seila i Aryda, i Sabachein, i Melila. Wszystkie przychodziły w bieli, drżące i trwożne, i na rozkaz władcy zrzucały simluchy. A on spoglądał na ich ciała białe i prężne, na grudy piersi dziewczęce a władne, i brał je, albo też przywoływał Hegaję, co oznaczało, że niegodne są królewskiej pieśczoły. I wychodziły z łożnicy pana, bądź obdarzane sardjuszami i topazami, bądź wstydne i zapłakane. Lecz Aswerus nie znajdował rozkoszy, bowiem szukał wciąż „tamtej“, a tysiąc Hamanowe drażniło jeno ciało, lecz nie zaspokajało ciekawości.

Pewnego wieczora, a było to po żmudnym dniu sądów, siedział w komnacie przyległej do łożnicy i, znużony, myślał, że oto rozpocznie się korowód ciał.

Ukryty za zasłoną młody meł, obdarzony cudnym głosem, nucił pieśń zasłyszana w ojczyźnie:

O, niechaj zginie Angra Maingu,
i niech powstanie słoneczna Mithra,
wszystkie ciemności niechaj zagina
i wszystkie bóle niech się rozpląną,
o niechaj zginie Angra Maingu...

Aswerus oparł głowę na dłoni i zamyślił się. Czem jest rozkosz, czem szczęście, czem życie? Toć zgłębił święte księgi Awesty i nie znalazł na to odpowiedzi; zaznał rozkoszy wszelakiej, i nie zaspokoila jego tęsknot; pławił się we krwi i nie był wykąpany. Więc życie nie może dać zadowolenia, więc szczęście leży poza życiem?

Nagle bieg jego myśli przerwał krzyk tuż przy zasłonie, strzeżonej przez dwóch olbrzymich Marafijczyków. Był to krzyk kobiety. Zniecierpliwiony i gniewny uniósł raptownie zasłonę. Tuż przy progu klęczała młoda dziewczyna w stroju kobiet izraelskich, a nad nią stał rzezaniec z podniesioną dłonią.

— Precz! — zawołał król i uderzeniem podbił rękę.

— Królu królów, słońce słońc — skarżył się Saasgaza — ta żydówka nie chciała się obnażyć i śmie przed twoje oczy stanąć w takim stroju!

— Pójdź ze mną — rzekł król.

Saasgaza padł na twarz; kobieta, szarpnięta silną dłonią, przestąpiła próg komnaty.

— Ktoś ty? — spytał Aswerus, spoglądając ze zdumieniem na cudne oblicze dziewczyny.

— Jam Ester, córka Abihaila.

— Tyś Ester? — powtórzył król — tyś z Izraela, który śmie knować przeciwko królowi?

— Lud mój cichy i pokorny w Panu, twoje zaś wieści, królu, od Hamana, zwierza nieczystego, błędne i mściwe.

— Jakżeś to rzekła? — zaśmiał się król. — Haman, zwierz nieczysty? Tego nikt nie śmiał powiedzieć.

— Jam z rodu Benjamin — odpowiedziała, podnosząc głowę — rodu królewskiego, który nie zna trwogi.

— To śmiało — mruknął Aswerus.

Nagle powstał i groźnie spojrzał na Ester:

— Czemuś nie zdjęła szat, wiedząc, że masz stanąć w łóżnicy królewskiej?

— Bom nie z tych, którym płacą złotem i sáfirem.

— Więc czyja będziesz?

— Kogo pokocha moje serce.

Aswerus zdumiał się. I naraz on, który dotąd posiadał żądne i nierządne, zapytał cichym głosem:

— A mnie pokochasz, Ester?

— Tyś jest piękny jak noc i sprawiedliwe twoje serce. Ty szukasz prawdy i ja szukam. Więc może odnajdziemy ją w sobie?

— Ester.

Przygarnął ją i objął ramieniem.

Z za kotary dochodził smutny pojęk nebhalu, złote muszki brzęczały za oknem, cała komnata tonęła w purpurze.

— Ester — szeptał król — aza tyś jest oną tajemną, za którą tęskniło serce moje, przy uczcie, w łożu, czy czasu bitwy? Aza twoje to oczy zwidziały mi się w on dzień radości i smutku?

— Tak, panie, bowiem myślałam o tobie w długie dni, pochylona przy krośnie, bądź zrywająca kwiaty, bądź wpatrzona w gwiazdy.

— Więc mogą te same myśli nawiedzać dwa serca dalekie i nieznane?

— Tak, panie, bowiem myśli sprawiedliwych są jak gołębie, latają pospołu i kąpią się w jednym słońcu.

— Ester, powiedz, czego pragniesz? Mam ci kufy jaspisów, a chryzolitów, a karbunkułów pełne skarbce, nie brak rubinów krwawych jak płomienie. Mogę-ć kością słoniową wymościć twe łoże, a wbić w nie ćwieki ze szczerego złota.

— Niczego nie pragnę, królu.

I nagle padłszy do jego stóp, zaczęła mówić:

— Za jaspis, za chryzolit, za karbunkuł kupisz jeno łyzy, ale nie nabędziesz serca. Nie chcę, nie chcę, panie, twoich skarbów! Królu, obroń mój naród, cofnij edykt dany Hamanowi. Za serce — serce, a za krew — krew!

Stała w gorze słońca, król patrzył w nią i nie mógł oczu oderwać. To nie słaba dziewczka, w której serce na wierzchu, a we wnętrzu — gniazdo jaszczurcze. Tać będzie panią królestwa mojego. I niechaj zawali się Susan!...

Już zbliżył się do Ester, ażeby zanieść ją na łożo. Co tam Izrael, niechaj żyją te psy nieczyste, skoro to ucieszy Ester!

Ale ona dobyła ukrytego noża i przyłożyła ostrze do piersi.

— Królu, za serce — serce, a za krew — krew.
A na to rzekł Aswerus:
— Za twoją krew — serce.
I oddała mu się jak lwica.

.
.

Popłynęły im dni w kochaniu, niby pieśń. Aswerus zaniechał gościny w domu białych głów. Ester wypełniła mu życie. Ester umiała go zjednać, rozbudzić w nim miłość i zazdrość, oślepić łuną żaru i zaczadzić dymem pożądania. Aliści, kąpiąc się w rozkoszy, ani na chwilę nie zapomniwała o Izraelu. Potajemne widzenia z Mardocheuszem pobudzały ją do czynu: odwrócić zagładę od ludu wybranego. I, udając miłość, wspomagając ubogich, myślała o zemście.

Bywało, siadywała na ganku i, rozczesawszy swoje krucze włosy, czekała na powrót króla. U stóp jej klęczał młody mag i śpiewał pieśń o bogini Mithra. A kiedy Aswerus, zmęczony rządem i radą, powracał do pałacu, wybiegała na stopnie ganku i wiodła go za sobą.

I siadając u stóp pana, mówiła:

— O, jakże długo czekałam na ciebie, królewski kochanku. Czas południa wydał mi się świtem, i nie mogłam uprosić słońca o szybszy bieg. Wszystkie kwiaty twojego ogrodu straciły zapachy i nie zdołała je orzeźwić rosa moich źrenic. Albowiem płaczą oczy Ester, kiedy nie widzą lwa ze złotą buławą,

i — zaprawdę! — uschną moje piersi z tęsknoty, a usta stracą barwę granatu...

A tegoż wieczora, kiedy w przebraniu Medyjki spotkała się za bramą miejską z Mardocheuszem, szeptała mu na ucho:

— Trujący oddech Aswerusa ogarnia mnie całą, i brzydzę się własnego ciała. Ten barbarzyńca godzinami modli się do księżyca, do wód płynących i do ognia. On wierzy w bożka dobra Ahuramazda i w bałwana zła Angra Maingu. Obawiam się, że grom Jehowy spali mnie za mój grzech.

— Ester — pocieszał ją Mardocheusz — nasz Bóg jest jeden, a mądrość Jego jest mądrością całego świata. On stąpa po gnoiskach, ażeby potem wyrosły nań żyzne kłosa. Bóg Izraela nie gniewa się na ludzi, którzy przez morze krwi idą do słońca. Ester, bądź żydówką. Całuj, pieść, a myśl o krzywdzieli...

Pewnego razu na przechadzce, w ogrodach królewskich, spotkała się oko w oko z Hamanem. Ugiąwszy karku, czekał, aż przejdzie. Ale ona rozmyślnie szła powoli, a mijając go, rzekła:

— Owo, Hamanie, dotrzymałam przyrzeczenia: spotkaliśmy się.

A on odpowiedział:

— Jam doniósł królowi o tobie, Ester. I rad będę zbierać owoc wdzięczności.

— Jam wszystka wdzięczna — odpowiedziała Ester.

I poszła dalej, dzwoniąc złotemi obrączkami, które nosiła na stopach.

Haman, pełen wściekłości, pobiegł na plac przed pałacem i kazał rozpędzić żydów, gromadzących się co dnia po jałmużnę. A natrafiwszy na Mardocheusza, który, przebrany za żebraka, śledził wchodzących i wychodzących, popchnął go i uderzył w piersi. A kiedy starzec upadł, wezwał żołdaka i kazał go wypędzić poza bramę. Nagle, spojrzawszy żebrakowi w twarz, poznał Mardocheusza.

— Tyś to, psie nieczysty, klękaj i proś o łaskę.

— Kłaniam się Jehowie — odpowiedział Mardocheusz — a proszę o łaskę króla.

— Powiesić go — zawołał Haman i, spojrzawszy w stronę ogrodów, mruknął:

— Policzymy się, żydówko.

.

Tego wieczora Ester wyprawiła ucztę. Było to jej pierwsze wystąpienie, od kiedy została żoną królewską. Asverus kazał je urządzić hucznie, więc nie żałowano napitków i jadła. Najdroższe wina z Chalybonu, wyszukane potrawy, miękkie kobierce znosili niewolnicy do jej komnat.

Estera od rana przystrajała się w coraz inne szaty, służebne kwęfiły jej kędziory, namaszczały piersi, zmieniały agile, barwiły paznogie.

I kiedy piękna, jak bogini, przeglądała się w złocistych zwierciadłach, zaufana Helila dała jej znać o wyroku na Mardocheusza.

I rozprysły się perły rzucone na kobierzec, i zerwały się szaty!

A wówczas naga, zionąca nienawiścią, zawołała:

— Adonaj, bądź mi bogiem zemsty!

Medyjskie dziewczęta nie rozumiały narzecza Estery. Więc zwróciwszy się do jednej z nich z uśmiechem, rzekła:

— Brzydkie te szaty, niegodne królowej.

A poczem do drugiej:

— Poślijcie po Hamana, ażeby stawiał się na ucztę.

Zdumiona Helila spojrzała w oczy pani, a ona zanuciła starą pieśń:

...O, piorunie z góry Synaj,
o piorunie, który dawasz śmierć,
o piorunie, który dawasz życie,
i światu nowe prawa...

.

Aswerus przybył na ucztę w złocistej szacie króla królów. I wiódł za sobą kapłanów — atrawan z zasłonami na ustach, zwanemi pitidan, oraz sąd królewski. Za królem kroczyli muzykanci i uderzali w tofy.

U wejścia stała Ester, a zobaczywszy króla, upadła na kolana. A kiedy podniósł ją łaskawie, witała cały orszak z uśmiechem na ustach — tak piękna, że nawet atrawani kiwali z podziwem głowami.

Aswerus, idąc, rozmawiał z najwyższym kapłanem, którego posadził przy sobie. Naprzeciw zasiadła Ester, mając przy boku puste miejsce.

Naraz u drzwi uczynił się zgiełk: wszedł Haman, stanął przed królem i uderzył czołem o posadzkę. Ester wskazała mu puste miejsce.

A owo rozpoczęła się uczta. Medycyzy, przybrani w białe szaty, podawali szczerozłote misy z drobiem i zwierzyną, a za nimi czarni synowie Etjopji nieśli dzbany z winem.

Książęta medycyzy i perscy rzucili się łakomie na strawę. Aswerus jadł mało, a spoglądając na komnatę kapiącą od złota, myślał: „Ta żydówka potrafi wystąpić“. Tymczasem grajkowie uderzyli w bambiry *).

Opasły książę Karallji pochylił się do księcia Warni i spytał go głośno:

— Będą tancerki?

Usłyszała to Ester i rzekła:

— Nie będzie kobiet.

Król roześmiał się:

— Małoż wam jednej?

— Zaiste, cud czyni Ester — odezwał się książę Sagarti, który ponoć układał wiersze — ale do róży wonnej potrzeba innych kwiatów, wonczas wyda się królową...

Książęta roześmieli się. Dla nich kobiety potrzebne były jeno w haremach. Przy uczcie burzyły krew. Dość było tu mięsiwa, ażeby życie wydało się rajem. Kazali napełniać misy, dolewać wina. A potem

*) Instrument strunowy, na którym grano smyczkiem; zw. *plectron*.

kłócili się, spluwali na posadzkę z bazaltu i patrzali z pokorą w oczy królowi, zali nie każe ich przepędzić.

Pomimo wypitych czar wina, zdawało się, jakoby odgłos burzy szedł z za otwartych okien. Daremnie karzeł z Frygji zabawiał gości skakaniem z amforą pełną wina, daremnie księżę Sagarti silił się na rymy.

Nagle zaczęli nasłuchiwać. Z dziedzińca dochodził huk przybijanych pali.

I na tę czeredę, w sali błyszczącej od złota i drogich kamieni, na onych książąt, w których rękach spoczywały losy ludów — padł strach. Jak kiedy po uczcie bogaczy spłynie na nich sen dosytu i upojenia, a nagle z cieni i zakamarków zerwą się stada sępów, i obsiądą ich łoża, a koszmar sądu-sądów zamajaczy w otęczy gwiazd, i wówczas zbladną ich lica i ożywią sumienia — tak w onej chwili na biesiadników Estery powiało śmiercią. A ona utkwiała oczy w Hamanie i milczała.

Wówczas — ów drugi mąż po królu — który miał władzę nad wszystką krainą Aswerusa — zadrżał.

Nagle król zapytał:

— Dla kogo to, Hamanie, wbijają pale szubienicy?

— Dla zdrajcy niegodnego — odpowiedział Agagejczyk.

— Dobrze czynisz — rzuciła Ester, patrząc mu bystro w oczy — za zdradę króla należy się śmierć.

Poczem podsunęła mu złotą misę z owocami:

— Popróbuj, Hamanie, jak smakuja czerwone granaty — a kiedy napoczał owoc, posoka jak krople krwi spadła mu na palce.

A tymczasem stuk przybijanych pali stał się głośniejszy, i siedzący pobok króla starszy kapłan szepnął mu na ucho, ażeby kazał zawrzeć okna.

Lecz Aswerus odmówił i, spojrzawszy groźnie na biesiadników, rzekł:

— Dobrze jest, kiedy w czas uczty krąży nad gośćmi duch Angra Maingu i przypomina ludziom o śmierci. Inaczej za dużoby żarli i wypili. Tyś pobladł, Bigtanie? Jeżeli sumienie masz czyste, usłyszysz w stuku szubienicy słodki poszum źródeł Ardwisury. Otwórzcie okna naścieżaj, a wy pijcie i zabawiajcie się.

Tu skinął na grajków, i zajęczały bambiry, a odpowiedziały im jazgotem kinory. Z umieszczonej w końcu sali fontanny spływały krople wody. Na niebo wypełzały pierwsze gwiazdy.

Estera dała znak Etjopom, i do lamp oliwnych nakrzesali iskier. Wnet buchnęły niebieskie płomienie i objęły komnatę bladem światłem. Ze stołów unosiły się opary, na płaszczu króla zamigotały topazjusze.

Uczta szła w nieskończoność... Wszyscy czuli się zmęczeni, i każdy chętnie uciekłby. Ale obawiali się powstać, bowiem Aswerus kazał dolewać chalybonu.

A widząc pobladłe i niespokojne twarze biesiadników, Ester rozkazała dla uciechy przynieść oswojone węże, ażeby figlowały u stóp gości. I za chwilę przy dźwiękach muzyki olbrzymie cielska potworów

podnosiły się i opadały, a oni, siedząc przy sobie skuleni, spoglądali z martwym uśmiechem na te płasy.

— Pij wino, Hamanie — rzekła nagle Ester, pochylając się nad nim — wspomnij słowa króla o czystym sumieniu.

Haman wychylił krużę, roześmiał się i rzekł:

— Królowo Ester, sumienie mam czyste, wždy wino zwala mnie z nóg.

— Czy tylko wino?

— I miłość.

— A topór kata? — spytała Ester.

Zaległo milczenie.

— Pamiętasz on dzień, kiedy wezwałeś mnie i chciałeś skazać na śmierć mojego opiekuna?

— To były żarty — roześmiał się dworak — wszelako ten, którego skazałem na śmierć, żyje, a ty, Ester, jesteś królową.

— Pamiętasz on dzień, kiedy spotkałeś mnie za murami miasta?

— Pamiętam, i byłbym oddał swoją głowę za jeden twój uśmiech.

Węże, oczarowane dźwiękami bambirów, wpadły w szal. Cielska ich wstrząsały dreszcze, ślepia błyskały żółtymi ognikami.

— Śmieją się do ciebie, Hamanie — rzekła Ester i, pochyliwszy się, szepnęła:

— Po uczcie czekaj mnie w komnacie porfirowej...

Haman pobladł. Z nadmiernego wzruszenia rozszerzyły mu się źrenice.

A Ester zwróciła się do książąt:

— Słyszcie! za ścianami mojego pałacu szemrze ślaw, płyną po nim łabędzie, róże rozwarły kielichy i słuchają śpiewu słowika. Za ścianami mojego pałacu, w cieniu palm, czekają was najpiękniejsze dziewczęta Ekbatanu. Tęsknią i płaczą jak pawie...

Uczyli się wrzawa. Poskramiacze węzów rzucili się pierwsi i smętnymi tonami zaczęli wabić węże do kojców, za tłumem wysunęli się księżęta. W komnacie zaległa nagle cisza.

— Nie żadnej kobiety? — zapytał król Hamana.

— Żadnej jestem kobiety, ale ona szydzi ze mnie.

— Której? — spytał król, a nie otrzymawszy odpowiedzi, rzekł sennym głosem:

— Wszystkie one mają nas za głupców. Przypomina to maskary, za którymi kryje się prawdziwe oblicze. Dolej mi wina, Ester.

Ujęła złoty dzban i wypełniła rozkaz.

— Odchodzę — rzekła — i niechaj pan mój spoczywa w spokoju.

— Pragnę cię widzieć w godzinie pierwszych gwiazd — szepnął Aswerus. — Hasło dla straży: lwica.

Odeszła, spoglądając znacząco na Hamana.

— I mnie czas — rzekł po chwili Aswerus, ziewając. — Za dużo jadłem. Bogowie dlatego są bogami, że nie jadają mięsa.

— I dlatego, że kochają tylko siebie — mruknął Haman. — Wesprzyj się na mnie, królu, odprowadzę cię do łóżnicy...

I wyszli z komnaty, chwiejąc się na nogach.

.....

— Ester, Ester!...

Siedziała na łożu, odziana jak na uczcie, w perłach na szyi, owinięta w złotą szatę. Haman klęczał u jej stóp.

— Ester, królowo moja, dumna wieżyco, góro niedostępna!...

Milczała. Wąskie jej usta przeżuwały jakąś myśl.

— Jak noc za księżycem, jak morze za słońcem tęskni za tobą moje serce. Otom u twoich stóp ja, Haman Agagejczyk, i powiadam: miłuję, miłuję...

Milczała. Z za okien dochodziły dzikie śmiechy książąt. Z poza murów słyszać było miarowe wbijanie gwoździ.

— Przemów — zawołał Haman — milczysz jak noc, a twarz twoja blada.

Hadassa wybuchnęła śmiechem.

— Co oznacza twój śmiech?

— Wszakże za mój śmiech przyrzekłeś mi oddać swoją głowę, dotrzymaj przyrzeczenia, Hamanie.

— Oszalałaś?

Nagle otwarły się drzwi, i stanął w nich Aswerus. Ester skłoniła się i rzekła:

— Nie mogłam przyjść do ciebie, królu, a więc ośmieliłam się prosić cię do swojej komnaty.

— Haman tutaj? — spytał Aswerus ze złym blaskiem w oczach.

— Napastuje mnie, panie, nie od dzisiaj.

Zaległa cisza. Słyszać było szelest muszki, która zaplatała się w siatkę pajaka.

— Wyjdź stąd, psie — krzyknął Asverus — zobacz, czy szubienica gotował

Wyszedł, a z za kotary słyhać było jego zachwały głos:

— Strzeż się tej żydówki, królu. W oczach ma niebo, a w ustach — jad skorpjona!

.

W ogrodach Estery zabawiali się książęta. Dziewczyny z Ekbatanu mają ciała smagłe, oczy wydłużone jak migdały i stopy dziecięce. W uszach ich brzęczą duże obręcze złote. Kiedy kryją głowę w ramionach mężczyzny, obręcze nie pozwalają całować ich ust, namaszczonego karminem i różami...

W ogrodach Estery miłość dźwięczy jak krople wody w fontannie i przedostaje się do komnaty porfirowej.

— Królu Asverusie — mówi Ester — całam twoja, wierna i oddana swojemu panu.

— Ester, jakże nagrodzę cię za wierność i oddanie?

— Kochaj mnie, królu.

Więc sięgnął do jej szat i zwolna zrywał złotą tkaninę.

— Mów mi o sobie, Ester, znam jeno twoje usta, a one mówią tylko o miłości.

— Biedna byłam żydówka — zaczęła — przędłam białe płótno i zbierałam na łąkach stokrocie. A chociaż ród mój królewski, cierpieliśmy często głód. Z biednego ludu pochodzę, wszelako wybrany on przez Boga z pośród wszystkich.

— Czemu tak biedny, skoro wybrany? — pytał, całując jej ramiona.

— Bo cierpiał wiele, grzeszył wiele, i Bóg go naznaczył.

— Dziwny twój Bóg, Ester, który znaczy cierpieniem, jakiż on? — pytał dalej, pieszcząc jej małe stopy, błyszczące od rubinów.

— Bóg mój jest jeden, król zastępów, J a h w e
T s a b a o t h l

— Daj mi ust, Ester, wszystko jest niczem wobec miłości. Gdzież jest ten twój Bóg?

I zasnął.

Ale o północy zbudził się, bowiem ustały już krzyki książąt, i była cisza, mówiąca o śmierci.

Król Aswerus bał się ciszy, gdyż co noc nawiedzały go duchy skazanych na śmierć. Jak ćmy latały przy jego łożu, muskały czoło całunkiem lodowym, niosły w sobie odgłosy gwiazd.

— Ester — wyszeptał Aswerus, dotykając zlekka śpiącą — Ester, rozbudź się.

— Precz... nienawidzę go... zatruty jego dech mierzwi moje usta...

— O kim mówisz, umiłowana Ester?

— To ty, panie — krzyknęła — śnił mi się Haman.

— Oddam go pod sąd królewski.

— Nie uczynisz tego — szepnęła Ester.

— Bronisz go?!

— Bez sądu każ go powiesić na szubienicy, którą był postawił przed pałacem królewskim.

Pobladł i zaczął mówić:

— Ty nie wiesz, jak łątno wydaje się wyróki, a jak później trudno zasnąć. Co noc w godzinie pierwszych gwiazd budzę się, Ester, i spać nie mogę.

— Znużon, zaśniesz na mojem łonie, jak dziecię.

— Głosy uśmierconych silniejsze są od bicia twojego serca. Snu, snu! Posłuchaj, kiedy usta kochanki zimne są, wonczas sięgam do ksiąg. Weźmij księgi i czytaj mi, Ester.

Tedy wzięła księgę i zaczęła czytać. A były to kroniki państwa Aswerusowego. Wszystkie dni opisane, dni chwały i klęski.

I oto Ester czytała:

... „a drugiego dnia miesiąca na głowę Aswerusa, króla królów, najemni Agagejczycy gotowali śmierć. I gdyby nie ubogi żyd imieniem Mardocheusz, napadliby na niego, kiedy powracał z obozów“.

— Azali to prawda — zawołał król — kimże jest ów Mardocheusz?

— Tak się zwie mój opiekun, którego Haman chce powiesić.

I opasawszy go ramieniem, poczęła szeptać:

— On to losy rzucał na dzień zguby mojego ludu, a padło na miesiąc Adar. I na mnie nastawał, a obiecał po tobie całe królestwo.

— Na Angra Maingul zawiśnie ten łotr, na szubienicy, którą wybudował dla Mardocheusza. A tego mianuję na miejsce Hamana.

Ester przytuliła się do niego. Czuł jej ciało ciepłe od rozkoszy.

— Pytałeś mnie, panie — szeptała — jak wynagrodzisz mnie za wierność. Zezwol, ażebym sama powiadomiła o wyroku Hamana.

— Dobrze, Ester.

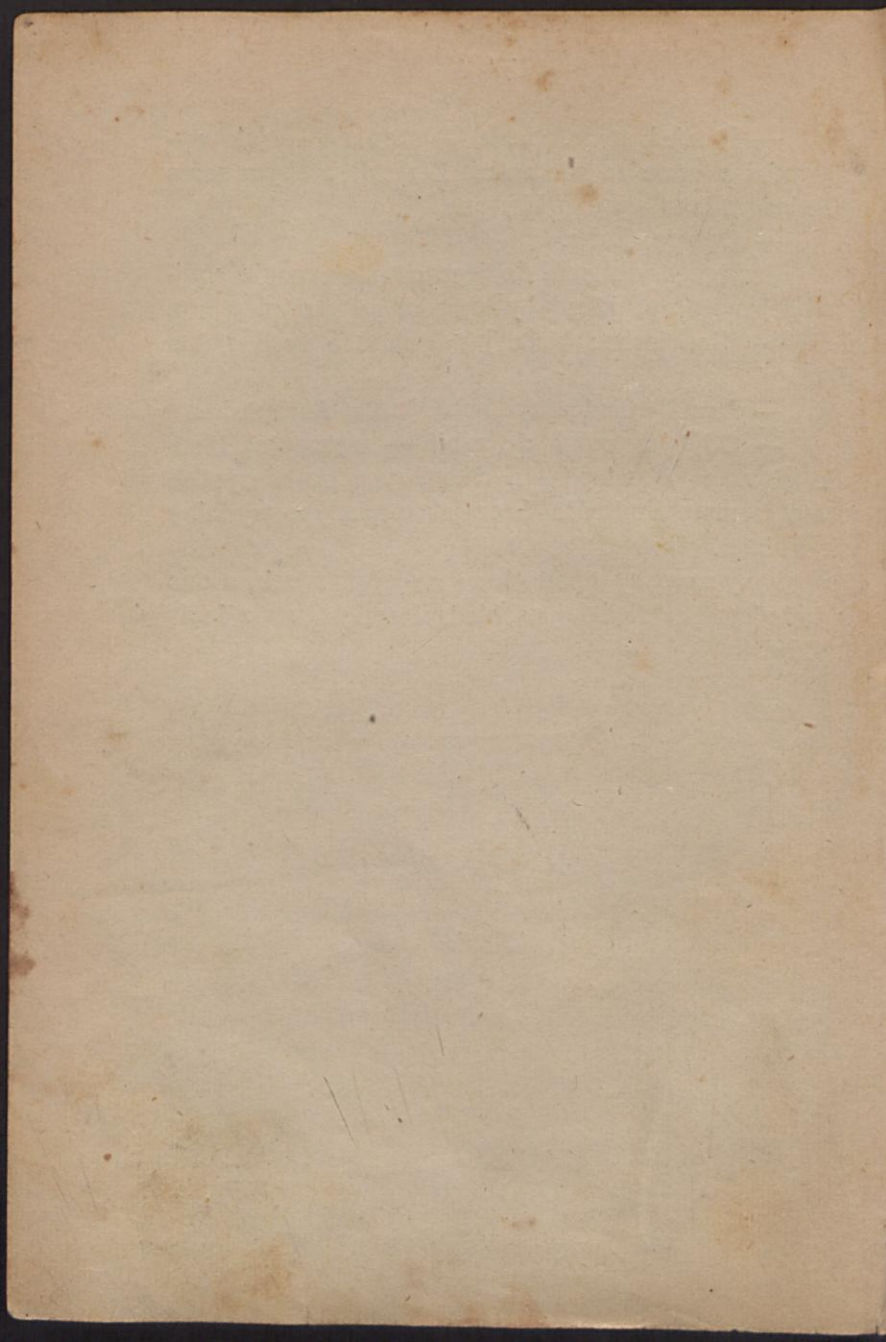
Przyłgnęła wargami do jego ust, lecz nagle spojrzał jej w oczy, jakgdyby oglądał po raz pierwszy.

— Kim jesteś: biała jak gołąb, a krwi żądna jak sęp?

— Jam — biedna żydówka, królu, Aswerusie...

— Gdybym mógł cię zabić — wyszeptał błędnie patrząc w pułap — uśmierciłbym po wszystkie czasy zemstę i miłość. Lecz jakże pustym wydałby się światl...

I wyczerpany oparł głowę na jej piersiach, a ona z triumfem spoglądała na bladą i zmiętą twarz króla królów.



R U T H

Pilnuj tego pola, na którem żąć
będą, a chodź za nimi...

Księga Ruth. I. 9.

— Rozejdźcie się do domów, każdy niech się
modli za sprawiedliwą Noemi, bowiem straciła dwóch
synów.

— Pokój ci, Noemi, pokój ci, biedna Ofro, i nie-
szczęsna Ruth!

Tłum rozstał się, i szły trzy niewiasty, nazna-
czone przez Boga cierpieniem. Noemi straciła dwóch
ukochanych synów, a dwie młódki — swoich mężów.
Za niemi biegły płaczki i wołały:

— Wielki jesteś, o Boże, i niechaj błogosławio-
na będzie karząca nas dłoń... Spoczywajcie w spo-
koju, Mahaljonie, Chelijoniel...

Trzy niewiasty, znaczone przez Boga cierpieniem,
szły cicho i zasłuchane w swoim bólu. Ból bowiem
mówi, ból trzepoce, jak ptak, złamanemi skrzydłami,
i słyhać go daleko... On jest jak mgła, co kłębi się
nad ziemią, uchodzi w niebo, a potem wraca i osiada
na drzewa, skroplając je łzą rzęsiłą. Ból jest jak rosa,

co ją słońce osuszy, rankiem znowu osrebrzy pole. Nie uciecze przed bólem ludzka nać, bo z cierpienia człek się począł i w cierpieniu zamiera.

Noemi, której imię wyklada się: słodycz, życie miała słodkie. Mąż jej Elimalech, miłował ją i poszła za nim do krainy Moab i poszłaby za nim na krańce świata, bo go miłowała. Żywot przeszedł im jak czas wiosny — prawie nie postrzegła niewiasta, kiedy zaskoczyła ich jesień, stary zamknął oczy i nie otworzył więcej. Całe kochanie obróciła na synów, i znów nie postrzegła, kiedy w samą wiosnę uderzył grom, i straciła ich obydwóch jednego dnia.

— Wielki jesteś, Adonaj — myślała, wracając z pogrzebów — ale niezbadane są drogi, któremi kroczysz. Słońce zna swój bieg, księżyc i wielka mnogość gwiazd, Ty jesteś ponad nimi, a niewiadomo, dokąd idziesz, co zamierzasz, dlaczego skazujesz, czemu nagradzasz? Słusznie wołał Hiob, człek sprawiedliwy, a pokonany straszną chorobą: „Ręce twoje ukształtowały mnie i uczyniły mnie, a przecie mnie zewsząd gubisz — Tyś mnie jako glinę ulepił a w proch mnie obrócisz!...”

Spojrzała z przerażeniem w obłoki, zali nie uderzy w nią grom za te słowa, ale niebo było ciche, jak przed zachodem, a chmurki różowe zapowiadały złocisty poranek.

Płaczki biegły przed niewiastami i krzyczały i miotały się w bólu udanym, a tłum wyległ z lepianki i szemrał pełen grozy:

— To Noemi, matka dwóch umarłych synów.

I szedł za niewiastami płacz i westchnienie, ale nie było im lżej, że inni płakali, bowiem smutkowi milej w gaju cedrowym, niżli wśród gromady płaczek!...

Jakoż nareszcie znalazły się w domu Elimelecha, w sadzie, który czerwienił się już purpurą zachodu. Obsiadły drzewa zalęknione ptaki, z pól szły trzaskania koników. Noemi rzuciła płaczkom garść monet, i uciekły jak nietoperze przed słońcem.

Trzy wdowy zostały same. Najstarsza siadła na ławie i zastygła w sobie, dwie zaś młode u jej nóg spłotły ręce. Legła taka cisza, że słychać było szelest ich łez...

Naraz Noemi zerwała się z zydła, poczęła drzeć na sobie szaty i wołać:

— A gdzie jesteś, o Panie, że karzesz matkę, iże jest słabą jak trzcina. A gdzież Twoja moc, która ma być mocą leczenia, a nie — zabijania?!

— Uspokój się, matko — rzekła starsza, Ofra — ściągniesz pomstę na dom Elimelecha!

A kiedy w gniewie i rozpaczycy nie słuchała synowej, wówczas młodsza Ruth, co miała złote jak pszenica włosy, a niebo w źrenicy, podeszła do świekry i rzekła:

— Matko, tyś miłowała ich łonem rodzącem, my zaś — sercem rozkochanem. Zważ, że my ciche i podające się woli Jehowy.

Noemi spojrzała na młodszą, i oczy jej zła-godniały:

— Dobrze mówisz, Ruth. Zgrzeszyłam.

Poczem padła na kolana i biła się w piersi:

— Zgrzeszyłam, zgrzeszyłam, Panie zastępów!

A Ruth mówiła dalej:

— Zważ, matko, że mąż twój żył długie lata, a ty obok niego — jako lilja polna, my zaś — ledwo zakosztowały z winnic Hebronu, jużci śmierć luta zabrała ich! Ja myślę, że Jahwe stąpa wśród samych róż, a czasem kolce obłamie, i wpadają one w serca człowieka niespodzianie jak wichr. Ale On potrafi wydobyć je i zasadzić na ich miejsce kwiaty i zioła pachnące...

A kiedy tak prawila, Noemi spoglądała na jej oblicze pełne błogości i szeptała:

— Słońce, słońce...

Ale i starsza, Ofra, acz nie potrafiła tak pięknie mówić, tuliła głowę do piersi świekry i pieszczotą koila jej ból. Więc objęła obydwie i całowała ich twarze zalane łzami i dziękowała Stwórcy, że w tem cierpieniu pozostawił jej dwie córki, dwa anioły.

Naraz, powstawszy, odezwała się w te słowa:

— Powiada prorok: Starość pochyla się do ziemi, bo szuka w niej łoża, a młodość pnie się w obłoki, bo pragnie słońca. Mnie czas do ziemi! Noemi, co się wyklada: „słodycz“ — umarła, a stanę się Mara, co oznacza: „gorycz“. Ale wy, młode i piękne, znajdziecie męża. Tedy idźcie w świat, każda do swojej krainy — i żywie Pan!

Obydwie przypadły do nóg starej i poczęły wołać:

— Przecz nas odpychasz, matko, kiedyś między nami jak drzewo sykomoru, a my jak sploty bluszczowe. Zostaniem przy tobie!

A Noemi uśmiechnęła się przez łzy i rzekła:

— Cudny jest sad Elimelecha, a nie masz w nim słowików. Która z was zechce — zostanie, a która zatęskni — pójdzie. Zawsze-ć śpiewają tam, gdzie nas niema...

.

Jakoż nie omyliła się Noemi.

Młodość ciągnie do świata, młodość, co jest swawolą i szuka radości. Poniektóra tylko osiąga kres w tęsknocie, onem wspomnieniu radości.

Onego dnia Ofra zbudziła się o świcie, obmyła, namaściła i spojrzała w zwierciadło. Piękna była w otocze kruczych włosów, z płomieniem w żrenicy i tajnią na ustach. Ach, jakże jej duszno spać w tej komorze! Chytrze mówiła świekra o braku słowików w sadzie Elimelecha. Umarły, pieśniarze, a może uleciały tam, gdzie gości miłość?...

I Ofra, która przyrzekła była Noemi, że jej nie opuści, hardo spojrzała w świat. Słońce już się obudziło, gaje oliwne za miasteczkiem już niosły swoje zapachy.

A tymczasem Ruth, która również wstała rano, wyszła przed dom i wąską ścieżyną podążyła w pole. Było już lato, i zboża kładły się pełne ziarna. Jak okiem sięgnąć, ścielą się kłosa, gibocą, kolebią, drżą w sobie. Lada podmuch je pochyli, rzekłbyś: załamię, ale podnoszą się znów dumne, znów radosne w błękiecie. Ruth idzie wąską miedzą i kłania się psze-

nicy. Jej złoty włos zrękowił się z kłosami i ślubuje jedność, jej oczy zabłąkały się w chabrach.

— Odejść stąd? — myślała — z tej ziemi, rodzącej zboże, z tej ziemi płodnej i śpiewającej?...

Poczem, obejrawszy się, czy nikt jej nie widzi, położyła się wśród zbóż i owinęła głowę falą kłosów, a ustami piła wszystką wilgoć rosy.

I zwidziało się jej, że jest panią całej krainy pełnej kłosów i wreszcie... że sama jest kłosem, który karmi mnogi lud...

I podniósłszy wzrok w górę, widziała Ruth słońce, a tuż obok oblicze Wiekuistego, które uśmiechało się do niej.

I słyszała:

— Ruth, złotopszenna Ruth, nie odchodź w świat, boś żyzna jest, boś płodna jest, boś matka ludu wybranego... Złotopszenna Ruth!...

.

A tegoż wieczora Noemi znów namawiała synowe, ażeby zostawiły ją i odeszły — każda do swojej krainy. Wzbraniała się bardziej Ofra, ale starzy ludzie potrafią czytać w ciemności, bowiem znają życie napamięć. Więc nie niemówiąca otworzyła Noemi skrzynię, wyjęła z nich szaty Ofry i Ruthy i położyła je przed niewiastami. A poczem wyszła do sadu i długo tam spoczywała zatopiona w modlitwie.

Upłynęło dużo czasu, już było wracało z pola, i słychać było głos fletni pastuszej. Nagle Noemi usłyszała trzask rozsuwanych zaworów: z obejścia chył-

kiem wymykała się Ofra. Uśmiechnęła się smutnie Noemi i z biciem serca czekała, azali ukaże się we wrotach druga.

I myślała:

— Czem są obietnice młodości wobec świata szumnego, co złoci się za drogą karawan? Szybciej żółw dobieże do Damaszku, niżeli młodość wróci do starości!...

A kiedy tak myślała, tuż za nią rozległ się śpiew młódki i zobaczyła ją idącą z pola z naręczem chabrów.

— Ruth, córo moja — zawołała w radości wielkiej — więc pozostałaś przy starej Noemi?

— Pozostałam przy tobie, matko, i pozostanę do końca dni, a pójdę za tobą, dokąd i ty pójdziesz. Bowiem jesteś matką mojego umiłowanego, i niechaj będzie błogosławione łono twoje!

A poczem uklękła u nóg świekry i mówiła:

— Miłuję tego, którego nie posiadam, a imię jego: wieczność. Bo on ze mną na wieki mój, a ja jego. I patrzaj matko: te kwiaty — to także moja miłość, bo urodziła je ziemia, w której śpi mój uko-chany. I zdaje mi się, że to jest łoże, i za chwilę zle-gniemy przy sobie. A ty, matko, pościelaj nam łoże i zanuć pieśń weselną. Bowiem nietylko życie jest życiem, ale śmierć także jest życiem, jeżeli złączymy się w niej z umiłowanym!...

.

Zamieszkały tedy razem i zdawało się, że szczę-ście i pokój zmówiły się pod dachem wdowy. Świe-

kra radowała się synową, a synowa — patrzała w oczy świekrze, pragnąc odgadnąć jej myśli. Zbiegli się ludzie z miasteczka i pokazywali je sobie palcami.

— Pojrzyjcie! Oto miłość opuszczonych niewiast: świekry i synowej, matki i córki. Ta nie odbiegała Noemi, cierpi z nią niedostatek, chociaż krew w niej królewska...

Ale szczęście trwa krótko, inaczej — ludzie zamiast chodzić po ziemi, zapragnęliby skrzydeł. Głód w krainie Moab zmusił obydwie niewiasty szukać chleba gdzie indziej. Po długiej wędrówce wśród niebezpieczeństw, częstokroć bez jadła i napoju, dotarły wreszcie do zacnego miasta Betleem.

A w owym mieście sprawiedliwym żył niektóry Booz, powinowaty Noemi, który miał duże włości i pola. Aliści nie wiedziała o tem stara kobieta; najawszy się wraz z synową, jako komornice, zamieszkały w chacie pewnego ubogiego człowieka.

Ruth nie pozwoliła świekrze pracować, poszła tedy sama na pole szukać służby. Był dzień upalny, słońce prażyło, co się zmieści. Poprzez cienką szatkę (zdarła co lepszą w długiej wędrówce) doskwierało srodze Rucie, ale nie narzekała, bowiem — była szczęśliwa.

...Jakże to — Rutho — uboga i nędzna — w zapyłonej szacie, ze skrwawionemi stopami nie złorzeczysz losowi, jeno uśmiechasz się i pośpiewujesz?

Wesoła jest Ruth, bo stąpa po polu, i owo rdzawe kłosa ścielą się, i śpiewają skowronki. Ach, gdyby tak ściąć te złote włosy ziemi, a potem splatać z nich warkocze, a zdobić niemi ściany domu naszego...

Z całej ziemi zwieść tę słoneczną patokę i zbudować chram pod obłoki... To wonczas wychyliłby się może z za chmur Jehowa i obaczył człowieczy trud i uśmiechnąłby się do ludzi!...

Czy wzrok nie myli Ruth? Oto w dołku leży sierp, rzucony przez komornicę. Nuże, sierpie, pokaż, co umiesz w rękach przetowłosej Ruthy!

I pochyliwszy się ku ziemi, Ruth zęła.

Kłos goni kłos, ucieka przed błyskiem, pochyła się, ażeby paść z rąk Ruthy. Otumaniona mgłą złoci-
stą, upiła się aromatem.

A oto z okolicznych miedz wyjrzał tłum żeńców i osłupiał z podziwu. Co za przybłęda śmie żąć zboże? Już podnieśli sierpy, już się rzucą na dziewczkę — gdy nagle rozległ się głos Booza. A zaczem on sam — władca tego pola — stanął przed nią.

— Ktoś jest? czego chcesz?

Wonczas podniosła na niego oczy — oczy tak niebieskie jak chabry, które trzymała w ręku, i rzekła:

— Panie, służebnicą twoją pragnę być...

Więc spojrział na niewiastę i położył dłoń na jej pochylonej głowie:

— Zostań.

I skinąwszy na starszego wśród żeńców, rzekł:

— Niech z wami robi, a dajcie jej za to efę jęczmienia.

.

Tedy została, i była jedną z wielu służby Booza. Pierwsza szła do pracy, a odchodziła ostatnia.

Z jaką radością nosiła starej Noemi miarki pszenicy! Booz był dla niej hojny, aże zazdrościła czeladź. Szatan przyniósł dziewczkę!

Raz zgadali się.

Jakby z rozmysłu oddalił żeńców. Zostali sami. Był wieczór, wyrzała kula księżycowa. Nad ścierniskiem latały świętojanki. Szła z pola błogość.

— Powiedz, dziewczko — zaczął Booz, siadając na ziemi — coś za jedna?

— Wdowa jestem, zwań mnie Ruth.

— Ty... wdowa?

Zasępił się. Widać, że stracił ochotę do gadania. Szeroką twarz powlókł cień.

— Wdowa jestem... a świekra moja Noemi, także wdowa, po Elimelechu z Betleem.

— Noemi — zawołał Booz — toć powinowata moja, gdzie ona jest? Aza w niedostatku?

Ruth opowiedziała pokrótce dzieje świekry i swoje.

— I poszłaś za nią na niedolę — dziwił się — toś niewiasta szczerą, i Bóg takie miłuje. Ale żeś wdowa? — westchnął z żalem.

— To co? — roześmiała się — aza wdowa wsze-teczna? a widzisz, że pracuję.

Tak, istotnie pracowała. Jej dłonie były czarne, i twarz blada, jeno oczy gorzej w błękicie i krwawią się wargi.

Powstał, zbierając się do odejścia.

— Powiedz świekrze, że Booz ją pozdrawia imieniem Pana, że przyjdę do was z prażmą. Idź, bo późno. Ale — żeś wdowa! — kiwał smutnie głową.

.

W kilka dni później, w sam przedwieczerz, przyszedł do zagrody Noemi. Ruthy nie było, więc siedzieli sami w małym sadku za domkiem. Booz, zazwyczaj smutny i ponury, jakoś rozgadał się z krewniaczką. Wspominali dawne czasy: o Betleem, o mężu Noemi i macierzy Boozowej, co nie żyła. Wiele lat upłynęło i postarzelili się, a życie wyżłobiło na licach brózdę, niczem w glebie. Booz pracował w ziemi, nie widząc poza nią świata. Mówiły o tem jego ręce żylaste a spalone, i oczy szare, zasnute mgłą tęsknoty: tak to w dzień jesienny wygląda niebo, kiedy lada chwila zerwie się ulewa i trwać będzie długie dni. Jeno czasami w uśmiechu dobrotliwym migotały białe zęby, i niefrasobliwość szła od wieśniaka, który gadał z niebem, słońcem i wichrami.

Korzystając z takiej chwili, spytała Noemi:

— Rzecz mi, Boozie, aza w onej codziennej orce nie brak ci niewiasty?

— Niewiasty? — spytał, płonąc.

— Pani twoich włości, matki twoich dzieci?...

Toć grzesznie żyć samemu.

— Któraby mnie tam chciał! — roześmiał się Booz.

— Znam taką — chytrze zagadnęła stara — znam taką, coby poszła za tobą... Miłuje pole i wszystko, co ono rodzi. Sama jest jako ziemia pachnąca i rodna.

— O kim mówisz, Noemi?

— Toć moja niewiastka, Ruth.

Booz zerwał się, jakby go sparzono...

— Ruth, wdowa? Zali można żyć z wdową, wždy myśli o nieboszczyku?

— Posłuchaj, Boozie, niedługo Rutha radowała się moim synem. A przytem chorzał niebogi...

— Łatwo ci tak gadać — wybuchnął Booz — ale co myśli niewiasta? Nie znam ja się na tem nasieniu, uciekałem przed niem, jak przed djabłami. Ruth nie lepsza.

— Co jej przyganiaasz?

Booz podrapał się w głowę.

— Przyganiać nie mogę, ale ona z miasta, więc płocha, a mnie trza niewiasty do pola.

— Ona pole miłuje bardziej, niż męża.

— Tego nie pochwalę. Mąż — mężem, a pole — polem.

— I tak źle, i tak niedobrze. Widać, żeś złośliwy. Powiadam: niewiastę chcesz mieć godną, bierz Ruth.

— Nie chcę żadnej — wybuchnął bez powodu — dobrze mi samemu. A będziesz raić Ruthę, to pójdę.

Noemi zamilkła. Co gadać z wołem? Na takiego znajdziesz inne sposoby!

Ruth nie zastała już gościa, natomiast zdziwiła się opowieścią świekry: ano, że był Booz i bardzo się rozwodził nad nią, Ruthą... że chwalił jej pracę... że mu się spodobała... Rumieniec oblał twarz młódki, a stara Noemi mówiła dalej, zmyślając.

— Widzi mi się — kończyła — że Booz rad cię pojmie i będziesz panią wszystkiego pola.

— Dajcie pokój, matko, skąd zaś do mnie takie bogactwo?

— Chciałabyś? — zerknęła stara.

— Tak, matko, ale nie dla bogactwa, jeno, ażeby cały dzień trwać z ziemią, bo ona jest bogactwem Izraela, i przeklęty syn człowieczy, który od niej odbieży.

— Skąd to wiesz? — spytała Noemi.

— Tak mi gadał głos tajemny, com go słyszała, znąc pole Boozowe. Izraela zgubi złoto, a odrodzi — ziemia.

— Tak się stanie — rzekła Noemi.

Tu przerwała rozmowę, bo czas był na posiłek. Tedy poszła do izby i zgotowała strawę. A potem przy księżycu spożywały obydwie, i jęła stara Noemi wtajemniczać niewiastkę, jakimi to sposoby zdobywa się berło panowe...

.

Była noc, i dawno już zakończyły żénce swoją pracę. Booz zmęczony legł na ziemi i nakrył się opończą. Ale sen nie przychodził. Czy gwiazdy świeciły dziś nazbyt jasno i nie dawały spać? Z gaju dochodził śpiew słowików, gdzieś w snopkach cykały koniki. Ziemia oddychała ciężko, a z nią — lud umęczony. W taką noc trudno zasnąć. Serce czegoś pragnie, smutek żre, oczy — szukają gwiazd.

Booz przewracał się z boku na bok i męczył okrutnie. Na jego ponurą duszę kładł się mrok, jak na mur cmentarny. Zaprawdę, nie wszystką radością człowieka pełny śpichrz i beczące stada!

I zwidziało mu się, że gdyby w taką noc rozśpiewaną od ptactwa bożego i pachnącą od ziół zo-

baczył... Ruthę, to wnet lżej byłoby sercu, — Ruthę przetowłosa, Ruthę... z oczyma modremi jak chabry, z ustami pełnemi owocu słodkiego...

Jakoż pod wpływem tych widzeń przymknął oczy — i zasnął.

A w oną chwilę szła polem Ruth i szukała koniczyny pięciolistnej i całowała się z kłosami.

I mówiła do nich:

...„Pole, pełne złota i kwiecia, jakżeś władne! Ruth bierze cię w posiadanie, przysięga miłość do końca żywota!

...„Tyś jest mocą, co przetrwa świat i odradzać się będzie, kiedy ziemia rozpadnie się i skleci odnowa.

...„Tyś jest karmią ciała, i łozem ducha, i największą radością oczu.

...„Tyś, złotopszenne pole, stołem biesiadnym i źródłem niewysychającym.

...„Jak niebo jedno, ty jedno. Im bardziej pożądasz, im bardziej pragniesz potu człowieka, tem ci droższe jesteś dla niego.

...„Jako dziecię drogie swej matce, która przez nie cierpiała; tem droższe, im więcej krwi wylała, im więcej napełniła nią żyły dziecięcia.

...„Żywie Pan, któren w dniu radości stworzył łąn przezłoty i nakazał żdźbłu kielkować i świadectwo dał swej mocy boskiej i kochania człowieka!...”

A kiedy tak mówiła Ruth i stąpała w bieli księżycowej jak dziwożona, zeszedł ku niej anioł, ujął ją za rękę i wiódł do Booza.

A obaczywszy go leżącego pod zasłoną i z twarzą oblaną potokiem łez, ulitowała się nad jego męką, która była męką wszystkiej ziemi, płaczącej ros kropkami.

A uniósłszy opończę, legła przy nim i modliła się Bogu, i słuchała wdzięcznego głosu ziemi, która śpiewała weselem:

„Radujcie się pola, zagonki leśne i strumyki górskie, bo oto Ruth zrękowała się z ziemią, która jest Boozem, okrytym perłami rosy!

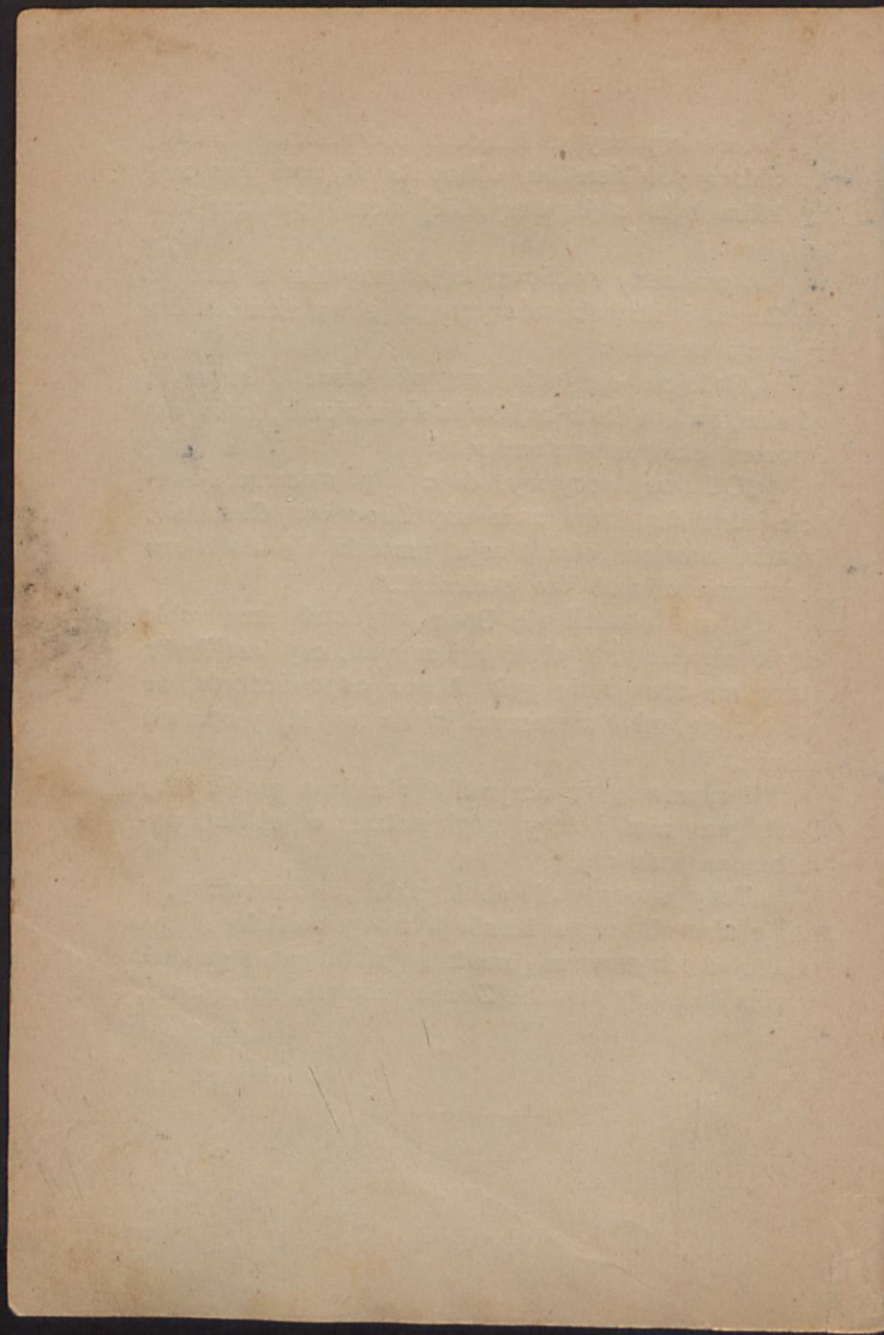
„Od owej nocy wy, dwie siły mocarne, jesteście jedną siłą, która zwie się Ziemią. Ciesz się, Izraelu, bowiem córka twoja przytuła się do ziemi i wskazuje ci prąródło istnienia!...”

A oto obudził się Booz i poczuł przy sobie ciepło niewiasty, i objął ją i zapytał, czy jest Ruthą i czy nie obawia się go? A ona odpowiedziała, że nie boi się, gdyż nie uczyni jej zła ten, który uprawia ziemię.

I zaprawdę nie uczynił jej zła, jeno prosił, żeby leżała przy nim i żeby mógł patrzeć w jej lica, wysrebrzone poświatą.

Tedy spoczywali obok siebie, niemówiący, a oboje słuchali szumu kłosów i mowy anielskiej.

Nad ich głowami jarzyło się niebo pełne gwiazd, w gaju śpiewały słowiki. Ziemia parowała szczęściem.



SULAMITHA

...Jam jest jako róża sarońska,
a lilja przy dolinach...

Pieśń Salomonowa II. 1.

Była jak samum i jak pieśń. Ogorzała w słońcu, miała lica czarne, a przecinały je cięciwy ust o barwie karminu. A oczy? Spójrzycie, córki izraelskie i wszystkie nałożnice królewskie, zali nie płonie w nich ogień z tysiąc całopaleń na Gabaon? Wspomnijcie on czas, kiedy na wzgórzu Moryje nie było jeszcze świątyni Salomona...

Pasie owce nad stawami za miastem, i cicha jest jak noc, tańczy przy dźwiękach bębenków — szalona jest jak wicher.

...Jak się zwiesz, dziewczko — zrodzona z gwiazd i poślubiona błyskawicy; jak się zwiesz, gołąbko z nad Cedronu, ogniu krwawy i tęsknoto męskich dni?

Sulamith...

Ach, Sulamith, słyszałem to przezwisko, tyś — Laila, córka Chalilei, opuszczonej wdowy, tkającej całe życie płótno i sprzedającej koszyki z białych łóz.

Sulamith...

Dlaczego jesteś smutna, Lailo, — wszak matka kupiła ci nowe suknie, szkarłatne jak róże, i wyglądasz w nich, jak kropla krwi, rzucona na fale morza. Patrzcie: Sulamith dzisiaj smutna, nie śpiewa, nie tańczy, nie przegląda się w potoku.

Hej, Sulamith, radości moich oczu — ty płaczesz?
Sulamith!...

.

Istotnie płakała dzisiaj. Od rana wszystko idzie naopak. Wstała lewą nogą (o, przekleństwo), ujrzała czarnego kota, zgubiła nausznice. Łajała ją matka (żartami) i smagała ją łożą (ze śmiechem), ale Sulamith czuła, że dzień dzisiejszy będzie dziwny. I drżała w trwodze.

Było południe, żar płynął z nieba. Sulamith lubi żar, więc przywołała owce i wzięła na ręce czarnego kota (upieści, więc zginą czary). Za miastem płynie mały staw, sztucznie nawodniony, cichy jak życie wśród skał, pokrytych hyzopem. Laila jest smutna, więc będzie patrzeć w stojące wody.

O tej porze niema ludzi nad stawem. Wszyscy uciekli pod cienie palm. Jest taka pustka, że słysząc sączące się złoto z promieni słońca.

Sulamith zdjęła szaty i po kolana zagłębiła się w potoku. Jest naga, jedynie na włosy zarzuciła szkarłatną chustkę. Umie pływać, więc zwycięsko opiera się fali. Spojrzała na brzeg. Czarny kot zaplatał się w szakiaku i tęskliwie spogląda na wodę.

A dalej w trzęsawisku skłębiły się owce, bezradne i beczące.

Sulamith płynie.

Jak słodko całują ją martwe fale, przywarły do kolan, sięgają piersi, obejmują szyję wiankiem pieniących się kryształów. Jest cała w opalach, przeźroczysta jak koncha i rozedrgana jak promień. Sulamith płynie...

...A w on czas król królów Salomon, syn Dawidowy, opuścił pałac i chyłkiem, jak to czynił często, udał się na przechadzkę. Nie obawia się słońca, — syn Dawidowy kocha światło, bo jest radością życia. Minawszy ogrody, skinął straży, że chce być sam, i udał się w długą drogę. Nikt go nie pozna, jest szczęśliwy, że stał się podobny do zwykłych ludzi. Czasami cięży korona, i wszystkie mądrości doskwierają jak ból głowy.

Stanął na wzgórzu i obejrzał się za siebie. Pałac marmurowy lśnił jak szczerzoty, dwa słupy-olbrzymy: Jakin i Boos sterczały groźnie. A gdzie okiem sięgnąć — mury, mury i baszty. Salomon pomyślał: „Ojcowizna“ — i, o dziwo! ani radość, ani duma nie gościły na jego obliczu.

Czy jest szczęśliwy, będąc najbogatszym z królów i najmądrzejszym z ludzi — on, władca krain od Tasfy po Gazę, mający tron ze szczerzego złota i osiemdziesiąt nałożnic i koni czterdzieści tysięcy?

Posłuchajcie, którzy mu zazdrościcie: król królów nie jest szczęśliwy, bo go znudziło życie.

Posiadać wszystko, co człowiekowi dostępne, móc czytać w myślach ludzkich jak w zwierciadle — to niewysłowiona męka.

Czego zapagnie — posiada: za złoto z Ophir nabyć może najcudniejszą niewiastę, najbardziej rączego konia, kupić uśmiech wroga, wydobyć ze skały dźwięk harfy....

A jednak...

Król Salomon rozpacznie machnął ręką i poszedł w światło.

Bowiem czuł, że ono jest wyzwoleniem i że bez niego — grób.

I że wszystko, okrom światła, jest marnością nad marnościami.

.

A Sulamith właśnie wyszła z potoku i stanęła na wybrzeżu, każąc osuszyć się promieniom słońca. Do stóp jej podpełznął czarny kot i skarżył się. Laila wzięła go na ręce i przycisnęła do piersi.

Nagle czyjaś dłoń rozsunęła gałęzie, i ukazał się mąż nieznany. Laila krzyknęła, a ów przybysz zawołał:

— Stój, dziewczyno, nie obawiaj się! Niosę ci zwiastowanie południa.

Laila pochyliła się zawstydzona, chcąc zakryć swój wstyd, ale nieznajomy ruchem dłoni powstrzymał ją:

— Zaniechaj! pozwól moim oczom poić się widokiem cudu, który objawia się tylko wybranym. Nie poruszaj się, nieznana. W skrajach słońca błyszczysz

jak kolumna złota, a twoje ciało, acz ciemne jak ba-
zalt, płonie krwią, by kruża pełna rubinów!

Laila stała nieruchoma, jakby zaczarowana mową,
której nigdy nie słyszała. Była inną, niżeli mowa jej
braci-pasterzy, była słodka jak ambra i pachnęła
wiosną.

Kot ześlizgnął się po ciele i zawisł nad kolanami,
jakby chcąc je zakryć przed oczami nieznajomego.
Ale on nie zbliżył się, jakby to uczynił prostak, —
on patrzył, a w źrenicach jego błękitniała zaduma.

I zaczął mówić:

— Widziałem tysiąc krain słońca i ciemności,
góry tęczowe i takie, co jawią się w godzinę śmierci.
Nietajne mi uroki ciał i wszelakiej lubieży, ale, na
Boga! nie widziały oczy moje takiego cudu!

To mówiąc, zdjął z siebie płaszcz i, zbliżywszy
się, narzucił go na ramiona dziewczyny.

Zaczem usiadł na murawie i, wskazując jej miej-
sce obok, zapytał:

— Ktoś jest, wszystka piękna, niczem jawiąca
się we śnie?

— Jam Laila, córka Chalilei, zwana także Sula-
mith!

— Sulamith, Sulamith — powtórzył nieznajomy —
jak dźwięczne twoje imię, jak śpiewa mi wszystka
ziemia, kiedy je powtarzam.

— A ktoś ty jest, panie? — spytała, wstydliwie
mrużąc oczy — któryś mi w poranek zwiastował po-
łudnie i okryłeś moje ciało płaszczem.

— Salem, sługa królewski,

— Króla Salomona? — spytała z trwogą.

— Króla Salomona — powtórzył — ale czemu, piękna, zadrżałaś?

— Obawiam się tego króla — rzekła cicho — musi być okrutny, bowiem jest najbogatszy na świecie.

— On nie jest okrutny, Sulamith, chociaż wydaje wyroki śmierci. Podobno po wyroku płacze jak dziecko. Chciałby dać ludziom żywot wieczysty.

— Niechaj lepiej da go kwiatom, które żyją tak krótko.

— Chciałby, Sulamith, ale nie wszystko może człowiek.

— Toć on syn Dawidowy, który rozmawiał z Bogiem.

— Odbieżał go Jahwe, bo nazbyt oddawał się miłości ziemskiej.

— Niewiast? — spytała ciekawie.

— Głosi ten król, że kobieta jest najcudniejszym tworem Boga, największą radością oczu, jest męką i rozkoszą żywota.

Laila milczała. Płaszcz lekko zsunął się z ramion, poprzez tkaninę przezierала różana stokroć piersi.

— Chciałabym być miłowana przez króla — rzekła cicho.

— Czasami pragnienia sprawdzają się, Sulamith, osobliwie kiedy są szczerze i dziecięce. Zlegnij na tej murawie, Lailo, córo Chalilei, i zamknij oczy. I módl się, Lailo, — o szczęście.

Dziewczyna położyła się, i oczy niewinne i słodkie utkwiała w obłokach, a potem przymknęła je, rażona promieniami słońca.

Kiedy je otworzyła — nieznajomego już nie było. Na murawie błyszczał pierścień, krwawnik olbrzymi, a na nim znak królewski.

Sulamith przeraziła się.

Chciała powstać i biec za nieznajomym.

Ale kot owinał stopy dziewczyny i nie chciał jej puścić.

I pomyślała: zwid się ziścił, ale nie powróci. Bowiem zwidy nie wracają.

.

Tegoż wieczora do domku starej Chalilei zapukał strażnik królewski. „Podatki? — pomyślała wdowa — skąd wezmę groszy, koszyki leżą niesprzedane, stare oczy nie mogą już tkać płótna“.

Niemądra, zali po podatki zjawia się strażnik królewski? Otwórz, Chalileo, niosę ci wieść radosną.

A kiedy otworzyła, w progu stanął dworak i spytał:

— Masz córę, Chalileo, którą zwą Sulamith?

— Prawdę rzekłeś, strażniku, mam córę i siedmiu synów.

— Synowie twoi zdadni są do noszenia miecza, upomni się o nich poborca wojskowy, ja przyszedłem po twoją córkę.

— Chcesz mi ją zabrać? — krzyknęła stara i upadła do nóg strażnika.

— Wstań, usiądź i uśmiechnij się, powiedziałem, że niosę ci radość. Król mój, najbogatszy na

ziemi, który ma złota tyle, co cała ziemia Ophir, który mądrzejszy jest nad Etana Ezrehytę...

— Wiem — przerwała — król Salomon, ale czego on chce od nas, biednych wypłataczy, ten król najbogatszy i najmądrzejszy?

— Posłuchaj, Chalileo — kiedy posiada się wszystko złoto i drogie kamienie, to właśnie zachciewa się... małego koszyczka z białej łozy!

— Mam go — zawołała uradowana — mam ich dwa dziesiątki, a mogę jeszcze upleść drugie tyle.

— Głupia niewiasto — zawołał rozzłoszczony — nie rozumiesz, że tym małym koszyczkiem, którego brak Salomonowi, jest właśnie twoja córka Sulamith?

— Nieba! — zawołała Chalilea — chce mi odebrać moje oczy, mnie, starej, która nie dowidzi tkąć płótna? Czy ściągnęłam grom na mój dach, żem nie zachowała postów?

— Chalileo — rzekł uroczyście strażnik — czy godzi się przeklinać losy, kiedy Stwórca posyła ci najbielszy kołacz, nadziewany miodem i perłami? Król Salomon chce twojej córki, a ciebie wynagrodzi stu syklami złota.

Stara wdowa pobladła i chwyciła się oburącz za głowę.

— Czy ja dobrze słyszałam — szeptała — chce Laili i mnie da złoto? Salul, Borech, Chazell

— Kogo ty wzywasz, uparta więdźmo? — poskoczył do niej — poco robić taki gwałt?

— Ach, zwołuję synów, ażeby podzielić się wielkiem szczęściem. Słuchaj, strażniku, wspaniały

strażniku, idź i powiedz twojemu panu, że Chalilea zemdląca ze szczęścia.

— Niebardzo się z tego ucieszy Salomon, mdlejące niewiasty ogląda codziennie — gdzie twoja córka?

— Córka? ach, moja córka... Doprawdy, miesza mi się myśli. Moja córka... Niema jej, jeszcze nie wróciła z pastwiska. Ale jak tylko powróci, zaraz jej powiem! A ty, potężny strażniku, przyjdź jutro... Nie... przyślij złotą lektykę po moją córkę, słyszysz, biedny strażniku, który nie masz takiej córki.

— Dobrze — machnął ręką zniecierpliwiony — przyjdziemy, ale bez lektyki. A ty nie łap ryb przed niewodem, jak powiada Salomon — i wyszedł nachmurzony,

A Chalilea wybiegła przed dom i poczęła szukać Laili, która powoli wracała z pastwiska, niosąc na rękach płaszcz królewski i tuląc do ust pierścień z krwawnikiem.

.

Znalazła ją tuż za parowem, zasłuchaną w głosy puszczy. Przed nią biegło stado owiec, niewielkie stado, które pasali bracia Laili. Czasami zastępowała ich, kiedy szli do miasta po zarobek u bogaczy. Szła, marząc jeszcze o nieznanym, który wydał jej się dziwnym — czyżby istotnie był wielkim królem?

Sulamith wyobrażała sobie Salomona w koronie na głowie i buławą w ręku. Czy królowie chodzą samotnie po ziemi? Jego płaszcz ma zapach myrry,

à pierścień zimny jest i wilgotny. Kim jesteś, nieznanym, a piękny, czy ujrzą cię jeszcze oczy moje?...

— Lailo, Lailo — usłyszała nagle — szukam cię, córo moja!

— Owom jest, matko — odezwała się zdziwiona i niespokojna. — Zali zachorował który z mojej braci?

— Lailo, zatrzymaj owce, usiądziemy na chwilę... Ach, stare nogi moje... Lailo, zwiastuję ci wielką radość!...

„Czy jeszcze większą — pomyślała dziewczyna — dzisiaj uśmiechnęło się do mnie niebo?”

Stara opowiedziała jej pokrótce o odwiedzinach strażnika.

— Słyszysz, Lailo — szeptała rozpromieniona — będziesz nałożnicą Salomona, a ja... stara Chalil dostanę sto sykli złota.

Zaległo milczenie długie i dziwne. Mała Sulamith nie dzieliła radości matki. Oczy jej, rozszerzone zdumieniem, z wolna zasłaniała mgławica łez.

— Płacze ze szczęścia — myślała Chalil.

Ale ona płakała ze smutku, i położywszy ciemną dłoń na kolanach matki, zaczęła mówić cichym głosem:

— Byłam dziś nad stawem, chciałam ochłodzić ciało, które gorące jest i płonie. A oto przyszedł na mnie zwid, jak ogień, i spalił mnie. Miał oczy szare, czasem błękitne, jak niebo po burzy, i włos miał ciemny jak pióra krucze, a mówił głosem podobnym do dźwięku fletni...

— Kto to był? — spytała niespokojna stara — nad stawem włączą się pasterze z Midbar Juda i porywają dziewczętą?

— Ach, matko, żebyś go słyszała: to grom i pieśń, a wszystek urzekł mnie.

— Nieszczęsna, niewstydno ci mówić o tem starej matce...

— Chalil, to był sam król...

Wdowa niespokojnie spojrzała na córkę: aza wieść radosna pomieszała jej umysł?

— To był król Salomon... on, najmądrzejszy i najpotężniejszy... Nie wiera, stara Chalil? spojrzij: oto jego pierścień królewski, który pozostawił mi na pożegnanie...

Teraz uwierzyła. I nagle w sercu jej rozległ się głos dziękczynny. Zaczem, spoglądając w niebo, wyszeptała z trwogą:

— Wielki jest Bóg i jedyny w Izraelu...

A potem, obejmując Sulamith:

— Tedy jutro, jutro przyjdą po ciebie i wejdiesz do pałacu niesiona w złotej lektyce. A ja... ja będę za tobą stała cicho, ażeby widzieć swoje dziecię niesione przez aniołów...

Nagle Sulamith wstała i rzekła:

— Nie pójdę do pałacu Salomona.

— Coś ty powiedziała? — spytała, blednąc, Chalil — zali uszy moje ogłuchły z nadmiaru szczęścia?

— Nie pójdę do pałacu. Za wielki on i wydaje mi się grobem. Sulamith kocha świat, słońce, wolność.

A tam za murami bardzo smutno, i stamtąd nie wraca się do ogrodu róż.

— Oszalałaś — zerwała się stara — aza może brnąć róż, gdzie złoto chwyta się garściami? Oszalałaś — powiadam, i jeżeli po dobrej woli nie pójdziesz, siłą zawiodą cię bracia!

— Matko, zali chcesz mnie pochować żywą?

— Sulamith, azali pragniesz, bym wypłakała oczy, a usta skalala przekleństwem własnego dziecięcia? Azali pojmujesz, co znaczy być nałożnicą Salomona? Jaką starość gotowisz matce, jakie kufy złota zwieziesz dla braci? Sulamith, szalona i głupiutka Sulamith, żono królewska i podporo mojej starości?

Ale dziewczyna nie chciała słuchać. Oblicze jej nabrało zaciętości. Nie było to dziecię igraszki, z oczu płynęły skry, czoło błyszczało dumą.

— Jam dziecię wolności, matko, a ty chcesz mnie więzić? Po stokroć powiadam: nie. A jeżeli zniewolisz mnie, zabiję się.

Stara poczęła biegać, jak obłądna. Tak! wstyd! Wychowała jaszczurkę... Co powie zajutrz strażnikom? A kiedy przyniosą sykle złota, to ma je rzucić jak mierzwę na drogę?

— A kiedy jutro przyjdą po mnie — przerwała jej myśli Sulamith — to powiedz im: Sulamith uciekła, nie wiem, gdzie jest... I pójda i rzekną o tem królowi.

Chalil poczęła się cicho modlić i prosić Jahwe o ratunek. Naraz zbawcza myśl przyszła jej do głowy:

— Powiadasz, Lailo, iż widziałaś samego króla, że dzisiaj rankiem rozmawiał z tobą? Azali nie był piękny i nie zabiło twoje serce kochaniem?...

Sulamith wybuchnęła śmiechem.

— Ach, matko, co ty wiesz o kochaniu! Ono takie ogromne, że człek tonie w niem i zatapia własne serce..

A potem dodała smutnie:

— Chodźmy już. Słońce gaśnie, a do miasta jeszcze daleko...

.

Dwa dziesiątki spraw miał dzisiaj Salomon do sądzenia. I przyjął karawany od królowej Saby z darami. Śmieszna, czarna kobieta, przybiegła z końca świata, ażeby go oglądać, a on ją lepiej obejrzał... w łożnicy. I znów czeka na niego korowód kapłanów, wojowników, budowniczych.

Z niecierpliwością pozbierał na drzwi, przez które miał wniknąć Salem i powiadomić go, że „przecudna jak jutrzienka Sulamith wstąpiła w progi królewskie“. Na tę myśl uczuł ciepłą falę krwi. Sulamith... Laila... Nowa kobieta, nowy czar, nowy zapach...

Jakoż czas dłuższy się niepomiernie. Już trębacze dali hasło zakończenia obrad, a tu jeszcze te dwie wszeteczniczki spierają się o dziecko. Przepędzi je, na co im dziecko, i co one go wogóle obchodzą? Ale roz-
wścieczyły się obydwie i krzyczą, że Salomon a Bóg to jedno. Niechaj więc sprawiedliwości stanie się zadość!

... Czy Sulamith jest już w komnacie niewiast? czy Etjop przystąpił już do niej i nakazał wziąć kąpiel z myrry i aloesu? Zaprawdę, wonniejsze jej ciało od myrry i aloesu!

Nagle kotara poruszyła się. Do sali obrad wszedł Salem i szepnął królowi:

— Panie, Sulamitka zbiegła.

Salomon natychmiast przerwał sąd.

— Nadeszły wieści — odezwał się do zgromadzonych — od króla tyńskiego Hirama. Odchodzę wydać rozkazy.

I zniknął za kotarą, a za nim udał się stary sługa.

— Jakże to? — spytał — zbiegła? Dokąd, kiedy?

— Wczora, po zachodzie słońca.

— Aza nie wiedziała, że przyjdziecie po nią?

— I właśnie dlatego zbiegła.

— Czy to możliwe? — zdziwił się Salomon — kobieta ucieka od złota i drogich kamieni? Aza świat się kończy?!

— Powiadała mi jej matka — zaczął Salem — że naniec zdały się namowy i groźby. Uparła się. Chce, powiada, wolności. Tam grób, a ja pragnę wolności.

— Salem, nie do wiary! wzgardziła mojem bogactwem.

— To szalona, zapomnij o niej, królu.

Ale Salomon biegł po komnacie jak raniony lew.

— Zapomnieć? Jakże zapomnieć, kiedy widział źródło ogrodne, zdroj wód żywych, które płyną z Li-

banu? Zapomnieć, głupcze, a jako żyć będę bez grona cyprowego z winnic Engady?

— Królu, osiemdziesiąt masz dziewic, jedna piękniejsza od drugiej!

— A ta właśnie piękniejsza od najpiękniejszych.

— Bo jej nie masz — roześmiał się Salem, ale widząc boleść króla, dodał: — Tedy każ ją sprowadzić, niechaj przeszukają Jeruzalem, obsadzą bramy!

— Zali siłą mam brać, czego mi po dobroci odmawia? Ja — Salomon, ja — król?

— Więc niechaj zamrze z głodu i pragnienia — zaklął Salem i chciał odejść, ale Salomon zatrzymał go.

— Słysz, ona najpiękniejsza, najcnotliwsza!... Wszystkie inne kupne są, niewiele więcej warte od rzemyka przy sandale. Jakże będę żył bez Sulamith? Wybudowałem sobie pałac z drzewa libańskiego, słupy jego złote, podniebienie szarłatne, a mówiąc, że wewnątrz usłane miłością cór jerozolimskich!...

— Prawdę mówią, panie.

— Kłamstwo, Salem — wewnątrz na złotym ko-biercu leży serce twego króla i płacze... Płacze za Sulamith.

— Pocieszysz się — szeptał wierny sługa — kobiety podobne są do siebie, jak fale morza. Szumią, szumią, a w szumie tym jeno pustka i chłód...

.

Nie pocieszył się i nie zapomniał. A więc, mimo nakazu rozumu, polecił rzezańcom śledzić dom Chalil i krążyć po ścieżkach, które pasterze gnali owce.

Upłynęły długie dni bez wieści, i Salomon przybladł.
„Chorzeje mi dusza — myślał — nanic zdadzą się leki,
nanic mądre księgi“, aż przyszedł dzień, kiedy kazał
zamurować drzwi do nałożnic.

Nocami chodził po komnacie blady jak widmo,
siadywał przy oknie i patrzył w gwiazdy.

I tworzył pieśń:*)

„O, jakaś ty piękna, przyjaciółko moja, o jakaś
ty piękna. Oczy twoje, jako oczy gołębiczy między
kędzierzami twemi; włosy twoje jako trzoda kóz, które
widać na górze Gadaad;

„zęby twoje jako stado owiec jednakich, gdy
wychodzą z kąpieli, z których każda miewa po dwojgu,
a niepłodnej nie masz między niemi;

„wargi twoje jako sznur karmazynu, a wymowa
twoja wdzięczna;

„szyja twoja jako wieża Dawidowa, obie piersi
twoje jako sarnie bliźnięta, które pasą się między
liljami.“

Za oknami pałacu była noc. Tajemna i cicha.
Tęsknoto, tęsknoto... Gdzie twój kres?

.

Czy wysłuchał go Bóg, Bóg Dawida, ojca jego?
A może złe moce, które płodziła Astarte. Ujrzał ją,
ujrzał Sulamith!...

A była to godzina spoczynku, kiedy już wszystkie
drzwi zamykają się na zawory, i w każdej chacie

*) Pieśń nad pieśniami.

zasiada uboga rodzina do posiłku. Garncarze, wozowodzy, poganiacze mułów. Ci wszyscy szczęśliwcy, którzy nie są królami. Mają dużo dzieci i jedną miłość. I modlą się Bogu gromów i zliczają swoje grzechy, i biją się w piersi. W taką godzinę nawiedza człowieka smutek, i staje się mały we wszechświecie. Król Salomon, samotny i bezwolny, kroczył po ścieżkach swojego ogrodu, wpatrzony w niebo. W taką noc ojciec jego śpiewał ongiś hymn Jehowie:

„Wyrwij mnie, Panie, od człowieka złego, od męża okrutnego strzeż mię“ *)

(Straszne są ciemności, król nocy narzuca na króla dnia kir grobowy),

„którzy myślą złe rzeczy w sercu, a na każdy dzień zbierają się na wojnę“

(prawdą jest, że wojna zależy od władcy, ale czy nienajbardziej boi się on śmierci?);

„hardzi na mnie zastawili sidło i powrozy, rozciągnęli sieci przy ścieżce, a sidła swe zastawili na mnie. Sela“.

Co to? Jakiś cień miga przed kratami, gdzie mury rozdzielają się. Zali to zły człek, czyhający na życie króla?

Już chciał zawrócić i wezwać straż, ale jakaś siła tajemna przywiodła go do miejsca, skąd słychać było tupot stóp ludzkich. Zaczaił się tuż, blisko, i pa-trzał... Była to postać niewieścia odziana w płaszcz, dziwny płaszcz, tak znany Salomonowi...

*) Psalmy Dawidowe,

— Sulamith — szepnął tuż przy kratkach — Sulamith...

Postać oderwała się od muru i usiłowała biec. Z głębi zaciśniętych rozpaczą ust wybiegło błaganie:

— To ja, Salomon...

Dziewczyna zatrzymała się i oparła o mur.

— To ja, Sulamith...

Zapanowała cisza tak wielka, że słyszeć było mowę gwiazd.

— Jakże to—szeptał król—w noc cichą i straszną ty sama mkiesz podle murów pałacu mojego? Ty, któraś mogła wniknąć do niego i panować nad sercem mojem?

Odezwało się łkanie niewieście i głos:

— Nie chciałam, panie.

Wówczas góra bólu rozpadła się, i buchnął z niej ogień rozpaczy.

— Nie chciałaś, Sulamith, czemu? Azali źle jest moim lubym w murach pałacu? Słyszano kiedy, żeby płakały? Azali nie słowa miłości brzęczą jak pszczoły w ogrodach Salomona?

— Nie chciałam być jedną z lubych — odpowiedział cichy głos — nie chciałam wraz z innemi śpiewać o miłości.

— Nie jestem ci miły, Sulamith — szepnął z wyrzutem.

Wówczas, przyłożywszy głowę do krat, zaczęła mówić śpiewnym głosem:*)

*) Pieśń nad pieśniami.

„Miły mój wstąpił do ogrodu swego między zagonki ziół wonnych, aby paść w ogrodach i żeby zbierał lilje;

„jam jest miłego mego, a miły mój jest mój, który pasie między liljami“.

I odpowiedział jej:

„Pięknaś ty jako Tersa, pięknaś jako Jeruzalem;

„tyś jest jak zorza, cudna jako miesiąc, czysta jak słońce, ogromna jak wojsko;

„nawróć się do mnie, Sulamitko, nawróć się, niech na cię patrzę. Wnijdź do mojego ogrodu“.

I odrzekła:

„Nie wnijdę do twego ogrodu, bowiem tam dziesiątki takich nałożnic i żon powiadają ci o miłości;

„jam jest wolna jak wichr, i będę szumieć ci jak wichr pod oknami twojego pałacu;

„siądziesz, królu mój, po dniu znojnym przy oknie, a za nim wichr będzie szumieć i śpiewać o Sulamith, błędzącej nocą pod murami pałacu...“

Ucichł głos i słyszać było tupot stóp.

Odchodziła.

— Sulamith — wołał król, wyciągając ręce i krwawiąc je o kraty — Sulamith, wróć!!...

.

Nie wróciła tej nocy, ani następnej. Salomon szalał. Obiecał nagrodę za schwytanie dziewczki, błędzącej nocą pod murami ogrodu. Potem, pełen oburzenia na siebie i wstydu, zaniechał rozkazu.

Potworne były noce. Przez rozwarte okna płynęły zapachy róż, szafranu i kasji. Płakały owce głosem ludzkim, jęczała ziemia od tupotu niewidzialnych stóp, z ciemności szły ból i zatracenie.

Salomon chwycił lutnię i tworzył, tworzył coraz nowe pieśni.

Oszalały z tęsknoty, śpiewał je głośno w ciszy nocnej, wzywał Boga na ratunek; bluźnił, obiecując świątynię sydońskiemu bóstwu.

I raz usłyszał za murem cichy głos, tak cichy, że usłyszeć go mogło tylko jego serce.

Wyszedł chyłkiem do ogrodu, wspiął się na mur i patrzył w ciemność.

— Owom ja — rzekła z prostotą Sulamith.

I ujawszy mocno jego dłoń, oparła się na niej.

Cały świat zakręcił się przed oczyma Salomona... Miał ją na swoich piersiach, pełną zapachu ziół leśnych. Spoczywali obok siebie na murawie i milczeli. (Czasami głos zamiera w gardle, głuży go bicie serca.)

Azali tej nocy, na którą czekał tak długo, nie zawoła król Salomon straży i nie każe zanieść oporną do łożnicy? Bywało, że kazał smagać, a potem całował szkarłatne od krwi ramiona...

Cisza sadu, cisza w obłokach, cisza w sercach rozmiłowanych.

Król Salomon nie zawołał straży, boć nie można smagać własnej Tęsknoty.

.

Tak przychodziła co noc i co noc poila go sobą.
Mówiła:

„Przyłóż mię jako pieczęć na serce swoje, jako sygnet do ramienia swego, albowiem miłość mocna jest jak śmierć, twarda jak grób, zawistna miłość;

„śpij przy mnie, przysięgam was, córki jerozolimskie, abyście nie budziły, ani przerywały snu miłego mego, dokąd nie zechce;

„miły mój cudniejszy i zacniejszy od tysięcy innych; głowa jego jako bryła szczerzego złota, włosy jego kędzierzawe, czarne jako kruk;

„ręce jego jako pierścienie złote, brzuch jego jako biel kości słoniowej, sadzonej szafirem;

„usta jego słodkie, a wszystek pożądany. Po-przysięgam was, córki jerozolimskie, jeślibyście znalazły miłego mego, powiedzcie mu, żem zachorowała z miłości...”

I napoiwszy go sobą, odchodziła cicho niezatrzymywana, bowiem Salomon przeczuwał, że wróci, jak powraca do serca Tęsknota.

.
.

Ale pewnej nocy nie wróciła. Nie wróciła następnej i nie wróciła nigdy. Nikt nie wiedział, dokąd poszła. Matka jej mówiła, że uciekła, córki jerozolimskie — że umarła z miłości.

Król Salomon oczekiwał ją długie miesiące, długie lata. Do końca dni swoich, pełnych chwały.

I dopiero przed śmiercią, syt życia, widząc całą jego marność nad marnościami, zrozumiał, że Sulamith żywej nie było nigdy.

Wyobraział ją, wyśpiewał, wysnuł z marzeń i wieczystej tęsknoty!...

J U D Y T H

...Niech pojman będzie sidłem oczu
swoich na mnie, a porazisz go ustami
łagodności mojej...

Księga Judyth IX. 13.

Był sabbath, i Judyth oczekiwała Manasse. Przybrała się we wzorzysty simlah, a na uszy nałożyła agile z agatu, ciemne jak jej oczy, na ramiona — manele ze złota, przetykane kamieniami. Usiadła na przyźbie — i czekała.

Była godzina zachodu słońca, i miasto Betulja gorzało w purpurze. Stamtąd przybywał pieszo każdego sabbathu oblubieniec. Judyth, przymrużywszy oczy, powtarzała w myśli powitanie. Zawsze było jednakie. Manasse zapytywał o chorą jej matkę, Merari, o interesy ojca, i wchodził do izby gościnnej. Nie rozmawiali sami, bowiem nie było to w zwyczaju.

Judyth wzywała matkę, siadywali we troje, milcząc. Ojciec całe dnie spędzał w Betulji, handlując z kupcami, którym pożyczzał pieniądze, a ponieważ był gościem w domu, nikt na niego nie czekał. Merari, ledwo włącząc nogami, wołała służebną. Na stole pojawiały się placki z miodem, kołaczki nadziewane migdałami i wino.

Manasse odprawiał krótkie modły, poczem zabierał się do jedzenia. Jadł długo, ze smakiem i mla-skał głośno językiem. Merari uśmiechała się z zado-woleniem i rozpytywała kupca o interesy. Opowiadał półsłówkami, pił wino z daktyli i spoglądał pobłażli-wie na Judythę.

Czasami, po uczcie, wydobywał z sakwy poda-rek — błyskotliwy kamyk lub złote świecidło — i z po-wagą kładł go na stół, wskazując uprzejmym ruchem Judycie.

Wówczas Merari uśmiechała się z zachwytem bezzębnymi wargami i, cmokając, wręczała podarek córce. Judyth, milcząc, przymierzała świecidła, a wów-czas Manasse chętnie wymieniał ich wartość.

Takim był Manasse, przyszły małżonek Judyth, któremu miała przysiąc wierność do końca dni.

Słońce zaszło za szczyt Gelboe, a on nie przy-bywał. Czy Judyth tęskniła?...

...o, sny dziewczęce, które jawicie się jak gołę-bie i odlatujecie, pozostawiając białą smugę tęsknot;

...dokąd płyniecie, jasne dymy, spowijające do-linę Gelboe rosistą mgłą?

...czy zachód słońca jest zachodem cierpiącego serca, które nie obudzi się nigdy?

...obudzi się słońce, skoro świt, lecz serce pozo-stanie umarłe.

.

— Judyth...

— Czego chcesz, Holosie?

- Zali pan mój wrócił?
- Pan twój pozostanie na noc w Betulji.
- A matka twoja, Merari?
- Chorzeje i nie wyjdzie z komnaty.
- Pójdź ze mną do śpichrza.
- Idź sam.
- Sługa nie otwiera śpichrza bez pana.

Judyth odwróciła się znudzona.

- Czekasz na Manasse? — zaśmiał się chłopak.

Judyth spojrzała na niego z błyskiem gniewu.

- Od kiedy to służa śmie się dopytywać, co czyni pani?

— Zali służa nie człowiek — odpowiedział hardo — wy jeno macie prawo zaglądać nam w żołądki i serca?

Odszedł, dławiąc w sobie głos, który nabrał ostrości. Judyth spoglądała na niego bez gniewu, uśmiechając się. Myślała: „Jesteś młody, piękny i pożerasz mnie oczyma. Gdyby nie to, żem córą Goleha i Merari z pokolenia Symeon, a ty — pohaniec asyryjski — zległabym przy tobie. Silny jesteś i całujesz jak płomień“.

Roześmiała się.

Holos odwrócił się, a mniemając, iż z niego szydzi, pobiegł pędem na podwórzec. A tymczasem rozbłysła pierwsza gwiazda, i nareszcie wrażliwe ucho Judythy rozeznało miarowy tupot muła.

Jakoż na zbocz ukazał się Manasse, prowadząc juczne zwierzę. Judyth pomyślała, że Manasse przywozi tym razem znaczniejsze dary, i serce jej urado-

wało się. Z mniejszą odrazą myślała o swoim oblubieńcu. Toć tego związku zazdrości jej cała Betulja. Manasse jest bardzo bogaty, posiada liczne stada, a w lochach — ogromne skarby. Będzie jej dobrze z tym dużym, otyłym człowiekiem, który milczy i rozważa. Rozważa, jakby powiększyć skarby, z których oboje będą korzystali.

Judyth pod wpływem tych myśli wstała i poszła naprzeciw oblubieńcowi.

A on zatrzymał muła i pospołu ze sługą zdejmował toboły, w których znajdowały się podarki dla Judyth...

.

Holos bez istotnej potrzeby prosił Judythę o obecność w śpichrzu. Była to tylko wymówka, pragnął z nią być sam i zbliżyć się do niej w oczy. Zdarzało się to nieczęsto. W ciągu wielu lat zaledwie dwa razy byli sami: raz przy studni, kiedy zachorowała służka, drugi — w sadzie palmowym, gdzie zrywali daktyle. Goleh potrzebował towaru i przysłał gońca z Betulji. Holos nie chciał, żeby posądzono go o kradzież owocu, Merari jak zawsze, spoczywała w izbie. Poszli we dwoje w on sad i zakrył ich cień. Był niezwykle gorący dzień, nie czuli tego. Szedł zapach pistacji, i była w powietrzu leniwość dosytu.

Holos wspinał się na palmy, a ona spoglądała na jego zwinne nogi, żyłaste ramiona i głowę dzikiego ptaka. Zaczęła nucić. Odpowiedział jej głos chłopaka. Złościło ją, że zna tę pieśń, którą śpiewają córki moż-

nych w Izraelu. Miał głos męski, piękny. Dostrajali się. Pieśń była o boskiej mocy Jehowy, chwaliła pioruny i gromy, a potem wielbiła miłość kochanków wśród skał, zawieszonych pod niebem.

W pewnej chwili Judyth przestała śpiewać, zagórował głos Holosa. Wsłuchiwała się z tajoną rozkoszą. W pieśni chłopca rozgorzał ogień, który obejmuje jestestwo, spala je i spopiela — poto, aby wystrzelić pod obłoki — i porwać. Zapragnęła zobaczyć jego twarz, wtuloną w rosochę palm, twarz dzikiego ptaka, który tu przybył z za gór do cichego domku pod Betulją.

— Holosie — zawołała — zejść i pomóż mi!

Kiedy ze zwinnością wiewiórki ześlizgnął się na ziemię, nagle oczy ich spotkały się i zamarły w sobie. Gdzie im tam było do zbierania! Stali i wpatrywali się w siebie — a ona, pragnąc onej chwili roześmiać się złym śmiechem, pochyliła głowę i spoglądała z zakłopotaniem na piasek.

— Pocoś mnie wzywała? — spytał zuchwale chłopak.

Pomimo chęci milczała. Holos ujął jej dłoń i spojrział w oczy, a widząc martwość na jej twarzy, począł mówić cichym głosem:

— Judyth, o Judyth, jak słodko szumią palmy, i z sadów płynie zapach róż... Cichość rozplynęła się smugą po niebie i oplotła nas błogością. Dzięki ci, Judyth, żeś niemowna i smutna.

— Zawszem jednaka — odpowiedziała, wyrывая dłoń.

— Nieprawda, Judyth, oczy twoje na codzień
płoną jak karbunkuły, a na ustach igra zły uśmiech.
Śmiejesz się z ludzi, którzy są rabami.

— Śmieję się z śmiesznych.

— Zali śmiesznym jest orzeł, schwytyany w sidła,
że polował na gołębicę?

— Chciał ją pożreć, niech ginie.

— Chciał ją miłować, niech żywie.

Nagle opanowała się.

— Do pracy — rzekła wyniośle — przed wie-
czorem napełnij kosze owocem.

.

Takie było ich drugie spotkanie.

Holos, wspominając je, doznawał zarazem trwogi
i rozkoszy. Czy zrozumiała jego mowę, gorącą jak
krew, i milczenie głośniejsze nad krzyk wyzwania?
Od tego czasu spoglądała na sługę z uśmiechem
drwiącym, od którego Holosowi zamierał oddech,
a dłoń zaciskała się, jakby trzymał w niej rękojeść
miecza.

— Porwać — myślał — w taką noc cichą i upoj-
ną, krzyczącą głosami wszystkich potępieńców. Por-
wać i utulić ramionami silnemi, jak konary dębów!

A kiedy, jakby w odpowiedzi na tę myśl, ka-
zała mu głosem drwiącym wyrzucać mierzwę z pod-
wórca — krzyczał do siebie:

— Zabić, zabić w jasny dzień, pławiący się
w słońcu, i — niechaj cały świat zapadnie się w kró-
lestwo Eal

To znów, w ciszy swojej komory, szeptał:

— Czego chcesz, rabie? czemu to ma cię miłować ta najpiękniejsza z pięknych, a tak cudna jak róża rosnąca w Hebronie? Żeś niewolnik i najuboższy z jej sług! Aza jednym słowem mówiła ci o miłości? Więc jakie masz do niej prawo?

I zaciskał pięści, a spoczywający pobok — Mirem, zwany głuptakiem, zrywał się z krzykiem i zapytywał:

— Co się stało, Holosie? czy zgubiłeś srebrne blaszki?

— Zgubiłem serce dumne i krwawiące.

— Czy ludzie z Asyrii posiadają serca? — pytał chłopak, nie mając zamiaru dotknąć przyjaciela.

— Głupcze, czy mają serca? Nasza bogini Istar ma tysiąc serc i przez swoje kapłanki poi nimi wszystkich żądnych. Wasz bóg jest bogiem zemsty, a moi bogowie — bogami rozkoszy.

— To czemu nie wracasz do Asyrii?

— Tu mnie rzucił los, zły los... Może odejdę stąd, ale wrócę potężny, jak wojsko Ea-bani.

Mirem śmiał się, aż rozlegało się w komorze.

— A mnie zaprosisz na dowódcę! Och, powiadają ludzie, że Mirem nie ma rozumu. Postokroć brak go Holosowi.

Już zamierzył się, ażeby ukarać śmiałka, ale żal mu było tej baniastej głowy.

Wyszedł przed komorę i spoglądał z rozpaczą w niebo.

.

Manasse istotnie tym razem przywoził obfite dary. Były to piękne tkaniny z Fenicji, błękitne przetykane złotem szklane paciorki, jakie nosiły kobiety z nad Tygrysu.

Wręczywszy je własnoręcznie oczarowanej dziewczynie, rzekł:

— Judyth, zbliża się dzień naszego ślubu.

Jakby grom uderzył z nieba. Pobladła i skłoniła się do stóp panu. A on mówił, odmierzając wyrazy jak krople deszczu:

— Z rodzicielami rozmówiłem się, oni mi cię oddają na własność, a ja cię biorę. Bóg mi świadkiem, że nie wiedzą, ile zyskuje zubożały ród Symeona przez taki związek. Ale Manasse nie zrywa danego słowa. Raduj się, Judyth, albowiem za miesiąc zostaniesz moją małżonką.

Judytha nie odpowiadała.

Kiedy ludzie z Soreh w jesienne wieczory obiadają stół gościnny i zaczęli snuć klechdy o śmierci — drżenie ogarnia słuchaczy. Lecz, jaką radość odczuwała zawsze Judyth, że po wysłuchaniu tych baśni żyła! Aż oto opowieść o śmierci stała się prawdą. Manasse zapowiedział rychłe zaślubiny.

...hej, wianku liljowy, spadnij z głowy dziewicy;

...rozerwijcie biały simlah i padnijcie na kolana;

...płacz, płacz, oko niewinności, oko nienasyconej tęsknoty!

.
.

Manasse spoglądał zdumiony na pochyloną dziewczynę i nie mógł doszukać się w niej radości. Azali ta dziewczyna nie ma rozumu, azali nie widzi szczęścia, jakie spada na ich dom?

— Judyth — przemówił z wyrzutem — aza nie zdajesz sobie sprawy, że żona Manasse z Betulji równą się stanie Ozjaszom? Do stóp powinnaś paść panu swemu, który posiada najbogatsze stada owiec, tabuny bydła i złote talenty? Wszystkie dziewice z Betulji stoczy czerw zazdrości, kiedy dowiedzą się o twojem wielkiem szczęściu — a ty milczysz?

Gniew na te słowa wezbrał w dumnem sercu Judyth; już chciała wybuchnąć jak płomień, gdy nagle rozwarły się dźwierze i wszedł Goleh, rodzic jej, a wraz z nim kupcy nieznani.

— Manasse — zawołał Goleh, rozwierając ramiona — niech będzie błogosławiony Adonaj, że oglądam cię w zdrowiu. Jesteście sami — dodał jowialnie — a więc słowo, któreś miał powiedzieć mojej córce, śnać zostało już wyrzeczone?...

— Zaprawdę — odpowiedział Manasse — obiecałem Judyth, że będzie moją małżonką i najbogatszą niewiastą w Betulji.

Dwaj nieznani kupcy spojrzeli na siebie z zadowoleniem, że oto przytomni są i oglądają „najbogatszą niewiastę w Betulji“.

— Aniołowie cieszą się takiej chwili — powiedział dwornie jeden z nich, imieniem Sahem. — Kiedy złoto idzie do złota, raduje się cała ziemia Hewilu.

— Niechaj szczęście nie wychodzi z tego do-

mu — dorzucił drugi, zwany Taleh — a położywszy na stół worek, który nosił na ramieniu, rzekł:

— Niechaj Judyth z królewskiego plemienia Symeon, córka mojego przyjaciela, wybiera sobie podarek!

Z worka posypały się cudności: tkaniny syryjskie, kamienie z Fenicji, małe mieczyki z Damaszku.

— Wybieraj, córko Goleha i Merari — chęłpił się Taleh — a ty, Manasse, pamiętaj, że ja ci pierwszy życzył radosnych dni i mnogich synów!

Judyth zarumieniona podeszła do stołu, a mężowie obstąpili ją i z uśmiechem spoglądali, jaki zaś przedmiot wybierze.

Tedy z oczyma płonącymi jak karbunkuly, a wargami zaciśniętymi jak dźwierz do lochu ze skarbami, wydobyła z mnóstwa świecideł i cudności krótki miecz damasceński i rzekła:

— Ten mi dawaj, kupcze, bowiem błyszczący jak złoto i można nim pchnąć w ciemności!

.

Onego dnia Goleh nakazał Judycie obrządki domowe. Merari bez przerwy słabowała, a tu do zaślubin niedaleko. Tedy z pomocą Holosa wygnać ma stada, a służba niechaj przygotowuje izby, wymości łoża i naznosi ziół pachnących. Zrazu sprzeciwiła się, jako że córce możnych nie przystoi wypędzać trzód, ale potem... uśmiechnęła się i, wyszedłszy na podwórze, przywołała Holosa.

Był dzień zgrzewny, i ziemia topiła się z nadmiaru gorąca. Bydło opuściło łby i jak senne szło do

dolin. Za niem kroczyli: Judyth w lekkiej jak obłok szacie i sługa prawie nagi, z opaską na biodrach. Nie mówili do siebie nic, bowiem gorąc odbiera chęć do rozmowy, a przytem Judyth postanowiła wytrwać. Tedy szli, uginając się pod brzemieniem swoich uraz.

Dopiero w dolinie, kiedy już cedry czyniły cień, i rozległ się podźwiew chorałów ptaszęcych, oczy ich zaczęły szukać się, podziwiać i złorzeczyć. Holos, w skrach słońca, z brązową skórą, smukły, a zarazem rozłożysty, czynił wrażenie boga, — Judyth, pomimo woli, obejmowała go pożądliwym spojrzeniem.

Naraz, kiedy zbliżyli się do potoku, rzuciła rozkaz:

— Przenieś mnie!

Zawisła mu na szyi, zaciężyła jak chmura gradowa. A wpatrując się w bronz, przetykany niebieskim splotem żył, miała chęć zatopić w nie zęby i gryźć. Holos niósł ją powoli, jak niesie się wielki skarb i własną dolę.

Za potokiem zieleniły się trawy. Rozsypane na nich owce wyglądały jak stokrocie. Usiedli na wzgórzu i spoglądali na dolinę pełną kwiecica i słońca.

— Ostatni raz pasę tu trzody — rzekła jakby do siebie Judyth.

Holos spojrział na nią z rozpaczą.

— Ostatni raz — powtórzył.

— Ostatni raz — ciągnęła Judyth, wpatrzona w bezkres doliny — kładłam na siebie białą szatkę pasterki...

— Ostatni raz — jęknął chłopak — o, Judyth!...

— Ostatni raz oglądam tę dolinę...

— Czy nie będziesz tu przychodziła, Judyth? — spytał cicho.

— Manasse namawia ojca, ażeby sprzedał tę zagrodę i zamieszkał z nami w Betulji.

— Sprzedacie tę ziemię, którą ja orałem?

— Jeżeli ojcu dadzą za nią dużo złotych monet...

— Ach, przekłete złoto — wybuchnął.

Judyth obruszyła się.

— Głupcze, ono jest taką potęgą, że za nie możesz kupić, czego zechcesz. Nie dziwota, że ty, rab lichy, nie rozumiesz się na jego wartości.

— Przeklinam je, bo nie posiadam — rzekł smutnie Holos.

— Burza idzie — szepnęła sennie Judyth.

Nazbierał traw i ułożył je pod głową dziewczynie; spoczęła, patrząc w niebo.

A Holos zaczął mówić:

— W ojczyźnie mojej, gdzie jest wesoło i rojno od rozkosznych bogów i bogiń, powiadają, że złoto może znaleźć każdy, który potrafi niezłomnie chcieć. A chcieć — to znaczy móc. A może ten, który posiada wielką siłę pożądania. Mniemam, że osiągnę to, czego zapragnę, i będę bogaczem.

— Ty? — roześmiała się Judyth.

— Ja, bowiem mam w sobie moc, która pożąda i która sprowadza na ziemię złoto!...

Miał w sobie taką siłę, że śmiech zamarł jej na ustach. Wpatrywała się w tego niewolnika i ogarnął ją dziw wielki, a zarazem przerażenie. „Kiedy rumak

zrozumie swoją siłę — myślała — zabije natychmiast człowieka". Ale nie chcąc dać poznać po sobie trwogi, rzekła niedbale:

— Dobrze więc, będziesz bogaczem, ale tymczasem zagoń owce do gromady.

Holos odszedł, i za chwilę mogła przyglądać się jego strzelistym nogom, ślizgającym się po upłazach. I nagle ogarnął ją dziwny smutek i przecucie zła. Wpatrywała się w niebo, a widziała na niem obłoki, kształtujące się dziwacznie: nito figury, nito wieżyce, nito miecze, zwisające nad głowami... I jakieś wojska nieznane, sunące w mgławicy skier słonecznych, czy też błyskawic. Zdawało jej się, że jest królową, a że te wojska idą jej naprzeciw, ażeby obwołać zwycięstwo i uczynić ją tak potężną jak świat. Naraz z tych chmur wyłoniło się światło, a zaczem wóz ognisty, na którym jechał młodzian z głową dzikiego ptaka. I dziw nad dziwy! w nieznanym Judytha poznała Holosa...

— Bronić się — przemknęła myśl, lotna jak wicher.

Ale — za późno! chwytają ją ramiona mocne jak konary dębów, a słodkie jak struny lutni. Nie może się im oprzeć, porywają ją i dławią. A wargi zamyka obręcz żelazna, a miękka jak ze złotego lnu.

Obudziła się. Nad nią stał Holos, dysząc ciężko, z warg jego sączyły się krople krwi.

— Gryziesz, mała lwico — szeptał — gryziesz przez sen...

Zerwała się jak szalona. Co się to stało? Ten niewolnik, modlący się do Astarty i wzywający na

pomoc wszystkie szejtany świata, śmiał całować ją, Judyth, z plemienia Symeonala... Azali niebo nie zapłonie tysiącem błyskawic i nie zapadnie się ziemia?

— Umiłowana — mówił, klękając obok niej młodzieniec — jam ci jest ów czarownik, sprowadzający ze słońca złoto. Na potęgę Ea ci przysięgam! — uczynię cię szczęśliwszą nad wszystkie niewiasty ziemi. Jam jest syn słońcal...

— Spędź bydło — krzyczała Judyth — spędź bydło, wracamy do zagrody!

Pobiegła przed stadem, z rozwianym włosiem, zskarłatem na obliczu od całunków, jakby tknięta trądem.

Za nią szedł zwolna Holos ze spuszczoną głową...

.....

Jeszcze tej nocy Goleh uczynił sąd nad sługą. Chłosta i wygnanie.

Rankiem, okrwawiony, w obszarpanej szacie, z przepaską na biodrach i sznurem w ręku odchodził w pustynię.

Na skraju wzgórza Gelboe odwrócił się i pogroził w stronę zagrody, jakby chciał powiedzieć: „Wróć”.

Z opłotków biegły za nim ukryte oczy, ciemne jak agat, oczy mściwe i rozkochane.

.....

Żyli z sobą siódmy rok i nie mieli potomstwa.

Daremnie Manasse składał ofiary najwyższemu kapłanowi Eliachimowi, daremnie ufundował w świątyni dzwierzę srebrną z Zarsu. A kiedy mówił o tem

rozżalony małżonce, Judyth—śmiała się. Jakoż śmiech nie schodził z jej oblicza, śmiech drwiący, gorszy od płaczu. Manasse, rozgoryczony tą obojętnością, zaczął stronić od małżonki.

I tak wiedli obok siebie żywot nito dwa drzewa uschnięte, skazane na zagładę...

Judyth pozornie pełniła bez zarzutu obowiązki żony bogacza. Więc ubierała się dostatnio, czas spędzała na modłach, hojną dłońią rozdawała jałmużnę. Patrząc na jej postać wyniosłą, ponad wiek poważną, nikt nie domyślałby się czerwia, który toczył jej duszę...

I tylko nocami stawiała się sobą. Wówczas drwiący grymas schodził z bladego oblicza, a narastał na niem cień zadumy. Usta zaciśnięte zionęły złorzeczenia, zaś wzrok utkwiony w łożnicę płonął nienawiścią. Pod tym wzrokiem wił się we śnie nieszczęsny Manasse, trawion wszystkimi mękami piekła.

A ona, upewniwszy się, że pan jej i władca pograżon we śnie, schodziła z łoża i siadała przed zwierciadłem. Płonąca lampka oliwna rzucała żółty odbłask na taflę srebrną, i Judyth dokładnie oglądała swoje oblicze. Była jeszcze piękną, zwodniczo piękną, o wiele piękniejszą, aniżeli dawniej. Oczy jej nabrały przeraźliwego smętku; wydłużone i wilgotne, zdawały się płakać, pomimo uśmiechu na twarzy. Jej usta były wąskie i zacięte, jakgdyby wzbraniały dostępu głosowi, domagającemu się rozkoszy. W ramionach jej, wzniesionych jak wieżyce, czytałeś bezustanne zdumienie, dłonie smukłe i przezroczyste jak perły lada chwila miały się zawrzeć w splocie pełnym bóleści.

— Piękna jestem — mówiła, obnażając się — piękna, lecz dla kogo?

W ciemni olbrzymiej łożnicy, wysłanej kobiercami, padło to słowo jak grom:

— Dla kogo?

W pewnej chwili spojrzała na rozsiane bogactwo, i duma posiadania rozsadzała jej łono.

— To moje, wszystko moje...

A potem, padłszy na kobierce, pytała z tajonym krzykiem:

— Azam szczęśliwa z tem bogactwem?

I jakiś cień, przyrosły jak mech do jej duszy, szeptał:

— Nie jesteś szczęśliwą, Judyth, bowiem oczy twoje widziały syna słońca, którego potrafi złoto ściągnąć z nieba. Złoto, które ty posiadasz, Judyth, cięży ci jak kamienie, a jego — lekkie jak wietrzyk, płynący po dolinie.

I naraz łzy i boleść wytrysły potokiem z jej ust umęczonych.

— Czemuż więc ujrzały moje oczy syna słońca, i uszy moje usłyszały mowę tak słodką jak miód, a tak piorunną jak ryk lwa? Aza nielepiej było oślepnąć i ogłuchnąć, zanim ujrzałam syna słońca?

Świt kładł na nią blade ręce, a Manasse, widząc ją śpiącą na kobiercu z mieczem w ręce, szeptał ze strachem i obrzydzeniem:

— Nieczysta.

: * : * : * : * : * : * : * : *

Szły lata...

Codziennie wstawało słońce, codziennie gasło,
budziły się złociste rozświty.

Codziennie ludzie rodzili się i umierali.

Gwiazdy dokonywały obrotów.

Uśmiechy radości gasiły łyzy rozpaczy.

Szły lata.

Niejedno drzewo, złamane wichrem, konało w zapomnieniu.

Ogromne bryły kamieni przetaczały z miejsca na miejsce nieznane moce.

Człowiek coraz bardziej nienawidził człowieka.

Kochankowie zapominali o sobie.

Lata, lata...

O, wy, niewidzialne skrzydła Śmierci i balsamy
Zapomnienia!...

.
.

Wojska Nabuchodonozora szły przez Mezopotamję, przez Syrię i Cylicję — do ziemi Izrael.

Słusznie głosiły stare księgi Judy, że Bóg odwracał się od Izraela wonczas, kiedy on odwracał się od Boga.

Dumni ze swoich bogactw, skamieniały dla nędzy, dufny w opiekę Jehowy — lud Izraela odchodził coraz bardziej od przykazań Synajowych. Małoż mu było złota, małoż dostatków, małoż Boga jedyne go?

Odwrócił się od ludu wybranego Adonaj i postanowił go ukarać mieczem wroga.

Tedy szły wojska króla asyryjskiego, jakich nie widziała nigdy ziemia judzka. Sto i dwadzieścia tysięcy pieszych, dwanaście tysięcy łuczników, olbrzymie stada bydła zaległy przełęczę Ange. Zburzyły te wojska twierdze, zdobyły miasto Melothę, złupiły syny Tharsys, i syny Ismael, i ziemię Cellonu...

W Damaszku spalili wszystkie zboża, upokorzyli królów Syrii, Sabal, Libji, Cylicji.

Powiadano, że król Nabu kazał wygubić wszystkie bogi ziemskie, ażeby sam mógł zostać bogiem.

A prowadził te wojska straszliwe niektóry wódz, imieniem Holofernes, człek-olbrzym, o oczach ciskających pioruny, o brodzie złocistej jak słońce.

Gdzie się zjawił, grały mu muzyki, i padały grody, a do stóp jego znoszono łupy, a niewiasty straszły imieniem jego pacholęta.

Był olbrzymi, a serce ponoć miał dziecięce, i śmiał się do ludzi, żądając od nich śmierci.

Modlił się do dobrej bogini Astarte, a wszystkie demony, z Utukiem i Ghikiem na czele, miał do pomocy na każde wezwanie.

Lubił kobiety, pił wino do utraty tchu i przepadał za dźwiękiem cyter.

Podczas znojných pochodów znajdował czas na polowania i, odbiegawszy wojsko, zapuszczał się sam w pustynię. Tu, napotkawszy raz lwa, ubił go, a potem kazał pisarzowi taką tablicę wyryć na miejscu zapasów:

„Ja, Holofernes, wódz asyryjski, zmierzyłem się ze lwem, wziętem go za uszy, wzywając Asura i Istar, i przebiłem lwa pchnięciem swojej dzidy. Oto ja, Holofernes, schwytałem lwa za ogon, i z pomocą Nergala i Adhara, boskich sprzymierzeńców, rozplątałem mu mózg. Oto ja, Holofernes, to uczynilem.”

I tylko czasami ów wódz krwawy zapadał w dziką zadumę... Wówczas przepędzał starszyzną wojskową, wyganiał muzykantów i wpatrzony w niebo — marzył...

Miłował słońce.

Gdyby umiał spisywać swoje słowa, byłby twórcą najcudniejszej pieśni do słońca. Wielbił je za to, że gorzało nieustającym płomieniem, wielbił je, że osuszało łąy, że było piękne i ogromne, że miało w sobie zakłętę skarby złota. Kiedy o zachodzie zbliżało się do horyzontu, mógł je być sciągnąć ostrzem miecza na ziemię i uczynić ją po wieki radosną. Lecz nie wybiła jeszcze godzina, ażeby uczynić świat szczęśliwym.

Żołnierze nazywali go „synem słońca” i oddawali hołd niemal boski.

Wojska posuwały się powoli, kraina była górzysta i pustynna. Nadomiar złego skwar dokuczał tak srogi, że ludzie padali jak rażeni strzałami i — zaprawdę! — gdyby nie urok imienia wodza, wielu z nich uciekłoby. Ale Holofernes nie ustawał w połowie drogi, natomiast przeciwności pchały go naprzód. Pra-

gnął za wszelką cenę pograżyć Izraela, zaś wzięci do niewoli książęta moabicy i amonicy podsycali w nim to pragnienie, opowiadając cuda o sile Judy, wspomaganej rzekomo przez ich Boga.

Holofernes śmiał się z tej „słomianej“ siły: na radzie wojennej skazał jednego na chłostę, drugiego, imieniem Achior, polecił związać i jak barana odstawić pod mury Betulji.

Im bliżej był tego miasta, tem stawał się bardziej srogi. Przełęcz od Anga znaczyły się krwią, doliny Golboe spływały posoką nito rzeki wezbrane na wiosnę.

.

Izrael przygotowywał się na to spotkanie, nieznane w jego dziejach. Kapłan Eliachim nakazał posty i szykował hufce dla obsadzenia gór od Samagi po Jerycho. Wojskom, nielicznym i ogarniętym strachem, dowodzili książęta żydowscy: Ozjasz, syn Micha, z pokolenia Symeon, i Charmi, oraz Gothomel. Lud wzburzony, pomawiając Ozjasza o żywot nieczysty, złorzeczył mu na placach, wołając:

— Tyś winien, iż Adonaj opuścił lud wybrany; tyś winien, śmierć ci i hańba!

Po domach izraelskich czyniono zapasy, bowiem Betulja w one czasy była twierdzą i obawiano się, że będzie obleganą przez wroga.

Kobiety z rodów znaczniejszych odprawiały modły i posty, a między niemi Judyth, córka Merari, rej wiodła.

W szatach wdowich (Manasse zmarł od porażenia słonecznego, siadywała przed domem i w otoczeniu sług oraz wiernej Abry słała Boga i zagrzewała lud do obrony. Twarz jej surowa, jak wykuta z kamienia, była groźna i zarazem spokojna, a spokój ten udzielał się otoczeniu.

Kapłan Eliachim, po uciążliwych dniach pracy, zachodził często do świątobliwej niewiasty i spędzał z nią długie godziny na modłach i naradach.

— Azali naprawdę tak jest źle? — spytała go pewnego razu, kiedy byli sami.

— Że i gorzej być nie może — odpowiedział starzec, z niepokojem oglądając się na wszystkie strony — lud nasz odwykł od wojny. Nabuchodonozor postanowił chyba zetrzeć z powierzchni ziemi lud Izraela. Wódz, którego wysłał na podbój naszej ziemi, okrutny jest i mściwy, a zapowiedział zburzenie Betulji.

— Skąd on jest i jak go zwać?

— Pochodzi ponoć z ziemi judzkiej, więc — gore nam! bowiem zna tu każdy kamień, imię ma Holofernes, a żołnierze asyryjscy nazywają go „synem słońca“.

— Synem słońca — powtórzyła w zamyśleniu Judytha.

— Tak go zwie on lud bałwochwalczy, który kłania się rozpustnej Istar, a wierzy w demony. Zaprawdę powiadam, jedyny jest Bóg nasz, Jahwe Tsabaoth, i w Nim nasza nadzieja, że nie dopuści do zagłady Izraela.

— Syn słońca — szeptała Judyth, jakby nie słysząc słów kapłana — to dziwne. Słońce jest dla mnie znakiem śmierci, zabrało mi męża, a teraz czyha na Betulję.

— Co mówisz, córko?

— Słuchaj, Eliachimie — odezwała się nagle, a głos jej brzmiał surowo — gdyby Asyryjczycy oblegli to miasto, i bracia moi mieli zginąć od głodu i pragnienia, gotowa jestem ocalić Betulję.

— Jak to uczynisz? — spytał ze zdumieniem kapłan.

— Przyjdzie czas, kiedy ci to powiem. Przychodzi czas na świt i noc, na radość i na zemstę.

Nagle za oknem wszczął się tumult. Tuż pod drzwiami Judythy przechodził oddział żołnierzy i prowadził skrepowanego sznurami człowieka.

— Azali to możliwe? — zawołał Eliachim — toć to księżę amonicki, Achior.

Wybiegli oboje na ulicę, i kapłan nakazał żołnierzom uwolnić z więzów Achiora. Ów zachwiał się i padł obok stóp starca.

— Umieram — szeptał — pomścijcie mnie... Holofernes kazał mnie związać i rzucić pod mury Betulji. I powiedział...

— Co powiedział? — pytała Judyth, podtrzymując głowę konającego.

— Że z nim idzie słońce, i że spali niem Betulję...

.

Judyth żyła teraz myślą zbawienia miasta. Do tej chwili nie potrafiła sobie odpowiedzieć, jak to uczyni. Wiedziała jedno: że słowo, wyrzeczone Eliachimowi, było słowem, które jej podszeptął Adonaj. Skoro więc On w niej zamieszkał, zdobędzie się na czyn ofiarny.

W długiej ciemnej szacie spędzała dni i nocę w świątyni, a bijąc się w piersi, błagała Przedwiecznego o wskazanie jej drogi. Czasami odchodziła od niej moc ludzka, i zdawało jej się, że tylko słowem, że tylko modlitwą zdoła odwrócić klęskę od Betulji. To znów, napełniona siłą niepojętą, czuła się uzbrojoną w setki mieczów, a ostrze każdego z nich godziło w pierś Holofernesa. Jakże nienawidziła tego barbarzyńcy, który chciał słońce zaprząć do swojego rydwanu i spalić niem krainę jej ojców!

— Syn słońca, gdzież to Judyth słyszała to pogańskie miano, które trwożnie wstrząsało jej ciałem, a na oczy rzucało bielmo zatracenia?

Wzdrygnęła się.

Czyż nie jest grzechem w świątyni Pana wspominać tę chwilę, którą usiłowała w sobie pogryźć? Ale śnać szatan ma wstęp do świątyni Pana, bowiem Judyth, korzająca się przed Bogiem, Judyth w szacie pokutnej — coraz głośniejsze wspomina chwilę w sadzie Merari.

I oto widzi się dziewczeczką, dumną i wyniosłą, z uśmiechem drwiącym na obliczu, a on, sługa jej, wpatruje się w nie i gotów umrzeć dla swojej pani. Judyth widzi oczy tego, którego upokorzyła, łzawe

i oddane, i całą postać silną i łupieżczą, oraz oblicze, mimo pokory, dzikie i władne. Kiedy znalazła się w jego ramionach, złorzeczyła mu, a przecież... przecież (o, Adonaj, przebaczył) ileż to razy myślała o tej chwili, przywoływała ją w łożnicy i w sadzie, i na pustyni...

...przyjdź, bierz mnie, ukój lub zabij, ale przyjdź w onej chwili, kochanku mój ubogi;

...przyjdź ubogi, a tak bogaty, jak skarby Salomona, iżeś w ubóstwie umiłowany;

...cóż mi złoto z Kappaksi, łoże hebanowe i nad niem srebrna kotara, skoro ciebie niema i obłoków niema usianych gwiazdami;

...przezabrałeś mi cały spokój dnia, skoro nazwałeś się synem słońca?

...nie spocznę, póki nie ujrzę mojego kochanka, nagiego a odzianego w latorośl winną i zioła pachnące!

Z przerażeniem spojrzała na ołtarz Pański, na kolumny marmurowe, zali nie runie chram, obrażony słowem wszetecznem.

— Panie, Panie — wołała — Ty widzisz, zabiłam w sobie miłość, nakazałam grób sercu, a oto teraz odżyła we mnie tęsknota, i usta moje plami żądza. Co czynić, co czynić, Boże Abrahama, Izaaka, Boże Rebeki i Racheli?

Poruszyły się kotary zawieszone nad ołtarzem, a głos jakiś powiedział:

— Wyzwałeś słońce, Judyth, przeniosłeś blask złota nad jego promienie!

Upadła w proch i wołała:

— Tak, tak, oślepiło mnie złoto, Panie. Zabiłam serce, miłość, tęsknotę, i otom najbiedniejsza z moich sług. Co czynić, co czynić?

A głos tajemny odpowiedział:

— Zgaś słońce, które ma spalić gród Symeonów. I mroczne ściany świątyni zaszemrały:

— Oko za oko.

Judytha błędnie spojrzała na ściany i ołtarz Pana.

— Eliachimie, Eliachimie! — zawołała — czas nad-szedł, czas nocy i zemsty!!

.

Szła w ciemnym płaszczu, otulona mrokiem, sama jak mrok. Za nią stapała służebnica Abra z koszykiem jadła i napitku. Droga do obozu była długa i niebezpieczna. Tu i owdzie tały się rozszczepy, w grząźliwych podołach żerowały hieny i dzikie ptactwo. Judyth szła, jakby urągając nocy i niebezpieczeństwu, pochłonięta jedną myślą: dobić się do obozu.

Jak przez sen zwidziały się jej mury Betulji, pokryte ludem, który wyległ żegnać ją, Judyth z ple-mienia Symeon, idącą ocalić miasto. Stary Eliachim płakał, błogosławiąc ją dłonią trzęsącą, a dziewice izraelskie śpiewały smutne pieśni pożegnalne.

I nikt z tego mrowia ludzkiego nie spytał ją, co przeżywa w onej chwili, nikt nie wnikał w pobudki, jakie ją skłoniły do tego szalonego czynu. Mężowie i niewiasty widzieli, że pod płaszczem ukrywa szaty godowe, że na szyi jej błyszczą rubiny i topazjusze, —

tłum ten był z radości, że oto kosztem jej ciała napelni głodne żołądki.

Na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy, i utkwivszy w nie rozszerzone trwogą źrenice, Judyth szła coraz wolniej, jakby żegnając świat, spowity kirem żałoby. Czasami tylko wchodził w nią duch wiary; wówczas przyśpieszała kroku, gnana gorączką zwycięstwa.

Już pierwsze ogniska Asyryjczyków ukazały się, i Judyth pomyślała, że może być poznana i natychmiast uśmiercona. Abra, ledwo zdążając, poczęła cichutko płakać i namawiać panią do powrotu. Ale Judyth, ścisnąwszy krótki miecz damasceński — dar Telecha — który nosiła ukryty za simlahem, nie myślała teraz o śmierci.

W myśl wskazań starszyny miała unikać drobnych strażnic, rozstawionych w drodze do obozu, natomiast, przedostawszy się chyłkiem do pierwszych namiotów, oddać się w ręce znaczniejszych wojowników.

Ażeby wykonać ten plan, Judyth zmuszona była myszkować wśród ognisk i śpiących grupkami żołnierzy. Czasami oddech jej stawał się ciężki, cięższy od tamtych śpiących, i myślała, że to wybiła jej godzina.

I Judyth szła teraz w półśnie, omotana czarem tęsknoty za czemś niewidzialnem, co jest poza nami, i ku czemu gna nas nieubłagana moc przeznaczenia.

...A oto już widnieją namioty setników i słysząc rzenie koni i zgiew ludzi. Judyth zbudziła się i rzekła słudzebnicy:

— Jesteśmy w obozie, Abro. Ukryj się tu i czekaj na mnie do świtu. A gdybym nie wróciła...

— Pani—zawołała stłumionym głosem służebnica. Lecz głos jej zamarł w ciszy.

Judyth z podniesioną hardo głową wchodziła do pierwszego z brzegu namiotu...

.

Przy ognisku siedział stary wojownik i czyścił włócznię. Pobok leżeli towarzysze i spali. Ujrawszy wchodzącą postać w czerni, powstał i zamierzył się włócznią.

— Demoniel — zawołał — niesiesz nam śmierć...

— Niosę wam życie — odpowiedziała spokojnie Judyth — jestem kobieta.

— Kobieta? Utuk, demon zła, przebiera się często za kobietę...

— Przybywam z Betulji — mówiła siadając na skórze tygrysiej — uciekłam z Betulji.

— Długo-ż ten lud owczarzy i oszustów zamierza stawiać czoło Nabuchodonozorowi?

— Przynoszę wieści z oblężonego miasta. Prowadź mnie do wodza.

— Idź precz — odpowiedział z gniewem — dość tu dziewczek z Niniwy.

Judyth spłonęła rumieńcem.

— Jam z rodu królewskiego, a za obelgę zapłaci mi Holofernes.

Spojrzał na nią zdumiony i, mrucząc, nadziewał zbroję. Zaczem puścił ją przed siebie, trzymając włócz-

nię wpogotowiu. Szli dłuższą chwilę. Przed wielkim namiotem zatrzymał kobietę, sam wszedł do środka. Po chwili ukazał się w towarzystwie czarnego rzeźnika.

— Wagao — rzekł — weź tę kobietę i prowadź ją przed oblicze pana, albowiem przynosi wieści z Betulji.

.

Judytha znalazła się w olbrzymim namiocie, wymoszczonym kobiercami. Było tu ciemno, na skleconym z kamieni osypisku płonął ogień, bowiem noce były chłodne. Naprzeciw ognia widniał posąg Astarte, zwrócony potworną głową w kierunku łoża; tam spoczywał człowiek olbrzymiego wzrostu, odwrócony twarzą do ogniska. Tuż obok łoża, jakby wykuci z kamienia, stali dwaj łucznicy.

Judyth zatrzymała się onieśmielona i... uczuła się nagle kobietą. W jednej, szybkiej jak błyskawica chwili pomyślała, że jest daleko od Betulji, i że może nie wyjść z tego namiotu. Naraz usłyszała wpobliżu ogniska głos wnikliwy i groźny:

- Czerwień... krew... ludy pogrążone...
- Mów dalej — odezwał się głos władczy.
- Widzę... uciekają... popłoch, zwycięstwo...
- Dalej, dalej!
- Mór... zaraza... kobieta... krew...
- Dość!

W stronę ogniska padł miecz i omal nie rozplątał głowy wieszczbiarzowi,

— Panie — przemówił Waaga, popychając przed siebie Judyth — ty, którego oko widzi wewnątrz nieba i ucho słyszy szelest gwiazd...

— Czego chcesz? — przerwał Holofernes, i nagle odwrócił oblicze, a ujrzawszy postać niewieścią, wybuchnął: — Aza nie mówiłem ci tyle razy, że nadmiar rozkoszy nuży mnie w pochodzie?

Zaległo milczenie. Waaga wściekłem spojrzeniem obrzucił Judythę.

— Powiadaj.

Wonczas, nie zdejmując z twarzy zasłony, odezwała się:

— Wodzu najpotężniejszych wojsk króla Nabu, nie przyszedł po rozkosz, przynoszę ci wieści z nikczemnego miasta Betulji...

Holofernes zerwał się z łoża:

— Coś rzekła?

Skinął na obecnych. Zostali sami.

— Obnaż oblicze.

W otoku płomieni, dobywających się z ogniska, ujrzał cud i oniemiał. ✓

— Ktoś ty?

— Mirjam, córka Mehai z pokolenia Jozu.

— Żydówka?

— Byłam nią, ninie wyparłam się. Ten naród plugawy nie wart litości.

— Co ci uczynili?

— Zabili męża, spalili chudobę.

— Poprzez opończę błyszczysz od kamieni jak tęczą?

— To mój cały dobytek, o panie, przyniosłam ci go w darze.

— Za co?

— Ażebyś spalił miasto nieprawości.

— Dobrze, Mirjam, spalę Betulję. A teraz spocznij...

Judyth usiadła, i dopiero teraz mogła się przyrzyć wodzowi. Był olbrzymi, głowę miał całą w puklach złotych i brodę, zwyczajem asyryjskim, ułożoną w kędziory. Z pod brwi najeżonych patrzyły oczy ciemne i błyszczące.

✧ Mów, co się dzieje w Betulji. Aza mają tam dostatek jadła i wody?

— Jadła ledwie starczy do nowiu, znam ci też miejsce, skąd dopływa woda...

— Milcz, za dużo naraz, spojrzij mi w oczy!

Pod wpływem jego wzroku poblądła. Holofernes roześmiał się.

— Kobiety kłamią... kłamią miłość, ale kiedy je rozżarzy płomień zemsty, mówią prawdę.

Zamilknął, poczem z jakąś tęskną zadumą dodał:

— Wiera ci. Wszelako ninie jest noc, królestwo demona. Wolej w twoje oczy spojrzeć za dnia. A teraz, Mirjam...

— Co teraz? — spytała z niepokojem.

Zanim się spostrzegła, zerwał z niej okrycie.

— Jak na gody! — zawołał z zachwytem — jaki cudny włos twój, wpada w barwę safiru. A usta masz jak rozdarta pierś synogarlicy, a oczy rzucają snopy iskier, jak kiedy palą się lasy...

Odwróciła twarz zawstydzona i pełna gniewu.

— Jam tu przysła kary żądać dla miasta nieprawości!

— Kary chcesz, tedy nie skąp nagrody — szeptał stłumionym głosem. — Smutno mi, chcę pić wino, boć nie wiem, czy jutro będę żyw.

Sięgnął po puhar i wychylił do dna, a poczem nalał go.

— Pij, Mirjam.

Odsunęła kielich, a on mówił dalej:

— Nie chcesz, boisz się? Wszelako nie my karimy was jadem, wyście jaszczurzyce, chocia niebo macie w oczach, a na uściach róże.

— Nie wszystkie...

— To może ty inna? — roześmiał się.

— Ostaw mnie, jam ci nie do swawoli, w poniewierce jestem i we łzach się pławię.

— Nic to — wychylił nowy puhar — ci, co w poniewierce — rządzą ludami, a chełpliwi padają w proch.

Zamilkli; młody wódz popadł w krótką zadumę.

— Jakże to? — spytała kobieta.

— Ciekawaś? Tedy chodź, moje łoże pachnie myrrą, będę ci prawić o kochaniu.

Porwana dziwnym czarem, usiadła na brzeżku.

— Nie o kochaniu mi mów, ono mi obce, jeno o twojem życiu, które tajemne być musi jak burza.

Zaczerpnął w spieczone usta wina i zaczął:

— Mówiłaś o poniewierce, a czyż i ja nie byłem upokorzon, wychłostan i przepędzon, a oto losy Asyrji w moich rękach?

— Jakże to być mogło? — spytała nieprzytomnie.

— Przez kobietę. Takie usta miała jak ty i tak kłamała jak ty. Za miłość zapłaciła krwią, jak i ty w tej chwili zapłacisz.

Rzucił się na nią i rozerwał szatę, a rubiny rozprysły się jak żagwie.

— Holosie — zawołała — owom ja, Judyth!!

— Judyth? — głos jego rzeził jak dławiony. — Czym oszalał! Ty — Judyth?! Powtórz, bo uduszę.

— Judyth, twoja Judyth — odrywała od szyi jego palce — żywa Judyth...

Odsunął ją od siebie.

— Powiedz, że mnie nienawidzisz, a uwierzę.

— Powiem, że miłuję, czy uwierzysz?

— Nie, nie! — krzyczał i, padłszy do jej stóp, okładał je pocałunkami. — Czy bogowie mogą człowiekowi dać za życia rozkosz śmierci? Judyth, Judyth, ponad wszystkie piękna i ponad wszystkie bolesna. Więc przyszedł do mnie, wiedząc, iżem twój?

Nie odpowiadała, rzeczywistość była straszniejsza od mowy. A oto spoczywał obok niej kochanek jej i wróg jej ludu. Miłość i nienawiść zwały się z sobą, i jak dwie ośleple lwice, walczyły o życie. Czuła jego całunki gorące, oddawała mu je szalona i smutna. Płakała łzą stygnącą, umierała z nadmiaru rozkoszy.

Płynęły godziny.

Znużony, spał z głową na jej piersi, ona patrzyła
w to oblicze jasne i uśmiechnięte.

Zaprawdę, syn słońca...

Wielka nienawiść owładnęła jej duszą.

Aza ten rab nie zgasił jej szczęścia, otworzywszy
jej oczy na rzeczy niebieskie?

Aza nie zohydził jej bogactw, męża, sytości?

Przecż wszedł w dni jej żywota i napełnił je
tęsknotą nieugaszoną?

Zabrał uśmiech, młodość, płodność.

Syn słońca.

Niech zginie, i zapanuje noc wieczysta.

.

Dobyła miecza i zagłębiła go w serce.

(Ach, to serce, które ją tak miłował!)

I odrąbała głowę, którą dopiero co tuliła na swoich
piersiach.

(O, głowo, w złocistem kędzierzul)

Uniosę cię z sobą i zacałuję usta otwarte, usta
soczyste.

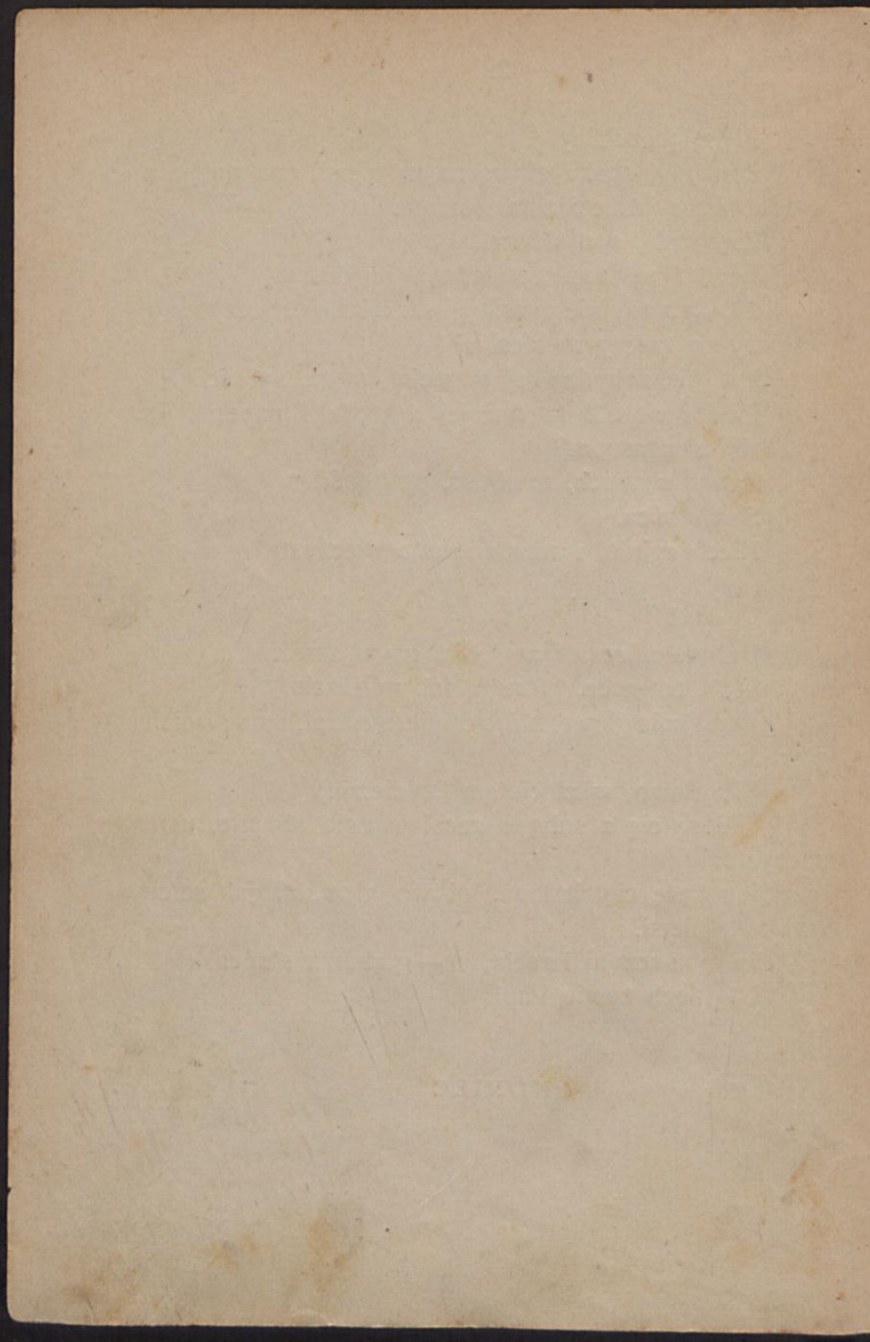
I pokażę cię ludowi, głowo złocista, jak serce
wyjęte z piersi.

Ja, zbawczyni Izraela, ja — grabarka słońca.

I — niech żywie Pan!

KONIEC

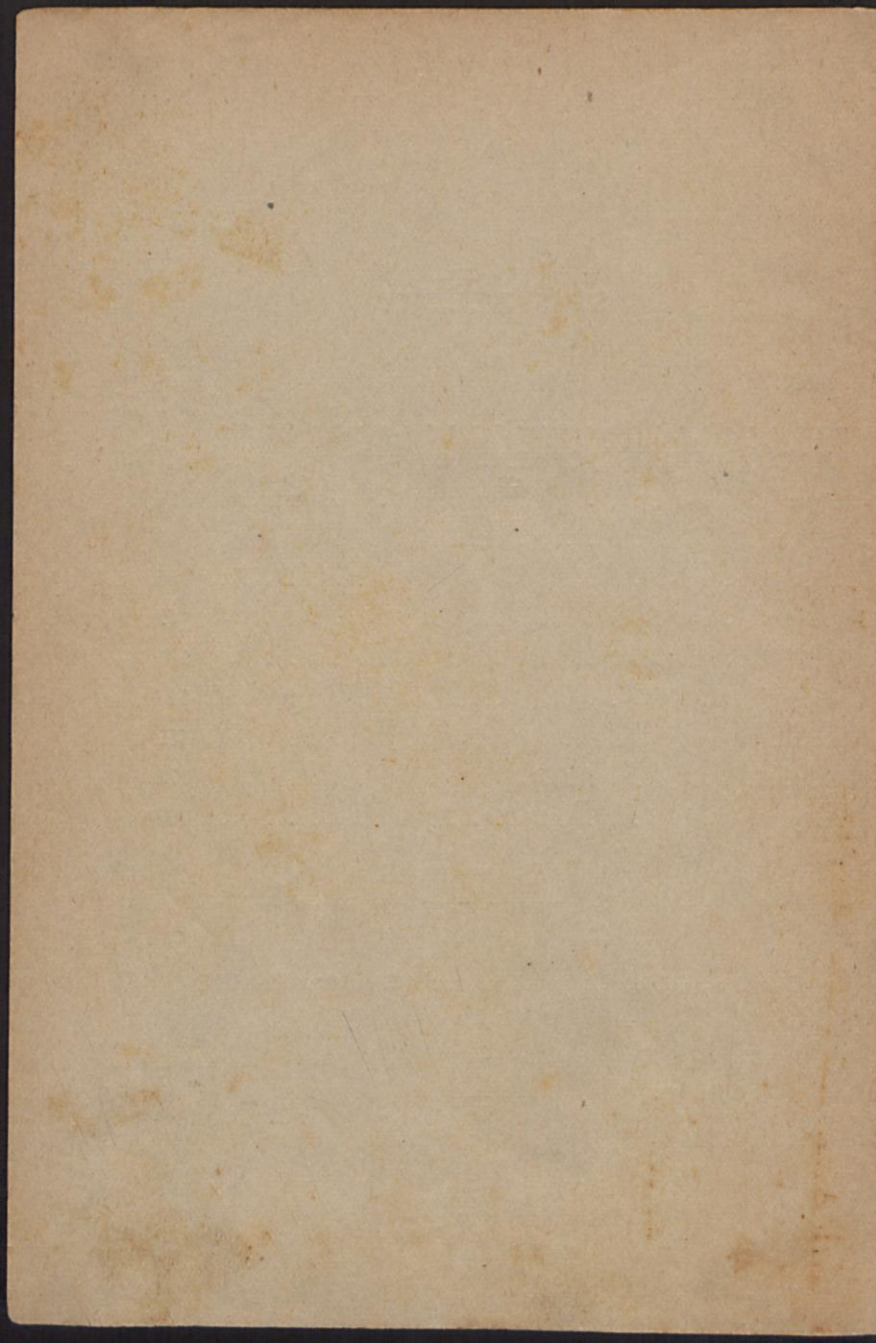
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
DR. JANA ZARNOY
w Zamku.

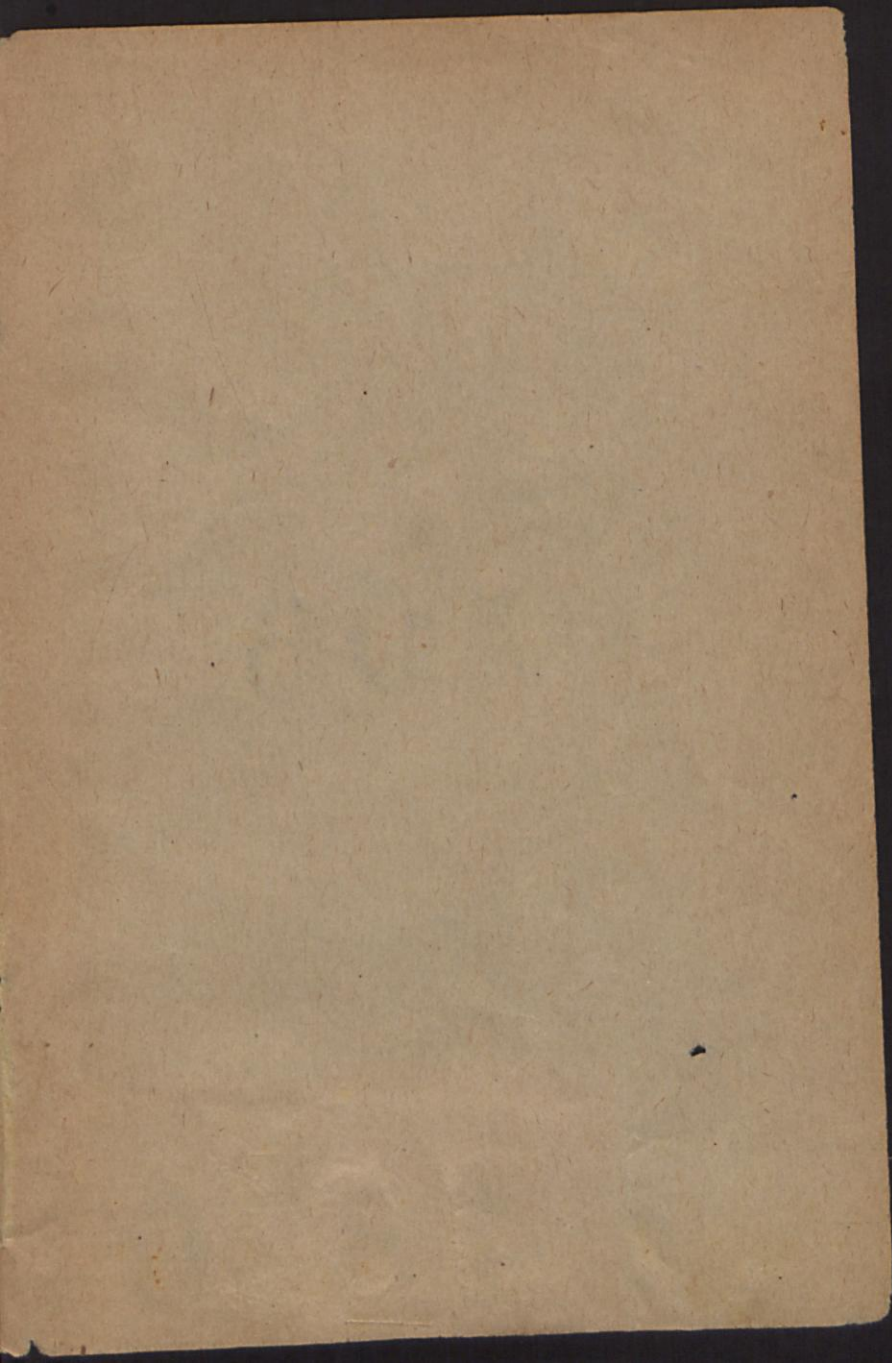


SPIS RZECZY

	Str.
PROLOG	
Ewa	7
MIŁOŚĆ, NIENAWIŚĆ, OFIARA...	
Agar	21
Rebeka	43
Rachela	65
Debora	89
Dalila	101
Ester	127
Ruth	159
Sulamith	175
Judyth	197

Okładkę „Kobiet Biblijnych” rysował Stanisław Boliński.





106

BIBLIOTHECA PUBLICA
M. JAMA ZEMSTVO

106

200
- 110
90

940

Księgozbiór BP



10084425

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna